

# *AM Opowiadania 4.9*



***Powrót po dłuuuuuugiej  
przerwie!***

***Prawie 70 stron tekstu!!!***

***Opowiadania z konkursu  
Storytellers Best Story#2!***

***Znów w czarnym ubranku!***

# AM#OPOWIADANIA

## STORYTELLERS

Witam w nowym 2008 roku!

Nasze pojawienie się to zapewne nie łąda zaskoczenie dla tych którzy już postavili na Nas krzyż. Jednak mimo wszelkim przeciwnościom znów podnieśliśmy się po sporym okresie wegetacji przynosząc Wam znów masę opowiadań. Co się rzuca w oczy to na pewno lekko zmieniona szata, aby mrok ponownie zapanował w Waszej głowie, mam nadzieję, że się spodoba...?

Co się stało, że Nas tak długo nie było... W sumie to ciężko jednoznacznie powiedzieć... Ja miałem coraz mniej czasu, problemy w redakcji oraz brak zainteresowania i odzewu ze strony czytelników, to chyba główne powody.

Nie ma co oglądać się za siebie, trzeba spojrzeć na przód i postarać się, aby w tym roku strzelić komplet numerów. Ja sam tego nie dokonam, ale na szczęście zgłosiło się kilka chętnych osób którym bardzo dziękuję i zapraszam do dalszej współpracy. Mam nadzieję, że nie poprzestaną na jednym numerze.

W tym AM#O zaprezentujemy kilka tekstów z zakończonego niedawno Storytellers Best Story #2, co lepsze teksty z naszego portalu oraz kilka dawno już nadesłanych tekstów oczekujących na publikację.

Poza tym numer 49 przynosi ze sobą jeszcze kilka zmian. Rezygnujemy z podziału na działy (przynajmniej na razie), zabraknie komentarzy jako, że z tymi naprawdę krucho niestety, shorty będą w różnych miejscach jako przerywnik dłuższego tekstu, a z cykli w tym numerze rezygnujemy. Powrócą zapewne w następnym.

Mile widziane są wszelkie komentarze na adres redakcji abyśmy wiedzieli czy to co robimy cieszy się zainteresowaniem, co poprawić, co zmienić i w jakim według Was iść kierunku w kolejnych numerach.

Jeśli chcecie podesłać teksty to czekamy pod naszym stałym adresem:  
**opowiadania@gmail.com** .

Życzę przyjemnej lektury i do zobaczenia za miesiąc.

**REDAKCJA**

**Redaktor Naczelny**  
Dawid „Shiro” Nowak  
shiro@storytellers.pl

**Z-ca Redaktora  
Naczelnego**

Piotr „JNK NM” Durbajło  
enem@storytellers.pl

**Redaktorzy tekstowi**  
Calendula Officialis  
Koriat  
Alaerion

**Redaktor tekstowy  
i korekta**

Marta „Tatyana” Solecka  
martulka.tati@gmail.com

**Storytellers**  
<http://www.storytellers.pl>

**Kontakt z redakcją**  
opowiadania@gmail.com

*Jeśli piszesz opowiadania (lub inne teksty), chciałbyś skomentować któryś z naszych tekstów, tworzysz grafikę lub prowadzisz jakąkolwiek inną działalność twórczą to podesłaj swoje prace na:  
**opowiadania@gmail.com**  
lub odwiedź naszą stronę internetową:  
**<http://www.storytellers.pl>***

**SHIRO**

**PRENUMERATA**

**Chcesz otrzymywać pocztą elektroniczną nowy numer AM#Opowiadań?**

Po prostu wyślij na adres redakcji: **opowiadania@gmail.com**  
e-mail o tytule:

**„Prenumerata magazynu AM#OPOWIADANIA”.**

Możesz także podać adresy zainteresowanych tematyka opowiadań znajomych, wyślemy im jeden email z ostatnim numerem kącika, jeśli im się spodoba będą mogli zatwierdzić prenumeratę. Pamiętaj, że im nas więcej tym więcej ciekawych tekstów w kąciku.

**REKLAMA**

W sprawie wszelkiego rodzaju współpracy - czy to wymiany banerów, okienek subskrypcji/prenumeraty, opowiadań, newsów albo jakiegokolwiek innej formy reklamy - piszcie śmiało na adres redakcji:  
**opowiadania@gmail.com**

**Jak wysłać opowiadanie i co powinno się w nim zawie-  
rać?**

Opowiadania wysyłamy pocztą elektroniczną. Na adres opowiadania@gmail.com proszę kierować wszystkie sprawy związane z kącikiem.  
Napisz kilka słów w treści maila, a w samym opowiadaniu nie zapomnij dodać tak oczywistych rzeczy jak tytuł i OBOWIĄZKOWO na końcu tekstu imię, bądź pseudonim autora, jakim opowiadanie będzie sygnowane w przypadku publikacji. Oczywiście, dla własnego dobra nie zapomnij także o dodaniu w pliku adresu mailowego na wszelki wypadek (gdy-  
bym np. w trakcie robienia porządków na koncie kącika usunął maila). Jeśli ktoś nie dopisze swojego adresu u dołu opowiadania uznaję, że zwyczajnie tego sobie nie życzy - kontakt z takim autorem będzie możliwy jedynie przez pośrednika, czyli mnie. Pseudonim w tekście musi być zaznaczony, choćby dla mojej wygody i dobrego samopoczucia.  
Ponadto dłuższe teksty (około 60 tys znaków, ze spacjami) dla wygody czytającego lepiej dzielić na rozdziały.

**Co z prawami autorskimi?**

Przesyłając tekst do nas, zachowujesz do niego pełne prawa autorskie i automatycznie wyrażasz zgodę na jego publikację. Ponadto - redakcja zastrzega sobie prawo do wprowadzania drobnych poprawek w tekście oraz jego publikacji - na stronie internetowej kącika i innych witrynach internetowych powiązanych w jakiś sposób z AM#Opowiadania lub Storytellers. Nie wykluczamy także możliwości druku papierowego wybitnych opowiadań, autor w tym przypadku będzie dodatkowo powiadomiony.  
Podpisując się pod opowiadaniem prawdziwym imieniem i nazwiskiem, wyrażasz zgodę na wydruk papierowy opowiadania i dysponowanie nim przez Storytellers © (np. publikacji w jednym z współpracujących z nami wydawnictw, w przypadku braku możliwości kontaktu z autorem akceptacja wprowadzonych przez wydawnictwo zmian itp.).

**Ile wynosi czas oczekiwania na odpowiedź w  
sprawie wysłanych tekstów?**

Jeśli Twoje opowiadanie spodoba się redakcji, oczywiście powiadomię Ciebie o tym w terminie natychmiastowym - czyli do dziesięciu dni. Jeśli nie - również zostaniesz o tym fakcie powiadomiony. W przypadku pośrednim dostaniesz wskazówki odnośnie poprawek, jakie powinieneś w tekście wnieść, by przeszedł. Gdy tekst będzie bardzo długi, lub ja będę mieć wybitnie mało czasu - powiadomię zainteresowanego autora o opóźnieniu w ocenie opowiadania i ustalimy jakiś sensowny termin.  
Jeżeli po upływie 10 dni nie dostaniesz żadnej odpowiedzi, znaczy to, że coś się stało z mailem po drodze. Wyślij opowiadanie ponownie! Aż do skutku.

**Robię dużo błędów/mam dysleksję/nie chce mi się po-  
prawiać/itd.**

Literówki będą poprawiane tylko, gdy będzie ich niewiele, za to polskie znaki MUSZĄ BYĆ. W przypadku dużej liczby błędów, bądź braku polskich znaków, teksty będą odsyłane do autora w celu ich poprawy.  
Jeśli naprawdę chcesz by Twoje opowiadanie przeszło, to posiedź nad nim przez chwilę, przejrzyj dokładnie i popraw tak by było czytelne. Obecnie mamy korektorów, więc jeśli tylko Twój tekst przyjdzie odpowiednio wcześniej przed DEADLINEM powinien się pod czujne oko któregoś z nich dostać. Mimo to radzę opowiadania dokładnie poprawiać samemu, z czasem zwykle jest kruch i nie zawsze redakcja z poprawkami się wyrobi.

**W moim tekście jest seks, przemoc, wulgaryzmy...  
może, ehem, coś takiego być?**

To zależy...

W kąciku Opowiadań nigdy nie było żadnej wielkiej cenzury i nie chcę takiej wprowadzać, ale jednak pewne granice dobrego smaku powinny istnieć.  
Lubię horrory, dlatego nie oszukujmy się twierdząc, że nie będę takich zamieszczać, ale lepiej z przelewem krwi nie przesadzać. Inną sprawą jest to, że krew nigdy nie powinna budować fabuły, a co najwyżej być do niej dodatkiem.

**Jak duży ma być tekst?**

Zasadniczo ścisłych ograniczeń nie ma; nawet, jeśli napiszesz maleństwo na 1000 znaków i uda Ci się zawrzeć tam ciekawą historię, to ma szansę się znaleźć w kąciku. Jeśli napiszesz interesujące opowiadanie powyżej 60 tys znaków, również przejdzie, po prostu będziesz dłużej czekać na moją opinię w sprawie tego opowiadania. Granicą nie jest długość, lecz jakość.

**W jakim formacie mam zapisać opowiadanie?**

Preferuję Rich Text Format (rtf), dostępny w programie Word lub stary, dobry ASCII (txt). W takim przypadku, jeśli Twój tekst wymaga jakichś szczególnych formatowań (kursywa, pogrubienie) możesz oznaczyć je zapożyczonymi z HTML-a tagami: <i>kursywa</i> i <b>pogrubienie</b>; a przypisy oznaczać tak: [1] i pod tekstem umieszczamy treść przypisu. Dokumenty zapisane w standardowym formacie Word (.doc) są bardzo niemiłe widziane choćby z powodu ich często dużej objętości, autokorekty podmieniającej znaki na „wordowskie” i złośliwego makro, jakie może być do nich doczepione, o czym Ty możesz nawet nie wiedzieć...

**Lubię kącik opowiadań tak bardzo, że chciałbym go do-  
stawać co miesiąc na skrzynkę mailową przed czasem.  
Czy istnieje taka możliwość?**

Oczywiście! Wystarczy, że wyślesz na adres AM#Opowiadania email z informacją, że chcesz przystąpić do prenumeraty. Dostawać AM#O na skrzynkę będziesz również, jeśli będziesz pisał do niego. Zawsze możesz skrobnąć komentarz - zajmuje to niewiele czasu, a gwarantuje dostanie kącika przed czasem do rąk własnych.

**To chyba wszystko. W przypadku wszelkich uwag, lub  
pytań piszcie na adres kącika:**

**opowiadania@gmail.com**

**Na pewno jeszcze jakieś zmiany w regulaminie nastąpią,  
ale jedno nie zmieni się nigdy. Wy piszecie. Ja zamiesz-  
czam. Świat czyta. I tak od początku, bez przerwy.**

Okładka ..... 1

Wstępniak ..... 2

Regulamin ..... 3

Spis Treści ..... 4

Mieszkańcy Sosnowego Lasu  
Agnieszka Stec ..... 5Czerń  
Koriat ..... 19Kontrakt  
Marcin Drózd ..... 23Wataha  
El Lobo Muchomalo ..... 34Ostatni Heretyk  
Janusz Anderson ..... 38Modlitwa do Czarnego  
Świątełka  
Dae ..... 44Ogzentar  
Phantasmagor ..... 52Genom  
aNomaLy ..... 60W Domu nad Otchłanią  
Koriat ..... 65On i Ona  
darkzone666 ..... 67Dywan  
Valdens77 ..... 68

Na początek mamy dla Was teksty nadesane na konkurs Storytellers Best Story #2. W tym zwycięski tekst **Agnieszki Stec** pt. „**Mieszkańcy Sosnowego Lasu**”. Zaraz potem reszta konkursowej ferajny.

Następnie opowieść fantasy zaprezentuje **Phantasmagor**, by po kilku stronach przenieść się do klimatów rodem z Piątego Elementu i eksperymentów genetycznych w opowiadaniu „**Genom**” autorstwa legendarnego **aNomaLy**.

Jeszcze przed finiszem natkniemy się na świetny tekst **Koriaty** pt. „**W Domu nad Otchłanią**”. No i już na zakończenie pozostają nam dwa shorty. Wyciskacz łez **darkzone666** „**On i Ona**” oraz absurdalny i trochę komiczny „**Dywan**” **Valdensa77** którego dłuższe opowiadanie przeczytacie również w kolejnym numerze.



# Mieszkańcy Sosnowego Lasu

## Agnieszka Stec

### Rozdział I

Od kilku dni, czując atmosferę zbliżającego się dnia dwudziestego listopada, wracałam do domu omijając szerokim łukiem Sosnowy las, mimo że zajmowało mi to o ponad połowę dłużej. I pomyśleć, że nigdy nie zwracałam uwagi na ludzkie opowieści, plotki i wyssane z palca legendy. Nie przyszłoby mi do głowy żeby bać się czegoś co najprawdopodobniej zostało wymyślone przez nudzących się mieszkańców wsi Podlasek, podczas gdy wszyscy idą do pracy albo do szkoły. Lub też, historii jednej z wielu w celu zastraszenia niegrzecznych dzieci, które nie chciały pić mleka, albo uciekały przez otwarte okna na podwórko, jak nasz mały sąsiad Jaś, którego jakaś pani przyprowadziła z powrotem do domu. I już był kolejny temat do plotek. Tak to właśnie wyglądało. Wyjątkowo spokojna, odcięta od cywilizacji wioska, za wyjątkowo spokojnym Sosnowym Lasem. Już na samym początku mojego pobytu w Podlasku zaczęłam się interesować specyficzną nazwą tego miejsca, dlatego że nie było tam wcale samych sosen. Popytałam mieszkańców i okazało się, że nazwa ta utarła się przez wiele lat, ponieważ bardzo dawno temu, rosły tutaj rzeczywiście tylko te drzewa. Miejsce było wyjątkowo ładne. Szczególnie atrakcyjnie wyglądał Sosnowy Las wtedy gdy przyjechałam, na początku września oraz w październiku zanim jeszcze zrobiło się zimno. Wszystkie drzewa, pokryte złotobrązowymi liśćmi wyglądały z daleka jak ogromne płonące pochodnie. Wokół lasu była zielona polana, pokryta przeróżnymi gatunkami polnych kwiatów. Na niej czasem ludzie urządzali pikniki, albo po prostu się opalali jak jeszcze było ciepło. Tuż przy moim wynajętym domku, znajdowała się ścieżka, która wiodła wprost do lasu, dlatego gdy czasem wcześniej wstawałam żeby napisać coś do redakcji, widziałam wędrujących grzybiarzy z wiklinowymi koszykami i kapelusami na głowach. Wracali tą samą drogą koło południa, z tymi samymi koszykami lecz tym razem przepełnionymi po brzegi prawdziwkami, kurkami i innymi jesiennymi owocami lasu. A teraz był listopad, spadł śnieg, który później topniejąc zamienił się w błoto i nikt już nie chodził do Sosnowego Lasu. Jednak czułam, że to nie tylko z tego powodu. Krążyło coś między ludźmi, jakaś niby legenda, niedopowiedziana historia, coś co sprawiało że ja sama już tamtędy nie chodziłam. Podczas tych dwóch miesięcy, moje dni upływały na pisaniu artykułów o życiu mieszkańców. To moje pisanie składało się z kilku etapów, ponieważ w miejscu gdzie znajdował się mój wynajęty dom, nie było za grosz dostępu do internetu. Nie mogłam moich artykułów od razu przesyłać do redakcji. Zebrane informacje na różne tematy od mieszkańców opisywałam właśnie w domu, a później przepisywałam je do artykułów, odbierałam e-maile od redakcji i właściwie miałam też okazję aby móc do kogoś zadzwonić, bo we wsi Podlasek miałam zasięg telefoniczny tylko w niektórych miejscach. A jeśli chciałam koniecznie wykonać telefon z domu, musiałam go najpierw włożyć do szklanki i postawić na parapecie. Tak minęły mi dwa miesiące i tym sposobem kończyłam właśnie projekt zaproponowany przez redakcję dwutygodnika 'Naszych Czasów', którego tematem przewodnim były: 'Różnice i podobieństwa w sposobie postrzegania świata przez ludzi pochodzących z różnych środowisk'. Nie mogę powiedzieć, że bym skakała ze szczęścia gdy dowiedziałam się, że to właśnie mnie redakcja zamierza wysłać do jakiejś wioski nieistniejącej na mapie, gdzie diabeł mówi dobranoc. Jednak, gdy dowiedziałam się że mają mi specjalnie na ten cel wynająć dom w tejże wiosce oraz to, że po powrocie moja pensja wzrośnie o 10% zgodziłam się. Poza tym, jako młoda dziennikarka, liczyłam na zdobycie odrobiny doświadczenia innego rodzaju niż pisanie o wszystkim i o niczym w doskonale unowocześnionym biurze w Warszawie. Moje artykuły z pobytu w Podlasku miały się ukazywać w dodatku kulturalnym pt. 'Ludzie tacy jak my'. Opisywałam między innymi: stereotypy, różnego rodzaju poglądy, zainteresowania, przyzwyczajenia i tym podobne i

porównywałam je z moimi własnymi doświadczeniami z życia w wielkim mieście. Właściwie to, wtedy niedługo przed dwudziestym listopada wydawało mi się że zrobiłam już wszystko co do mnie należało w tej sprawie. Można było powiedzieć, że siedziałam już na walizkach i czekałam na jakikolwiek znak od redaktora naczelnego abym mogła wrócić do swojego stałego stanowiska w wydawnictwie 'Naszych Czasów' w Warszawie. A tymczasem ta cała sprawa z dwudziestym listopada i Sosnowym Lasem. Ja sama nie miałam zielonego pojęcia o co mogłoby w tym chodzić. Ale ludzie mówili. I im bliżej było do tego dnia tym więcej o tym mówili i to w dodatku w taki sposób, że niewtajemniczony w sprawę obserwator, taki jak ja, bez problemów mógł wywnioskować że się czegoś bali. To było coś, o czym wiedzieli wszyscy mieszkańcy wsi Podlasek, oprócz mnie. Rozmawiali o tym z każdym dniem coraz bardziej intensywnie między sobą, ale sprawiali wrażenie jakby głośno bali się na ten temat cokolwiek wypowiedzieć. Ten tajemniczy dzień – dwudziesty listopada traktowali jak 'zło konieczne', które trzeba jakoś przetrwać i później jak najszybciej zapomnieć, aż wszystko znowu wróci do normy. Atmosfera ogólnego zaniepokojenia udzielała się też i mnie, a wszystko co na razie na ten temat wiedziałam to fakt, że 'to' ma coś wspólnego z Sosnowym Lasem. Wiec, kiedy w końcu moja redakcja zdecydowała, że mogę właściwie wracać już do Warszawy, bo cały projekt dobiega końca, napisałam e-mail do redaktora naczelnego:

*Do redaktora naczelnego,*

*Mimo, że podczas tych dwóch miesięcy mojego pobytu we wsi Podlasek, napisałam wystarczająco dużo artykułów na temat mieszkańców, odnoszących się do głównego tematu projektu, zdecydowałam że zostanę jeszcze parę dni dłużej. Interesuje mnie pewna sprawa, o której ostatnio wyjątkowo dużo mówi się we wsi. Jest to związane z dniem dwudziestego listopada i z lasem, który prowadzi bezpośrednio do wsi. Nie wiem jeszcze dokładnie o co chodzi, ale postanowiłam zostać (jeśli redakcja jest temu przeciwna to nawet na swój własny koszt) jeszcze kilka dni, aby dowiedzieć się czegoś bliżej. Może będzie to kolejny temat na artykuł, tym razem podsumowujący cały mój pobyt tutaj.*

*Pozdrawiam,  
Maja*

Byłam całą historią nie tylko niezwykle zaintrygowana, ale przede wszystkim chciałam też jak najszybciej zapewnić samą siebie, że absolutnie nie ma najmniejszych powodów do strachu, aby móc znów jak dawniej, przez te kilka dni, wracać do domu na skróty i nie stać się jedną z ofiar ludzkich fanaberii. Miałam dwadzieścia cztery lata. Musiałam myśleć o niezliczonej ilości obowiązkach i jak najbardziej przyziemnych sprawach takich jak: praca, zakupy, podatki i zepsuty kran w łazience, więc cała ta historia z legendą (wtedy jeszcze nie wiedziałam jaką) przyprawiała mnie o wyjątkowe znużenie. Ilekroć cokolwiek na ten temat słyszałam miałam ochotę popukać się palcem w czoło. Doskonale pamiętałam czasy, w których to z grupą dzieciaków, w moim rodzinnym mieście łączyliśmy w nocy po opuszczonych starych chałupach, wieczorami po lasach a nawet i cmentarzach, bawiąc się w jakieś podchody i tropiąc niewiadomo co i gdzie. No cóż, ale miałam wtedy wrażenie, że było to sto lat temu, bo takie to było dziecinne. Dlatego tym bardziej dziwiło mnie dlaczego tutaj, teraz, myślałby kto że przecież zupełnie dorośli ludzie, wymyślają jakieś niestworzone historie, nie wiadomo do końca w jakim celu. Jednak, muszę przyznać, że jak już stwierdziłam na początku, im bardziej owy tajemniczy dzień się zbliżał, tym częściej ja sama omijałam Sosnowy Las i dochodziłam do wniosku za każdym razem, że muszę się z tego dziwnego zachowania wyleczyć.

Dlatego właśnie postanowiłam pójść do jednej z najstarszych mieszanek wsi, pani Eugenii, która mieszkała jakieś dziesięć minut drogi od mojego domu i miała około dziewięćdziesięciu lat. Mieszkała sama, nikt jej specjalnie nie odwiedzał, oprócz młodej Ukrainki, Katii, która pracowała u niej w określonych godzinach jako służąca. Słyszałam, że jej liczne dzieci, wnuki i prawnuki zjeżdżali się do niej raz na jakiś czas, ale musiało to być naprawdę wyjątkowo rzadko, bo na pewno nie zdarzyło się to od czasu kiedy ja tu mieszałam. Mówię: na pewno, bo po prostu nie byłoby możliwości gdyby tego typu

'wielkie wydarzenie' przeszło uwadze kogoś z mieszkańców wsi. Tu wszyscy wiedzieli wszystko o sobie nawzajem. Społeczność żyła zagadnieniami swoich sąsiadów, a przenosząc się drogą pantofołą wiadomości dotyczące czyjegoś życia prywatnego, niedoszłych ślubów, rozwodów, skandali towarzyskich i tym podobne, sprzedawały się jak świeże bułeczki i stanowiły rozrywkę lepszą niż telewizja. O mnie samej wszyscy wiedzieli, że nazywam się Maja Tokarska, mam dwadzieścia cztery lata i pracuję dla warszawskiego wydawnictwa dwutygodnika 'Nasze Czasy', zanim ja sama zdążyłam się komukolwiek przedstawić. Dlaczego wybrałam właśnie panią Eugenię, aby móc wyciągnąć cokolwiek od niej na temat tej dziwnej sprawy? Otóż, wydawało mi się że była jedyną osobą która nie będzie niczego podejrzawać i odpowie (choć może niekoniecznie chętnie) na moje pytania. Podejrzewałam, że ludzie niechętnie powiedzieliby mi cokolwiek, z racji tego, że nie jestem 'stad', może bałoby się, że rozniosę dalej jakąś ich straszną tajemnicę. Tak naprawdę, to przez te dwa miesiące patrzyli na mnie jak na intruza, opornie odpowiadali na jakiegokolwiek moje pytania do artykułów, tak więc cieszyłam się, że jeszcze raptem parę dni i wrócę do domu.

Tak czy inaczej, postanowiłam pewnego dnia, dokładnie czwartego listopada wybrać się do pani Eugenii i niby to mimochodem zapytać o krążącą legendę, po czym utwierdzić się w przekonaniu że to jakieś tam 'ludzkie fanaberie' i ostatecznie, raz na zawsze dać sobie spokój z tą sprawą. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że cała akcja była jeszcze przede mną. Chciałam mieć jakiś pretekst, żeby odwiedzić panią Eugenię, dlatego wymyśliłam, że dostałam zlecenie od redaktora naczelnego 'Naszych Czasów' aby przeprowadzić wywiad z najstarszym mieszkańcem wsi Podlasek. Wysłam z domu i po kilku minutach szybkiego marszu byłam już w ogrodzie pani Eugenii.

- Dzień dobry – powiedziałam od progu. Drzwi były otwarte więc weszłam do środka.

- O, dzień dobry. - Pani Eugenia krzątała się po kuchni, miała zawsze dużo energii, pomimo swoich lat. Nie była sama, trafiłam akurat na godziny w których urzędowała u niej Katia.

- A co to panią do nas sprowadza - zapytała Katia.

- Ja właściwie, do pani Eugenii, chciałam z nią przeprowadzić krótki wywiad, jeśli się zgodzi oczywiście. Główna bohaterka rzekomego wywiadu nie wyglądała jednak wcale jakby się miała na cokolwiek zgodzić. W tej chwili pomyślałam że mogłam w ogóle tam nie przychodzić lub jednak iść do kogoś innego w tej sprawie.

- Co chwilę ktoś mi zawraca dziś głowę, naprawdę czy niektórzy nie mają nic innego do roboty, jak tylko nachodzić starszych ludzi?

- Ależ ja pani wcale nie nachodzę, chciałabym tylko zadać kilka pytań, jak się pani tutaj żyje, co by pani zmieniła i tak dalej. Widzi pani, ja za parę dni wracam już do Warszawy i chciałam zrobić takie całkowite podsumowanie mojego pobytu. - Właściwie to uważałam, że jednak nic nie będzie z mojego planu. Widziałam jak Katia mrugnęła do mnie, żebym dała spokój, a później gdy podała pani Eugenii jajecznicę i kromkę chleba z masłem na drugie śniadanie wyszliśmy przed dom.

- Pani ją zrozumie, ona starsza, nie lubi nigdzie wychodzić i gdy jej ktoś zawraca głowę. - Katia była może ze dwa lata młodsza ode mnie i było mi niezręcznie gdy mówiła do mnie per pani. Jej rodzice przyjechali do Polski jeszcze w latach dziewięćdziesiątych za lepszym życiem a ona dołączyła do nich jakieś trzy lata temu i wydawała się niezwykle szczęśliwa że może biegać dla starszej pani na posyłki za jakiś marny grosz. Jak dla mnie, sprawiała wrażenie trochę ograniczonej, ale poza tym była całkiem miłą osobą.

- Katia, nie mów do mnie przez pani, ja jestem Maja, dobrze? - zapytałam.

- Dobrze – odpowiedziała. A ja Katia. - I podała mi rękę. Przełamałam lody ze służącą – pomyślałam. Może uda mi się dociągnąć zaczęty wątek.

- Na jaki temat ten wywiad ma być, więc Maju? Ja nie pani Eugenia, ale może coś pomogę.

Nie wiedziałam jak zacząć, nie chciałam od razu przechodzić do sprawy z którą tu tak naprawdę przyszłam.

- Chciałam się dowiedzieć, jak naprawdę się tutaj ludziom żyje. Podlasek jest tak daleko od większych miast, podczas tych dwóch miesięcy dowiedziałam się wiele o waszych wierzeniach, zwyczajach, teraz chcę zrobić podsumowanie

tego wszystkiego. Co powiedziałaś mi na temat bezrobocia na przykład? - Wystrzeliłam trochę jak Filip z konopi z tym pytaniem i niestety za chwilę spotkałam się z konsekwencjami.

- O bezrobociu chciałaś z panią Eugenią rozmawiać? Ona nie pracuje przecież i tak od wielu lat. - Zbiła mnie z tropu. Muszę przyznać, że myślałam że jest na tyle mało inteligentna, że będzie jej wszystko jedno o co się zapytam. Dobrze więc, obrałam trochę inną taktykę i zaczęłam się bardziej zastanawiać nad tym co mówię. Dodam jeszcze, że miałam cały czas włączony dyktafon żeby to naprawdę wyglądało na oficjalne podsumowanie pobytu we wsi Podlasek do 'Naszych Czasów'.

- No, tak, tak masz rację, z nią nie mówiłabym o bezrobociu oczywiście, ale teraz rozmawiamy my obie, jesteś młoda, nie myślałaś nigdy żeby spróbować znaleźć jakieś zajęcie w mieście?

- Ja tam wiele nie potrzebuję, jestem zadowolona z tego co mam, zresztą nie umiem wiele, nie mam zawodu, a to co zarobię u pani Eugenii to na przeżycie zawsze wystarczy. Chociaż to zależy gdzie się robi zakupy, bo w centrum to taniej, ale droga daleka.

'Lepiej być nie mogło' – pomyślałam. Katia właśnie naprowadziła mnie jak po sznurku do kłębka na właściwą trasę naszej rozmowy. Już wiedziałam co mam robić.

- No tak, droga daleka, ale za to całkiem przyjemna, przez ten Las Sosnowy, gdyby tylko nie to błoto prawda?

- Wyraźnie zauważyłam, że myśli nad komentarzem do tego co powiedziałam, co mnie przez chwilę zastanowiło. W końcu odpowiedziała: - Ludzie teraz, w listopadzie niechętnie chodzą przez Las Sosnowy i ja także. - O, a to dlaczego? - udałam zdziwioną. - W okolicach wszystkich świętych ludzie boją się duchów, a tam teraz ciemno wieczorami, a i dziesięć lat temu, dwudziestego listopada jedna pani, która mieszkała pod lasem, umarła i teraz ludzie się boją że ona tam straszy w tym lesie właśnie w tym dniu.

'No i co?' – pomyślałam. To by była ta straszna historia? To tyle? To po to przedłużyłam swój pobyt tutaj?

- I ty w to wierzysz, Katia? - zapytałam. 'W te dudy smalone, co ktoś z palca z nudów wyssał?' - Miałam ochotę dodać.

- Ja tam wierzę w co wszyscy wierzą – powiedziała Katia. Pewnie jak tak ludzie mówią, to prawda jest, lepiej przez las w listopadzie nie chodzić i tyle.

Podziękowałam Katii za wywiad i poszłam do domu. Jeszcze tego samego wieczora pojechałam do kafejki aby odpisać redakcji:

*'Do redaktora naczelnego,*

*Postanowiłam jednak nie przedłużać mojego pobytu tylko wrócić we wcześniej zaplanowanym terminie, tj. pojutrze. Obiektem strachu mieszkańców wsi Podlasek okazały się wyimaginowane duchy, które ponoć mieszkają w pobliskim lesie. Po dwóch miesiącach obserwacji mieszkańców dochodzę do wniosku, że brakuje im, oprócz oczywiście środków finansowych i lepszych perspektyw na przyszłość, najwidoczniej rozrywek aby mogli w bardziej kreatywny sposób spędzać swój wolny czas. Zamierzam napisać ogólne podsumowanie mojego pobytu do najbliższego wydania 'Naszych Czasów', po powrocie do Warszawy.'*

*Z pozdrowieniami,*

**Maja Tokarska**

Owszem, okazało się że sprawa była błaha, czyli właściwie o to mi chodziło, żeby już wrócić do dużego miasta i raz na zawsze opuścić to zablocone miejsce, więc właściwie to powinnam się była z tego cieszyć. Ale się nie cieszyłam. Chodziło o to, że w miarę interesowania się tą sprawą moja dziennikarska ciekawość zaczęła wzrastać i chwilami naprawdę zaczęłam się spodziewać ciekawego materiału na reportaż. Może jakiś seryjny morderca, który grasował w lesie i dlatego ludzie się bali? Może jakiś zboczeniec albo zbiorowisko satanistów czy coś w tym stylu? Może natknęłabym się na trop jakiegoś bandyty od dawna już ściganego przez policję? Może przyjechałaby telewizja? Wreszcie miałabym się czym

pochwalić przed całą redakcją. A tymczasem duchy...Wracałam do domu przez Sosnowy Las i nie myślałam jak Boga Kocham w ogóle o żadnych wymyślonych duchach tylko o tym, jak to się wszyscy będą kładli ze śmiechu jak przeczytają mojego e-maila. Redaktor, Sebastian, Mariola, Mikołaj. No właśnie, Mikołaj. Już go prawie słyszałam jak mówił: 'Maja już nie wiedziała co ma robić z nudów w tej wiosce i postanowiła, że będzie tropić duchy.' On sam jeździł po świecie, zajmował się wszystkimi możliwymi sprawami bieżącymi. Nierzadko znajdował się tam gdzie działa się jakaś sprawa godna uwagi, był co jakiś czas wysyłany do Iraku i na Bałkany (czego mu akurat nigdy nie zazdrościłam), jego reportaże cieszyły się niezwykłą popularnością. Narzekałam na niesprawiedliwość losu ile razy czytałam jego kolejne coraz to bardziej fascynujące reportaże albo słyszałam jego wypowiedzi w radio lub telewizji. A był zaledwie rok ode mnie starszy. Chciałam przynajmniej zdobyć jedną trzecią jego popularności. Tymczasem, wylądowałam w jakimś grajdole opisując ludzkie wierzenia i zabobony. Równie dobrze mogłabym pisać o potworze z Loch Ness, wypadkach sławnych gwiazd, albo postępach medycyny niekonwencjonalnej, jak to się zwykle robi w sezonie ogórkowym.

Zdażyłam tuż przed deszczem aby przyjść do domu i już prawie kończyłam się pakować przed wyjazdem kiedy ktoś zapukał do drzwi. Specjalnie nikt mnie tutaj nie odwiedzał, a na sąsiadkę czy listonosza było już zdecydowanie za późno. Popatrzyłam przez judasza, to była... Katia. Zdziwiłam się, może ma jakiś problem z panią Eugenią i potrzebuje czyjejś pomocy. Ale dlaczego przyszła akurat do mnie? Przecież do innych domów ma o wiele bliżej. Otworzyłam jej drzwi, wyglądała bardzo dziwnie. Jeszcze nie wiedziałam na czym polegała ta dziwność, ale z tego co teraz pamiętam, to wtedy na pierwszy rzut oka wydawało mi się, że wygląda po prostu bardzo... mądrze. O wiele mądrzej niż ta Katia, która zaciągała po Ukrainku krzątając się po kuchni pani Eugenii. Zaprosiłam ją do środka.

- Co tu robisz Katia o tej porze? - Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że właśnie zaczyna się coś, co zapamiętam na wiele długich lat.

Zaprosiłam Katię do środka, zaproponowałam że zrobię jej herbatę i coś do jedzenia i zapytałam czy przypadkiem nie stało się nic z panią Eugenią, że do mnie przychodzi.

- Tu nie chodzi o panią Eugenię - powiedziała. To znaczy, w pewnym sensie chodzi, ale nic z tych rzeczy co myślisz, nic się nie stało.

- No więc co cię do mnie sprowadza o tej godzinie? - Wyjęłam dwie filiżanki, które przed chwilą zdażyłam zapakować już do torby i zrobiłam herbatę. Czułam się jakoś nieswojo przez to, że Katia była taka tajemnicza. Zaczęła mówić: - Zastanawiałam się długo czy powinnam w ogóle do ciebie z tym przychodzić. Doszłam jednak do wniosku, że skoro sama nie potrafię rozwiązać tej zagadki, to może sobie we dwie damy prędejkę z tym radę. A ty przecież też zaczęłaś się tym interesować, więc postanowiłam, że ci o wszystkim powiem. Wiem, że miałaś zamiar pojutrze wyjechać, dlatego przychodzę tak późno, chciałam cię prosić o to abyś zmieniła plany.

W ogóle nie wiedziałam co mam powiedzieć, osłupiałam. Nie wiedziałam o czym ona do mnie mówi, jaka zagadka? W dodatku zauważyłam, że w jej głosie nie było ani śladu tego ukraińskiego akcentu, który wcześniej dał się słyszeć na promieniu kilkunastu metrów. Szczerze mówiąc zaczęłam się jej nawet trochę bać. Nie była sobą, na pewno nie była tą głupią służącą, gotującą dla pani Eugenii. O co w tym wszystkim chodziło? Podaje się za kogoś kim nie jest? Miałam tylko nadzieję, że nie wplątuje się właśnie w jakieś kolosalne kłopoty.

- Katia - zaczęłam. Jest wiele rzeczy, których nie rozumiem z tego co do mnie przed chwilą powiedziałas. Po co dokładnie do mnie teraz przyszłaś? Co mi chcesz powiedzieć? Jaką masz zagadkę, której nie możesz rozwiązać sama? Co ma z tym wspólnego pani Eugenia i najważniejsze, co się stało z twoim akcentem? To co usłyszałam w ciągu kolejnych kilkunastu minut sprawiło, że gdy Katia poszła do domu, rozpakowałam ponownie wszystkie swoje rzeczy, a na następny dzień z samego rana pojechałam do miasteczka aby napisać do redakcji.

*Do Redaktora Naczelnego,*

*Postanowiłam, że jednak zostaję we wsi Podlasek przez okres najbliższych kilku lub kilkunastu dni, w zależności od tego jak szybko rozwiąże się sprawa którą teraz się*

*zajmuję. Przepraszam, że zmieniam co chwilę decyzję o moim powrocie, ale zapewniam że tak jest już ostateczna. Nie chcę pisać dokładnie o co chodzi, bo sprawa jest na tyle skomplikowana i niewiarygodna, że nie będzie to miało sensu. Wyjaśnię wszystko po powrocie.*

Pozdrawiam, Maja.

## Rozdział II

Nie wiedziałam sama czy mam wierzyć Katii. To co mi opowiedziała zeszłego wieczoru było na tyle niewiarygodne, że nic tak naprawdę nie zatrzymywało mnie żeby tam wtedy zostać. Mogłam po prostu wrócić do Warszawy i opowiedzieć historię Katii mojej redakcji jako żart. Jednak jakiś mój wewnętrzny głos mówił, że bym została, aby przyjrzeć się bliżej tej sprawie. Nawet jeśli Katia kłamała, bo miała widocznie w tym jakiś swój cel, to chciałam się o tym przekonać. Martwiło mnie tylko to, że nie mogłam wprost teraz o tym opowiedzieć redakcji. A wiedziałam, że nie mogę, bo nie uwierzyliby mi i kazali by mi wracać. I tak wiedziałam doskonale, że nie będą zachwyceni jak przeczytają mojego e-maila. Nie mogłam też mieć nadziei na to że jest to kwestia dnia lub dwóch. Wtedy mogłabym wymyślić jakąś historię redakcji na poczekaniu. A tymczasem jeśli sprawa miała się rozwiązać, wiedziałam że muszę czekać do dwudziestego listopada. Tak mówiła Katia. I tak słyszałam zresztą mimochodem od ludzi. Ale nie chciałam już zmieniać swojej decyzji. Postanowiłam poczekać i zobaczyć jak to wszystko się potoczy.

Zdażyłam sprawdzić autobus powrotny do wsi i pójść do sklepu spożywczego, aby zrobić jakieś zakupy, bo w mojej podlaskowej lodówce w podlaskowym domu było tylko światło. Stałam właśnie między regałami kiedy zadzwonił telefon.

- Maja? Tu Mikołaj. Całe szczęście, że odebrałaś.

Myślałam, że znowu nie będziesz miała żadnego zasięgu. - Myślałam, że Mikołaj dzwoni z zagranicy. Pewnie chciał się dowiedzieć jak pracujemy w grudniu. Może pamięta, że miałam zrobić jakiś tam projekt, ale za bardzo go to nie interesuje. Mogłam się założyć, że myślał że jestem już w Warszawie.

- Cześć Mikołaj, o co chodzi? - zapytałam bardzo urzędowo. Jego odpowiedź mnie zaskoczyła, a więc jednak był w redakcji.

- To ty mi powiedz o co chodzi. Wszyscy tutaj mówią teraz tylko o tobie. Że przedłużasz swój pobyt w wiosce, że jesteś jakaś tajemnicza, że masz jakąś sprawę do rozwiązania i nikomu nie chcesz niczego więcej powiedzieć.

- To chodzi o te moje e-maile? - uśmiechnęłam się.

- No a jak myślisz o co? Gdybyś wiedziała jak redaktor naczelny jest zły. Mówi, że nigdy cię nie posadzał o takie dziwne zachowanie. Ciesz się, że to ja do ciebie zadzwoniłem a nie on. - 'skaczę, ze szczęścia' - pomyślałam.

- Mikołaj, nie ma mowy że bym teraz wróciła. Podjęłam taką decyzję. Już pisałam redakcji, że mogę zostać na swój własny koszt. A ty skąd zresztą o tym wiesz? Nie powinienś być teraz w Iraku?

- Mówiłem ci, że każdy w redakcji o tym mówi. A do Iraku nie wracam przynajmniej do Nowego Roku. Później się zobaczy. Przecież zaraz po powrocie miałas się zająć sprawami tutaj na miejscu, w redakcji.

- Trudno, wygląda na to że się nie zajmę. Przynajmniej na razie.

- Jak długo chcesz tam jeszcze zostać?

- Jak dobrze pójdzie, jeszcze jakieś dwa tygodnie - powiedziałam.

- Jak dobrze pójdzie? To znaczy, że jak źle pójdzie to dłużej? Lada chwila może spaść ogromna ilość śniegu. Jak cię tam zasypie to żaden autobus nie przyjedzie wtedy kiedy będziesz chciała wracać do Warszawy. Chcesz nam składać życzenia świąteczne przez telefon w szklance na parapecie? - Szukał argumentów, żeby mnie przekonać do powrotu. Swoją drogą zdziwiłam się, że zapamiętał o tej szklance. Mówiłam to tylko raz i to Marioli na samym początku mojego pobytu. Musiała mu przekazać. Ale po co, przecież nie było to nic ważnego. Pewnie wszyscy mieli wyjątkowo dobrą zabawę z tego, że mieszkaliśmy w takiej dziurze, żeby pisać reportaże.

- Mikołaj, nie przekonasz mnie. Nie wracam na razie i już.



- Dlaczego jesteś taka tajemnicza? Powiedz przynajmniej o co chodzi.

- To nie jest rozmowa na telefon. - powiedziałam. Chwilami zaczęłam już wtedy żałować, że się w to zaangażowałam. Jeszcze zwolnią mnie z redakcji jeśli to się okaże jakaś lipa. A w innym wypadku też tak może być. Tak czy inaczej, trwałam przy swoim.

- No dobrze - powiedział Mikołaj i czułam, że się nad czymś zastanawia. A gdybym przyjechał tam do tej twojej wioski... jaka to nazwa? ...Podlasek? To powiedziałaś mi o co chodzi?

Sposób bycia Mikołaja wyjątkowo działał mi na nerwy, ale pomyślałam że z drugiej strony przydałoby mi się tutaj towarzystwo. Ktoś, kto popatrzy na tą sprawę z innego punktu widzenia. Nie wiedziałam jeszcze tylko czy Katia będzie zachwycona z takiego obrotu sprawy.

- Pod kilkoma warunkami - powiedziałam. Po pierwsze, że nie będziesz mnie nakłaniał do powrotu tylko najpierw spokojnie wysłuchasz co mam do powiedzenia. Po drugie nie będziesz mi przerywał. Po trzecie wytłumaczysz mi jakoś przed redakcją oraz to że ty też musisz zniknąć na jakiś czas.

Po chwili ciszy w telefonie usłyszałam: - Myślę, że da się zrobić, do zobaczenia w takim razie. Rozłączyłam się i podeszłam wreszcie do kasy.

Wracając do domu, podczas gdy autobus włókł się niemiłosiernie zastanawiałam się nad wieloma rzeczami. Po pierwsze nad tym, czy dobrze zrobiłam decydując się na zostanie w Podlasku na te kilkanaście dni. Po drugie, nie sądziłam jeśli mam być szczerą że przyjazd Mikołaja miałby być dobrym pomysłem. Właściwie to, miałam nawet ochotę na to żeby do niego zadzwonić, póki jeszcze miałam zasięg i powiedzieć mu żeby jednak nie przyjeżdżał. Wiedziałam jednak, że w takim wypadku będzie należał żebym mu o wszystkim powiedziała a to rozwiązanie nie wchodziło w grę przez telefon, bo bałabym się że zaraz roznieś się to po całej redakcji. Nie to, bynajmniej co bym ewentualnie powiedziała Mikołajowi, ale to że Maja Tokarska oszalała w wyniku zbyt długiego przebywania w odciętej od świata wiosce. Wtedy to już na pewno mogłabym się pożegnać z pracą w 'Naszych Czasach'. Teraz przynajmniej miałam jednak jakieś nikłe szanse że tak się nie stanie. Po trzecie i najważniejsze, po głowie chodziło mi pytanie czy to wszystko co powiedziała Katia jest rzeczywiście prawdą. Nie miało to nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem, którym to powinniśmy się kierować w swoim zawodzie, a mimo to coś mi jednak kazało w to wierzyć.

Autobus przyjechał wreszcie do Podlaska. Uznałam, że im wcześniej powiem Kati o przyjeździe Mikołaja tym lepiej. Poszłam, więc do niej zaraz z przystanku, nie zatrzymałam się w domu nawet po to żeby zostawić zakupy.

- No cóż, nie będę ukrywać, że nie jestem zachwycona waszym pomysłem. - Siedziałyśmy z Katią na ganku, pani Eugenia była pochłonięta robieniem chyba już dwumetrowego szalika na drutach w swoim pokoju.

- Katia, przecież ci mówię że to nie był mój pomysł tylko Mikołaja - próbowałam się bronić. - Zresztą nawet jakbym się nie zgodziła, to on by i tak postawił na swoim. Taki już jest.

- Tacy wszyscy wy jesteście, dziennikarze - powiedziała Katia z rezygnacją w głosie, ale takim tonem że prawie już odetchnęłam z ulgą że nie jest zła.

- Ale wiesz - dodała - jak on już tu będzie, to nie będzie takie proste. Będziemy musiały go we wszystko wtajemniczyć. Może nam nie uwierzyć, a raczej na pewno tak właśnie będzie. Wtedy może po prostu wrócić do Warszawy i o wszystkim powiedzieć waszej redakcji. I może to zrobić zanim sprawa się rozwiąże. Co wtedy? Pomyślałaś o tym?

- Tak nie będzie, Katia. Znam go na tyle, że wiem że tak nie zrobi. Owszem, może pomyśleć że jesteśmy obie nie-normalne. Może nawet wrócić do Warszawy, ale nikomu nic nie powie. - Absolutnie nie byłam pewna tego co mówię, chciałam tylko żeby Katia się nie przejmowała.

- Skoro tak mówisz, to dobrze to niech przyjeżdża - powiedziała, jakby jej zgoda miała tutaj jakiegokolwiek znaczenie.

- Kim on właściwie dla ciebie jest? - dodała po chwili. - No bo to, że jest młodym obiecującym dziennikarzem którego często widać w telewizji to już wiem. Ale interesuje mnie, dlaczego on akurat do ciebie zadzwonił żeby się zapytać

dlaczego nie przyjeżdżasz i dlaczego on właśnie postanowił sprawdzić to sam.

- Katia, po prostu dlatego że on lubi gdy coś się dzieje. Nie umiem ci inaczej odpowiedzieć na pytanie dlaczego tu przyjeżdża. Kim dla mnie jest? Kolegą z pracy. - 'Kimś do czego aspiruję przez jakiś czas, ale na razie mi specjalnie nie wychodzi jak widać' - pomyślałam. - Lubi sensacje, chyba tylko to go tu teraz ciągnie, Katia.

- Jednak, mimo to - dodała konspiracyjnie Katia - obie wiemy, że Mikołaj Takiewicz miałby teraz o wiele bardziej interesujące rzeczy do roboty. Chyba że, przyjeżdża tu dla... ciebie. - Podziwiałam Katię, bo jak myślę będąc na jej miejscu, wiedząc że za pasem dwudziesty listopada i chwila prawdy czy tym razem się uda czy też nie, nie miałabym specjalnej ochoty na żarty.

- Jeśli mam być szczerą Katia, to nie podejrzewam go o to, żeby mu specjalnie na kimkolwiek zależało - dodałam po chwili. - Lubi być po prostu w centrum uwagi. A że teraz, to centrum uwagi mojej redakcji znajduje się właśnie tutaj, w Podlasku, przez mój tajemniczo przedłużony pobyt, już sama możesz sobie odpowiedzieć na te czy inne pytania.

Pożegnałam się z Katią i poszłam wreszcie do domu zrobić porządek z moimi zakupami i wrzucić coś na ruszt. Rozpakowując reklamówki z jedzeniem znalazłam w jednej z nich kawalek kartki papieru, na której było napisane: Jak już przyjedzie, to proszę Cię postaraj się go przekonać żeby uwierzył w to co mu powiemy. Katia. To, kiedy udało jej się napisać tą informację oraz w jaki sposób wrzuciła mi ją do reklamówki, pozostaje do dziś dla mnie tajemnicą. Tak, czy inaczej czytając wtedy po kilka razy jej treść, zadawałam sobie cały czas pytanie: 'W jaki sposób niby mam to zrobić?' 'Żeby to było takie proste' - pomyślałam. Utkwiło mi jednak w głowie, to co powiedziała wcześniej Katia. Mikołaj miałby przyjeżdżać do Podlaska specjalnie dla mnie. Sama może bym nie dopuszczała do siebie w ogóle takiej ewentualności, ale w tym wypadku coś mi jednak dawało przekonanie, że ta dziewczyna wie przecież więcej niż my wszyscy. Przez to kim jest, przez to kim chce być i gdzie chce być w najbliższej przyszłości. I to ma się zdarzyć właśnie dzięki mnie. I Mikołajowi jeśli w ogóle kupi tą historię. Poczułam nagle, że spoczywa na mnie ogromna odpowiedzialność. Za los Katii, jak i wielu innych ludzi. Ludzi, osób? Nie umiałam znaleźć odpowiedniego słowa. Bałam się użyć tego jednego nawet w myślach, żeby móc spokojnie spać w nocy i nie dać się zwariować. A może ja już oszalałam? Włączyłam telewizor. Nadawali powtórkę jakiegoś reportażu o zabiedzonych rejonach Afryki Północnej z udziałem Mikołaja. Poczułam się jednak bezpiecznie na samą myśl o jego przyjeździe. Nawet jeśli zwariowałam, to może z udziałem kogoś trzeciego będzie mi się łatwiej z tego wykaraskać. Niczego tak wtedy nie chciałam jak odrobinę nadziei, że wszystko się dobrze skończy. Nieważne w jaki sposób.

### Rozdział III

Mikołaj przyjechał następnego dnia, parę minut przed dziewiątą. Byłam zdziwiona że tak wcześniej, bo oznaczało to że musiał jechać nocnym pociągami, a to z kolei oznaczało że najprawdopodobniej wytłumaczył swoją planowaną nieobecność redakcji niedługo po tym jak skończyliśmy rozmawiać przez telefon. On też był zdziwiony, gdy powiedziałam mu że mimo iż już jest ze mną na miejscu, to wcale nie jest takie proste żebym mu od razu powiedziała o co chodzi. Siedzieliśmy przy śniadaniu, kanapkach z serem żółtym i pomidorem, które zrobiłam na szybko jak tylko przyszedł.

- Co to znaczy 'to nie jest takie proste', Maja? - zapytał. Zauważyłam, że jest bardziej zaniepokojony niż zdenerwowany że mu wszystkiego nie mówię, co działało na moją korzyść.

- 'To nie takie proste' znaczy nic innego jak właśnie to co mówię. - Wiedziałam, że przecież Mikołaj musi się dowiedzieć dlaczego postanowiłam zostać, skoro tu już jest, chciałam to jednak odwlec trochę w czasie.

- Maja, proszę cię. Ja przyjechałam tu tylko dlatego, że się martwię czy w coś przypadkiem się nie wpakowałam. Nie powiem o niczym redakcji, ani nikomu innemu jeśli nie chcesz, zostanie to między nami. Ale nie po to tu jechałam całą noc, żebyś mi teraz nie chciała opowiedzieć tej swojej tajemniczej historii, dla której tu zostajesz i która nie jest na telefon.



'No proszę jaki wygadany' – pomyślałam.  
'Jak każdy dziennikarz'.

- Dobrze – dodałam po chwili. - Oczywiście, że dowiesz się o co chodzi. Chcę tylko cię przygotować na to, że nie jest to wiarygodna historia, jedna z wielu które słyszałeś już do tej pory w życiu. - Czułam, że zaczynam się powoli denerwować, bo widziałam już reakcję Mikołaja gdy wszystkiego się dowie.

- Domyślam się, że sprawa jest skomplikowana, inaczej powiedziałabyś mi przez telefon lub napisała wszystko w e-mailu do redakcji.

- Właśnie – odpowiedziałam. - W każdym razie, skoro już tu jesteś, powinieneś wiedzieć. Najlepiej będzie jeśli posłuchasz sam. Z szuflady stołu kuchennego wyjęłam dyktafon i położyłam go na blacie. Mikołaj wpatrywał się w niego jakby pierwszy raz widział takie urządzenie na oczy. Nagle zapytał całkiem poważnie:

- Byłaś świadkiem jakiegoś przestępstwa? Natknęłaś się na trop jakiegoś poszukiwanego bandyty? Grozi ci niebezpieczeństwo i to dlatego boisz się wrócić? - Miałam wrażenie, że z każdym pytaniem jego oczy się robią coraz większe jakby mu chodziło o to, żeby znowu kogoś uratować z opresji, brać udział w jakiejś narodowej akcji i zabłysnąć na pierwszych stronach gazet.

- Może chciałbyś właśnie coś takiego usłyszeć, Mikołaj, ale niestety nie, nic z tych rzeczy. - Poczułam, że chyba przesadziłam z komentarzem i że mógł się poczuć urażony. On jednak nie dawał za wygraną.

- No więc, co takiego się tu dzieje? - zapytał walcząc z kończącą się cierpliwością. Postanowiłam zacząć od początku, czyli najpierw opowiedziałam Mikołajowi o dziwnym strachu ludzi związanym z Sosnowym Lasem i o tym jak chciałam dowiedzieć się czegoś więcej od pani Eugenii. Opowiedziałam też o Katii. O jej wymijających odpowiedziach na ten temat i o jej ukraińskim akcencie.

- Póki co – powiedział gdy skończyłam pierwszą część – na razie wszystko znam z twoich e-maili do redakcji. Po tamtej rozmowie postanowiłaś wrócić do Warszawy.

- Tak, to prawda – powiedziałam – ale posłuchaj, co wydarzyło się później.

Opowiedziałam Mikołajowi o tym, jak Katia przyszła do mnie wieczorem, jaka była zmieniona i jak inaczej mówiła. Zdawała się być coraz bardziej zaciekawiona. Włączyłam dyktafon, ustawiony na moją rozmowę z Katią z tamtego wieczoru.

- Wiesz o mnie tylko tyle, że mam na imię Katia i że jestem służącą w domu pani Eugenii. Nie do końca jest to jednak prawdą. Nie jestem tą osobą, za którą mnie uważasz.

- Kim w takim razie jesteś i jaki ma to związek ze mną, dlaczego do mnie z tym przychodzisz?

- Jest to długa historia i nie dość, że nie bardzo wiem jak ci ją opowiedzieć to ponadto myślę, że możesz mi nie uwierzyć. Jednak przyszłam tutaj po to abyś się o tym właśnie dowiedziała, ponieważ potrzebuję twojej pomocy.

- Mojej pomocy? A w czym ją mogłabym ci pomóc? Byłam tu tylko po to, aby pisać reportaże, powinnam wracać już do Warszawy, do mojej redakcji.

- A więc, jednak jakaś afera! - Mikołaj nacisnął przycisk 'stop' na moim dyktafonie.

Od razu wiedziałem, że są tu jakieś większe kłopoty. Została deportowana do swojego kraju, tak? Brała udział w jakimś napadzie?

- Mikołaj, dlaczego przerywasz? Nie zadawaj mi pytań, tylko po prostu wysłuchaj do końca. Ona nic nie zrobiła złego, to nie tak jak myślisz. Nie zauważyłeś, że teraz, na tym nagraniu mówi płynnie po polsku? - zapytałam, trochę zdziwiona tym że Mikołaj do tej pory nic na ten temat nie powiedział.

- Zauważyłem, oczywiście, ale co to ma do rzeczy? Może po prostu tak umie, tak jej wygodnie, raz udawać że jest Ukrainką... zaraz, czyli ona udaje tak? Naprawdę jest kim innym?

- Jesteś na właściwym tropie, ale proponuję żebyś słuchał dalej – włączyłam jeszcze raz dyktafon.

- Rozmawialiśmy dzisiaj rano o tym, że ludzie boją się przechodzić w listopadzie przez Sosnowy Las.

- No tak, to prawda. Katia, tylko mnie nie interesują żadne historie o duchach. Staram się być poważną dziennikarką. Skoro ludzie wierzą w takie rzeczy, to ich sprawa. Wiem, że przeważ-

nie tak jest w małych społecznościach, że zostają wymyślane różne zabobony i tak dalej. W pewnym sensie wiąże się to z brakiem dostępu do mediów, w takim zakresie jak w dużych miastach, brakiem rozrywek, brakiem odpowiedniej edukacji. Tylko, że ja już swoje tu zrobiłam, Katia. Nie chcę o tym pisać. Nikt by tego nie czytał.

- Ale ja tutaj nie przychodzę po to, żeby cię nakłonić do napisania czegośkolwiek na taki czy inny temat. Chcę ci coś pokazać. Wtedy Katia pokazała mi wycinek z pewnej gazety, więc ja zrobiłam w tym momencie dokładnie to samo dając go do ręki Mikołajowi. Głos z dyktafonu mówił dalej:

- Widzisz co tam jest napisane? Katarzyna Strojaska lat dwadzieścia dwa. Utopiła się w Wiśle trzeciego lipca bieżącego roku. Pamiętasz cokolwiek na temat tamtego wydarzenia? To było ponad dwa lata temu, na początku wakacji.

- Jeśli mam być szczerą, to nic mi to nie mówi i dalej nie wiem o co w tym wszystkim chodzi Katia, co chcesz mi powiedzieć, po co mi to pokazałaś? Widziałam jak Mikołaj wpatruje się w skupieniu w wycinek z gazety i przez myśl przeszło mi, że kryje się za tym coś więcej niż tylko zaciekawienie tym co mówi do niego głos nieznanej mu dziewczyny z dyktafonu.

- No więc, jeśli nie pamiętasz, albo w ogóle o tym nie słyszałaś – mówiła dalej Katia, to powiem ci coś więcej na ten temat. Była na wakacjach wraz ze swoimi znajomymi. Gdy zaczęła się topić, ktoś próbował ją ratować, ale się nie udało. Utonęła.

- To nie pierwszy i niestety nie ostatni taki przypadek, Katia. Takie rzeczy się zdarzają.

- Tam na dole jest zdjęcie, nie bardzo wyraźne i małe, ale jeśli się dokładnie przyjrzyś. Wzrok Mikołaja powędrował dokładnie według wskazówki głosu z dyktafonu. Byłam taka sama jak ty. Też nie wierzyłam w duchy, śmiałam się z innych gdy opowiadali jakieś niestworzone historie.

- Chcesz mi powiedzieć, że ty... Pamiętałam ten moment doskonale. Jak bardzo się bałam, jak nie wiedziałam co mam zrobić i czy wierzyć, czy nie. Głos mi drżał i było to słychać nawet wtedy, przy Mikołaju, przez dyktafon.

- Zaczniemy od początku Maju. Nazywam się Katarzyna Strojaska i nie żyję od dwóch i pół roku. W tym momencie Mikołaj znowu wyłączył dyktafon. Tym razem wyglądało to tak jakby miał zamiar w ogóle nie słuchać do końca. Spodziewałam się, że tak zrobi. Wstał od stołu i podszedł do okna w kuchni. Ja siedziałam dalej, byłam zdenerwowana ale czułam się lepiej po tym jak Mikołaj usłyszał już przynajmniej tą ważniejszą część historii. W końcu odwrócił się w moim kierunku.

- Maja, jak ty mogłaś coś takiego w ogóle zrobić? Wpuścić ją do domu? Wysłuchiwać tych jej bredni? Dać się na to wszystko nabrać? Na miłość boską, przecież ona może być niebezpieczna, może być jakąś schizofreniczką. A raczej na pewno tak właśnie jest.

- Wiedziałam, że nie uwierzysz, Mikołaj, ale mimo wszystko dobrze się stało że to posłuchałeś.

Usiadł koło mnie na krześle – Oczywiście, że się dobrze stało, zabieram cię do domu, do Warszawy. Redakcji wymyślimy jakąś bajkę dlaczego musiałaś zostać. Znowu będziesz pisać artykuły, tylko nie wierz w te brednie.

- Ale ja ci już przecież powiedziałam, nigdzie na razie nie wracam. Muszę rozwiązać tą sprawę do końca. Nie wiesz co jest dalej na dyktafonie. Posłuchaj. - Już chciałam dalej włączyć dyktafon, kiedy Mikołaj go zabrał.

- Ok., posłucham co jest dalej, ale najpierw ty posłuchaj. Czy wiesz skąd pochodzi ten wycinek gazety?

- Nie mam pojęcia – przyznałam szczerze.

- To 'Express Lokalny', tygodnik, który funkcjonował niecały rok, lecz później przestało mu się to opłacać z powodu zbyt małego nakładu. Zaczynałem tam, jeszcze zanim zacząłem pisać do 'Naszych Czasów'. Sprawa Katarzyny Strojaskiej, pamiętam to. Po tym wydarzeniu była seria programów telewizyjnych pod tytułem 'Uważaj z wodą latem', czy coś takiego, już dokładnie nie pamiętam. Ale ten artykuł pamiętam doskonale, bo sam go pisałem.

Zamarłam. Zaczęłam łączyć ze sobą fakty. To dlatego Katia nie była specjalnie chętna co do przyjazdu Mikołaja, bo miała powody żeby myśleć że może jej nie uwierzyć. Że to sobie wszystko wymyśliła. Bo on przecież był autorem tego artykułu, o niej, a ona o tym wiedziała. I dlatego bała się, że może roznieść to dalej. To, że Katia zmyśla i że jest nienormalna. Jednocześnie bałam się, że Mikołaj pomyśli to samo o mnie.

Że nawet jeśli kiedykolwiek wrócę do redakcji, jeśli zechcą mnie tam jeszcze przyjąć, to roznieście się naokoło informacja, że można mną tak łatwo manipulować. Mimo wszystko jednak w to wierzyłam. To znaczy jeszcze nie byłam pewna czy wierzyłam w stu procentach, ale coś mi kazało jednak pomóc tej dziewczynie. Więc, ewentualne przekonywania Mikołaja, że-bym jednak wróciła do Warszawy, nie miały tutaj najmniejszego sensu. Zauważyłam, że Mikołaj widząc moją reakcję i upór co do kwestii zostania, kompletnie nie wiedział co powiedzieć. Brakowało mu argumentów. A może raczej nie umiał wybrać z żadnych ze swoich precyzyjnie przygotowanych argumentów, takich które by pasowały do tej konkretnej sytuacji. Jedno było pewne, nie zetknął się z czymś takim nigdy wcześniej podczas swojej dziennikarskiej kariery. Czułam pewnego rodzaju satysfakcję z tego powodu.

Po chwili ciszy Mikołaj oświadczył, że wprawdzie nie zmieni swojego zdania na ten temat ale może wysłuchać do końca tego nagrania, skoro jest na nim jeszcze coś odnośnie tej dziwnej sprawy. Włączyłam dyktafon. Katia mówiła dalej:

- Wiem, że brzmi to dla ciebie co najmniej niewiarygodnie, ale to prawda. Nie wiem w jaki sposób mogę ci to udowodnić. Widzisz to zdjęcie. Chyba nie masz wątpliwości co do tego, że ta osoba jest do mnie podobna. To jestem ja.

- Katia, rozsądek podpowiada mi że to co mówisz to po prostu niemożliwe. Z drugiej strony jednak, nie wiem jaki miałabyś cel żeby to wszystko zmyślać. Nie wiem czy ci wierzę, muszę się nad tym zastanowić i przemyśleć to zupełnie na trzeźwo. Mimo wszystko, zakładając że mówisz prawdę, dalej nie wiem kilku rzeczy. Dlaczego jesteś na ziemi, tutaj między ludźmi, skoro jak twierdzisz, nie żyjesz? Jak to jest możliwe? A przede wszystkim, dlaczego mi to mówisz, w czym ja miałabym ci ewentualnie pomóc?

- I to jest właśnie ta długa historia o której ci mówiłam. Jeśli jesteś gotowa to posłuchaj. I wtedy po raz drugi, tym razem w towarzystwie Mikołaja, po którym wyraźnie widać było starania aby przypadkiem nie dać się wciągnąć w to co mówi głos z dyktafonu, wysłuchałam opowieści Katii:

- Zacznę od tego, że to moje ukraińskie pochodzenie i praca u pani Eugenii to takie dwie wymyślone historie żeby móc się jakoś zakamuflować przed ludźmi. Owszem to prawda, że u niej pracuję, ale jak możesz łatwo się domyślić pieniądze nie są mi do niczego potrzebne. Nie muszę niczego jeść, nie czuję zimna, nie potrzebuję już żadnych szkół i tak dalej. To tylko po to, aby móc udawać przed ludźmi niezaradną, młodą Ukrainkę, a jednocześnie starać się rozwiązywać swoją zagadkę. Chcesz wiedzieć jaka ta zagadka? Otóż, nie jestem sama zza 'tamtej strony', tutaj w Podlasku. Jest nas więcej. Ludzi, którzy tygodnie, miesiące i lata temu odeszli, ale nigdy nie dostali się do tego lepszego świata. Często do nich dołącza ktoś nowy. Mieszkają w Sosnowym Lesie. Są niewidoczni dla żyjących, czasem tylko wyczuwalni dla swoich bliskich, którzy zostali, ale to też nie dla wszystkich. Dlatego ta krążąca legenda, że niby w Sosnowym Lesie straszy. Ale to nieprawda, nikt z nich nie ma złych zamiarów. Chcą tylko się dostać na drugą stronę, to ich jedyne życzenie. Pewnie interesuje cię, dlaczego jeszcze tam ich nie ma, do tej pory. To proste. Ludzie, którzy zostali, do tej pory nie pozwalają im odejść. Nie pogodzili się z ich śmiercią. Udują, że rozmawiają z nimi codziennie, trzymają ich rzeczy osobiste w swoich domach, dlatego ich dusze muszą przebywać jeszcze tutaj, na ziemi. Ale oni nie chcą tu już być, bo już tu nie należą. Chcą iść na drugą stronę i stamtąd obserwować swoich bliskich i pomagać im w razie potrzeby, bo tutaj nie są nikomu, do niczego potrzebni. Obserwowałam słuchającego w skupieniu Mikołaja. Bardzo chciałam, żeby uwierzył. Sama właściwie nie wiedziałam dlaczego tak bardzo tego chcę. Znałam to nagranie już prawie na pamięć. Kilka razy odsłuchiwałam go jeszcze po tym jak Katia już poszła do domu oraz na następny dzień rano. Chciałam się upewnić, czy na pewno coś takiego tam jest, czy to tylko moja wyobraźnia. Pozostawało jednak nie zmienione za każdym razem i stopniowo sprawiło że zaczęłam przekonywać się co do jego prawdziwej treści. Słuchaliśmy dalej:

- Katia, dlaczego ty, w takim razie nie jesteś w Sosnowym Lesie, tylko tutaj wśród nas?

- To ma związek z tym, kim byłam zżycia. Ludzie mówili, że mam niezwykłe zdolności. Umiałam przewidywać to, co za chwilę miało się wydarzyć, mimo że sama nie do końca zdawałam sobie z tego sprawę. Może taki trochę szósty zmysł.

W każdym razie, nie chwaląc się, to tylko mi udało się pojawić się z powrotem wśród żywych i dzięki temu zostałam wybrana do uratowania tych, którzy odeszli.

- Uratowania? – zapytałam.

- Tak. Przez te ostatnie dwa lata, spędzone tutaj, szukałam odpowiedniej osoby, która miałaby w sobie wystarczająco dużo wrażliwości na los innych i która byłaby inteligentna na tyle, aby nie doszukiwać się sensu w mojej historii, tylko przyjąć ją taką jaka jest. Aż wreszcie, znalazłam ciebie, Maju. Jesteś dociekliwa i nie poddajesz się łatwo. Myślę, że będziesz w stanie mi pomóc. Cieszyłam się z tego, że Katia ujęła to w ten sposób. Patrzyłam na Mikołaja, byłam ciekawa czy on też choć częściowo tak o mnie myśli.

- Co takiego miałabym zrobić?

- Powiem ci dlaczego mówi się o dwudziestym listopada. Otóż, jest to umowny dzień, w którym to, od kilku lat wszyscy nieżyjący mieszkańcy Sosnowego Lasu organizują coś w rodzaju zbiorowej prośby. Wszyscy o tym samym czasie łączą ze sobą swe siły i przenikają przez umysły ludzi, prosząc ich aby ci pozwolili im spokojnie odejść na drugą stronę. Lecz ludzie, odsuwają od siebie to co naprawdę się wtedy dzieje, interpretują to w inny sposób. Uważają, że wtedy właśnie, w tym dniu, duchy najbardziej ich nacierają. Dlatego tak się tego boją i rozmawiają o tym dniu na wiele tygodni przed. Bo nie wiedzą o tym, co naprawdę ma wtedy miejsce. Teraz odpowiem ci na twoje pytanie. Twoje zadanie nie polegałoby na niczym innym jak na przekonaniu ludzi, że ich bliscy będą szczęśliwi, jeśli nie będzie się ich wciąż opłakiwało. Tylko nie możesz dać po sobie cokolwiek poznać że wiesz o tym, co dzieje się w Sosnowym Lesie. Musisz zebrać, na siebie samą tą pewność od wszystkich ludzi, po to by naładowana taką mocą przyjąć do Sosnowego Lasu, dwudziestego listopada i otworzyć nam wszystkim drzwi na drugą stronę. Jest jeszcze jedno. Mówiłam ci już że pewien związek ma z tym pani Eugenia. Ona jest pierwsza na liście. – Katia starała się wprowadzić odrobinę humoru do tej bynajmniej niezabawnej historii. Jej siostra umarła w zeszłym roku. Pani Eugenia nawet nie stara się z tym pogodzić. Wiem coś o tym, bo przecież jestem u niej codziennie.

- Katia, ale ja nie wiem, czy będę w stanie to wszystko zrobić, jest wbrew pozorom tak mało czasu.

- Ja cię tylko proszę Maju, możesz odmówić – powiedziała błagając Katia, możesz się zastanowić i odpowiedzieć mi za jakiś czas. Ale pamiętaj, tam są setki ludzi, a ty wreszcie możesz zmienić ich los.

- Katia, właściwie to podjęłam już decyzję. Wprawdzie, nie wiem jeszcze jak ale pomogę ci. To znaczy, pomogę wam wszystkim.

- Nie mogę w to uwierzyć! – Mikołaj wstał od stołu i znowu podeszedł do okna.

- Niewiarygodne, prawda? – zapytałam. – Mikołaj, gdybyś ty wiedział jak ja długo biłam się z myślami, nie chciałam do siebie tego wszystkiego dopuścić. Po tej naszej rozmowie z Katia nie spałam całą noc. – Podeszłam do Mikołaja i usiadłam na parapecie. – Aż w końcu, wiesz ja jednak nie wyobrażam sobie żeby mogła zrobić inaczej. Ona tak o tym mówiła, gdybyś ją widział...

- Maju, posłuchaj mnie – Mikołaj wziął mnie za rękę, co sprawiło że poczułam się trochę niezręcznie. – Ja nie mówię o tej historii. Nie mogę uwierzyć w to, że się na to zgodziłaś – powiedział, patrząc mi prosto w oczy. Puściłam jego rękę. No tak. Mogłam od razu się tego spodziewać. To by było za piękne, gdyby wszystko było takie proste, gdyby tak po prostu uwierzył w to, co usłyszał bez rozbijania tego na fakty, dowody i części pierwsze. Przecież to niemożliwe żeby Mikołaj Takiewicz dał się nabrać na jakąś historię o duchach uwięzionych w Sosnowym Lesie. To przecież niemożliwe, nieprawdziwe, to nie istnieje. Wojna w Iraku, głodujące dzieci w Afryce i konflikty polityczne na Kubie – te rzeczy istnieją. O tym się mówi, można to zobaczyć, zrobić zdjęcie, napisać reportaż na pierwsze strony gazet.

Nie o jakiejś Katii, którą nie można nawet do końca określić kim jest. Dziewczynie z małej wioski, która twierdzi że nie żyje od dwóch i pół roku. I o jakiejś całej masie, tak samo nieżyjących ludzi, których nawet nie widać.

- Tak myślałam – westchnęłam i zeskoczyłam z parapecetu. – Wiedziałam od razu, że tak będzie. Niepotrzebnie tego

śłuchałeś. Trudno, stało się.

- Maja, ja cię przepraszam, ale takie są fakty. Nie wierzę w ani jedno słowo, które ona ci powiedziała – dodał. Zrobiło mi się przykro bo to tak jakby powiedział, że nie wierzy też w to, co powiedziała o mnie. Nie dałam tego jednak po sobie poznać.

- Dla mnie jest to historia żywcem wyssana z palca przez jakąś dziewczynę żądną przygód.

- A to zdjęcie? – przypominałam sobie. – Uważasz, że to nie może być ona? Wygląda tam identycznie.

- Maja, na miłość Boską, nie bądź naiwna. Czy ty wiesz, jakie rzeczy można teraz zrobić, żeby się do kogoś upodobnić?

- Niewiele wiem, ale domyślałam się że ty wiesz bardzo dużo – nie cierpiałam gdy się przechwalał tym, czego on to nie wie na wiele tematów.

- Majka, proszę cię nie obrażaj się. Mówię ci tylko jak jest. – znowu patrzył mi prosto w oczy, co w połączeniu z jego spokojnym głosem wyjątkowo działało mi na nerwy. Nie pasowało to za grosz do sytuacji. Właśnie dał mi do zrozumienia, że jestem nieopierzoną, łatwowierną dziennikarką i wiele się jeszcze muszę nauczyć. Zanim będę tak jak on, przyjmować do siebie suche fakty i tylko fakty.

- Skoro nie wierzysz w to co mówię, ani w to co się tutaj dzieje, to dlaczego po prostu nie pojedziesz z powrotem do Warszawy? – zaczęłam się już irytować tymi jego ciągłymi komentarzami.

- Maja, tobie wierzę. To znaczy, wierzę że ty myślisz że to wszystko prawda. Ale to dlatego, że ta dziewczyna ma na ciebie taki wpływ. Taka siła perswazji. Zrozum, że ona to wszystko po prostu wymyśliła. Według mnie, może mieć jakąś chorobę psychiczną. A może po prostu chce zrobić dużo szumu wokół swojej osoby. Nie ważne w jaki sposób, żeby tylko się wyrwać z tego zaścianka – Mikołaj wyjątkowo się starał, żebym 'przejrzała na oczy' i przestała słuchać tego co mówi Katia.

- Mikołaj, wiem. Ty wierzysz tylko w to co zobaczysz na własne oczy. A ja się chcę po prostu przekonać czy to wszystko prawda. Wtedy będę mogła spokojnie wrócić do Warszawy. Z tobą czy bez ciebie. Przecież cię nie zatrzymuję. – Czułam, że nie mówię tego na poważnie. Chciałam żeby został, bo sama koszmarnie źle się czułam z tą historią, w tym obcym miejscu. Oraz z tym, że nie wiedziałam nikogo z moich znajomych przez ponad dwa miesiące.

- Ale wiesz, że z tego już nie będzie żadnego reportażu? – zapytał mnie takim tonem, jakby spodziewał się odpowiedzi w stylu: 'Naprawdę, niemożliwe, jak tak to wracam'.

- Gdyby nawet to wszystko okazało się prawdą – ciągnął dalej – opisując to, zrobiłabyś zamieszanie na cały kraj, bo ludzie by po prostu przestali brać cię na poważnie jako dziennikarza.

- Czego ode mnie oczekujesz, Mikołaj? Że powiem, że mnie tym przekonałeś? Doskonale sobie zdaję sprawę z tego co mówisz, ale nie trzyma mnie tu już żaden reportaż. Chcę pomóc Katii. I innym – zawałałam się – ludziom. Owszem, wcześniej chodziło mi tylko o artykuły. Po to tu zresztą przyjechałam, ale teraz co innego jest ważniejsze. To ty gonisz regularnie na końcu świata w poszukiwaniu sensacji. Ja staram się dostrzegać w tym wszystkim pojedynczych ludzi i ich problemy.

- Myślisz, że moje reportaże z wojen są tylko po to żeby się pokazać w telewizji? Żeby mnie ludzie rozpoznawali na ulicy? Żeby mieć górę pieniędzy?

- Kto inny pcha się do Iraku, w sam środek wojennego kotła i nawet nie wie czy wróci, czy też nie??

- Ten, kto chce uczulić innych na rozmiar ludzkiej tragedii, poruszyć ich sumienia, aby mogli się zastanowić nad swoimi decyzjami. I opisuję, lub mówię o problemach ludzi, wtedy kiedy są niezaprzeczalne fakty, że jest tak jak jest. Żadnych tajemnic, tylko wszystko czarno na białym, czego tutaj, sama przyznaj, wyraźnie brak.

Przykro mi, że byłaś święcie przekonana że zależy mi wyłącznie na sławie.

Był to jeden z tych dialogów, których słów żałujemy że zostały wypowiedziane, jeszcze w momencie ich mówienia.

## Rozdział IV

Powiedziałam Mikołajowi, żeby podjął jakąś decyzję, taką która będzie jego zdaniem najlepsza w tej sytuacji, a ja w

tym czasie poszłam przejść się uliczkami wsi Podlasek. Muszę przyznać, że już wtedy zaczęłam zdawać sobie sprawę z tego, że stopniowo polubiłam to miejsce. Mimo że, było tak zupełnie inne pod każdym względem od dużego miasta w którym przywykłam żyć. Żadnego zgiełku, korków ulicznych ani ludzi pędzących do pracy. Jakby czas się zatrzymał. Jakby coś, co miało się niedługo wydarzyć miało zamiar na nowo tknąć życie w tą odciętą od cywilizacji wioskę. I ja miałam się do tego przyczynić. Wracając do domu, właściwie byłam pewna że Mikołaj postanowił wrócić do Warszawy. Byłam na to w zupełności przygotowana, ponieważ wiedziałam że nie jest to w jego stylu aby robić coś wbrew sobie. Dlatego wróci. Chciałam go jedynie prosić jeszcze raz, aby zostawił to wszystko co tutaj usłyszał wyłącznie dla siebie. Przynajmniej do czasu mojego powrotu.

Tymczasem, to co zobaczyłam już od progu zupełnie przerosło moje oczekiwania. Zapach pieczonego kurczaka z warzywami unosił się w powietrzu. To, co kupiłam dzień wcześniej z myślą o obiedzie było przygotowywane przez Mikołaja w taki sposób, że właśnie przypominałam sobie że można by było coś zjeść. Mikołaj krążył pomiędzy moją podlaskową kuchenką a podlaskową lodówką, co chwilę wyciągając coraz to nowe rzeczy, a przy stole siedziała... Katia. To ostatnie wprowdziło mnie w wyjątkowe osłupienie. Oboje zauważyli jak wchodzę do kuchni.

- O, dobrze że już jesteś – powiedział Mikołaj, - obiad prawie gotowy.

- Co tu się dzieje? – zapytałam zupełnie oszołomiona.

- A co ma się dziać? Siedzimy sobie z Katią, ona zresztą już niedługo wychodzi, nie zostanie na obiedzie bo jest duchem, a duchy nie jedzą. – powiedział zupełnie niewinnie. Zanim zdążyłam się zdenerwować na niego za to co powiedział, Katia mrugnęła do mnie przyjacielsko na znak, że wszystko w porządku. Wstała od stołu:

- Czyli, tak jak się umawialiśmy, prawda Mikołaj? Tylko powiedz o wszystkim Mai.

- Dokładnie tak, jasne że powiem.

Katia pożegnała się z nami i poszła w kierunku domu pani Eugenii a ja odwróciłam się do Mikołaja:

- Czy możesz mi wytłumaczyć o co chodzi? Skąd ta nagła zmiana? Co postanowiliście? O czym masz mi powiedzieć?

- Spokojnie, nie wszystko na raz – Mikołaj wrócił do smażącego się kurczaka na patelni. – Przyszła tutaj, niedługo po tym, jak ty wyszłaś. Powiedziała kim jest, ale nawet nie musiała, od razu ją poznałam. Chodzi o to, że od jutra zaczynamy coś konkretnie działać w tej sprawie. Wbrew pozorom jest niewiele czasu do dwudziestego listopada.

- Zaczynamy? Czy to znaczy, że zostajesz? – zapytałam wciąż nie wierząc w to co zobaczyłam przed chwilą. – Zmieniłeś zdanie?

- Maja, ani przez chwilę nie pomyślałam że mógłbym tu nie zostać. Pomogę ci w tym wszystkim, to oczywiste.

- Ale, to nie znaczy że jej uwierzyłeś, prawda? – zapytałam mimo że byłam prawie pewna odpowiedzi.

- Nie – przyznał szczerze. – Ale może potrzebuję na to trochę więcej czasu – dodał po chwili, co mnie nawet zaskoczyło. – To, co się tutaj dzieje – ciągnął dalej – kłóci się z tym, co znam od wielu lat, jeśli wiesz o co mi chodzi. Wyłączył gaz pod kurczakiem w warzywach i zapytał gdzie trzymam talerze.

- Swoją drogą, nie wiedziałam że masz pojęcie o gotowaniu – powiedziałam.

- Szkoda, że tak jeszcze mało o mnie wiesz – odpowiedział. A więc jednak zostaje, ucieszyłam się. Nie będę sama z tą dziwną historią. Mikołaj zostaje i pomoże mi ją rozwiązać. Nie wytrzyłam, rzuciłam się mu na szyję.

- Dzięki, Mikołaj!

- Ale za co? – zapytał z udawanym zdziwieniem – Za to, że zostaję w Podlasku, czy za tego kurczaka – całkowicie rozładował atmosferę.

- Za jedno i za drugie – przyznałam szczerze. – I przepraszam – dodałam przypominając sobie naszą wcześniejszą rozmowę. – Za to, że tak powiedziałam, no wiesz, o twoich wyjazdach do Iraku. Nie miałam na myśli niczego złego. Ile razy jesteś w telewizji, a za tobą wojna w pełni, ja po prostu się o ciebie boję – nie wierzyłam sama, że to powiedziałam, spuściłam głowę. Wziął mnie delikatnie za brodę i popatrzył mi w oczy:

- Będzie dobrze – powiedział z przekonaniem. – Ja



też się o ciebie bałem, dlatego tutaj jestem. – Powiedz mi w końcu, gdzie trzymasz te talerze.

Gdy wieczorem leżałam już w łóżku, analizowałam to co wydarzyło się w ciągu tamtego dnia. To nagranie na dyktafonie, nagła zmiana w zachowaniu Mikołaja, wizyta Katii. Mikołaj. Musiałam przyznać sama przed sobą, że on sam stanowił dla mnie prawie taką samą tajemnicę jak ta cała historia z Sosnowym Lasem. Zastanawiałam się nad odpowiedziami na kilka nurtujących mnie pytań. Dlaczego tutaj przyjechał? Dlaczego postanowił że zostanie aby się przyłączyć do rozwiązania tej sprawy? Dlaczego wydaje się tak inny od tego człowieka z telewizji relacjonującego bez emocji wydarzenia ze świata? Z Bagdadu – mówią do państwa Mikołaj Takiewicz. Kim naprawdę jest Mikołaj Takiewicz? To pytanie dręczyło mnie najbardziej tamtego wieczoru. Kolegą z pracy? Przyjacielem? Nie. Przynajmniej do tej pory nigdy nie był dla mnie tym drugim. Krótkie, zdawkowe dialogi na temat pracy redakcji w bieżącym miesiącu, przelotne 'cześć' na korytarzu czy na ulicy, gdy łaskawie pojawił się w Warszawie, to było wszystko co nas do tej pory łączyło. To, że mu powiedziałam że się o niego martwiłam nie było pod wpływem emocji. Martwiłam się, to prawda. Ale tylko dlatego, że go znałam, że był moim kolegą po fachu i dlatego byłoby mi bardzo źle gdyby coś mu się stało. Przynajmniej wtedy tak myślałam, że to tylko dlatego. W każdym razie, ktoś taki postanowił wyjechać z Warszawy, narazić się redakcji i przyjechać do małej wioski – Podlasek tylko dlatego żeby dowiedzieć się co mnie tutaj tak trzyma. A może nie tylko dlatego? Niewiele o mnie wiedział, tak jak i ja niewiele wiedziałam o nim, oprócz tych oczywistych rzeczy, którymi się zajmował. Pod wpływem wydarzeń ostatnich dni i godzin zaczęłam marzyć tylko o tym aby móc to kiedyś zmienić. A może to obecność Mikołaja w moim 'podlaskowym domku' zaczęła tak na mnie działać? To że był ze mną przez cały dzień i że spał teraz w pokoju obok i że zamierzał zostać do dwudziestego listopada. To, że będzie mnie widział w piżamie i bez makijażu przez kilka kolejnych dni? Nie ukrywałam nigdy przed sobą, że zawsze mi się podobał. Ile razy widziałam go w telewizji i na żywo zawsze wiedziałam że jest przystojny. Te ciemne włosy i oczy, mądre i przenikliwe, jakby umiały czytać ludzkie myśli. Jednak zawsze myślałam, że ma charakter cwaniaka. Człowieka, który myśli o sobie samym Bóg wie co. Wtedy, tamtego dnia, zaskoczył mnie jednak. Swoją decyzją, delikatnością, nawet tym kurczakiem w warzywach. I tym, że powiedział że się o mnie bał i dlatego tu przyjechał. Pocałowałam się bezpiecznie. Co w nim naprawdę siedziało? Tamtej nocy poczułam, że zaczynam go lubić. A to był z pewnością pierwszy krok do tego, aby go lepiej poznać.

Następnego dnia, siódmego listopada, od rana, zaczęliśmy układać z Mikołajem plan pod tytułem: 'Przekonajmy mieszkańców Podlaska, że nie powinni wciąż myśleć o swoich bliskich zmarłych'. Główne założenie było takie, żeby był 'wilk syty i owca cała', czyli przy jednoczesnym osiągnięciu zamierzonego celu, nikt nie powinien się zorientować że wiemy o tym co dzieje się w Sosnowym Lesie. Mogliby nas wtedy posądzić o jakieś złe zamiary, czarną magię albo po prostu nam nie uwierzyć i wszystkich tych rzeczy chcielibyśmy unikać. Tymczasem, dochodziła dziewiąta, a na horyzoncie nie pojawił się ani wilk ani owca, bo wciąż nie mieliśmy w głowach niczego konkretnego.

- Dobrze by było, gdyby Katia była tu teraz z nami.
- To jej godziny pracy u pani Eugenii, myślę że pojawi się po południu – powiedziałam.
- Co tu zrobić z tymi ludźmi? – Mikołaj myślał na głos. Byliśmy w moim pokoju, ja siedziałam na fotelu, Mikołaj krążył między oknem a drzwiami, co jak twierdził pomagało mu się skoncentrować.
- Swoją drogą, całkiem ładny ten twój wynajęty domek – powiedział zmieniając temat. – Gdy się dowiedziałem o tym że wyjeżdżasz, myślałem że wynajmą ci jakąś nie przymierzając 'dziurę' z jednym pokojem i ślepą kuchnią. Utkwiła mi w głowie pierwsza część zdania.
- Gdy się dowiedziałeś że wyjeżdżam? Przecież byłeś wtedy w Iraku. Poza tym, mój wyjazd to nie było wydarzenie roku, kto ci o tym powiedział?
- Wróciłem z Iraku parę dni po tym jak ty przyjechałaś tutaj. Później pojechałem znowu. Kto mi powiedział? Wszyscy mówili odkąd twoje reportaże zaczęły zdobywać popularność wśród Warszawiaków. Nawet nie wiesz ilu ludzi czytało twój

dodatek kulturalny.

- Poważnie? – zapytałam, nie starając się nawet ukryć zdziwienia. – Myślałam, że nikt się tym nie interesuje.
- Hej, trochę więcej wiary w siebie, panno Maju Tokarska. – Usiadł koło mnie na krześle. – Wszyscy się tym interesowali, czytali o tym co się dzieje w tak małej miejscowości.
- No to teraz sobie poczytaj – dodałam ironicznie. – O tym jak to się Maja Tokarska zajmowała głupotami we wsi Podlasek, zrobiła zamieszanie w poważnej redakcji i w związku z tym została z niej wyrzucona z hukiem.
- Nie będzie tak źle. Jest nas dwoje, a co dwie głowy to nie jedna, coś wymyślimy. Obiecuję.
- Nie wiem co, ale coś kazało mi uwierzyć w jego słowa.
- Wracając do tematu, wymyśliłeś coś? Masz jakiś pomysł?
- Wydaje mi się, że coś mam. Posłuchaj. Po pierwsze, to nie sądzę żeby było dobrym pomysłem abyśmy chodzili do każdego mieszkańca po kolei jak jacyś domokraczy.
- Co w związku z tym proponujesz?
- Można by było zebrać ich wszystkich razem i wygłosić im, w jakiś sposób, nie wiem jeszcze jaki, to co mamy do powiedzenia.
- Mikołaj, nie obraż się, ale to bez sensu. Oni znają mnie, znają też ciebie z telewizji. Co jeśli po pierwsze nie uwierzą, co jest bardzo prawdopodobne, po drugie przekażą to dalej? Do Warszawy. Ty też wtedy stracisz pracę, nie tylko ja, bo redaktor naczelny pomyśli, że oboje zwariowaliśmy.
- Tak by się stało – mówił dalej Mikołaj, - gdybyśmy wystąpili przed ludźmi tylko we dwoje. Ale ja myślę, o czymś więcej, gdyby tak Katia też z nami tam była. Jako duch, a twierdzi że nim jest, mogłaby coś pokazać, jak przechodzi przez ściany, czy coś w tym stylu. Powiedziaby, że jest ich więcej, wtedy może by ludzie się do tego przekonali.
- Sama nie wiem – przyznałam szczerze, -przecież mieliśmy właśnie nie mówić ludziom wprost o Sosnowym Lesie.
- Ale wiesz co, ja myślę że lepiej by ich było po prostu uświadomić w tej kwestii.
- A nie boisz się, że wywołasz ogólną panikę?
- Oczywiście, że się boję, ale wydaje mi się że trzeba podjąć to ryzyko, bo wygląda na to że nie ma innego wyjścia. Zobaczymy jeszcze co myśli o tym Katia.
- Po południu, gdy przysłała do nas Katia od razu wytłumaczyliśmy jej nasz plan. Tak jak myślałam, nie zapalała do niego entuzjazmem. Powiedziała, że ostatnią rzeczą którą chce, to sprowadzić na nas jakiś kłopoty, w związku z tym że jej pomagamy. Jednak było coś jeszcze. Coś, o czym Katia nie chciała na początku mówić. W końcu jednak, za moją namową zdecydowała się opowiedzieć nam o co chodzi.
- Chcecie, żebym udowodniła ludziom, że jestem duchem. Mogę to zrobić, ale to nie jest takie proste. Mogę zniknąć na ich oczach, ale wtedy już mnie nigdy nie zobaczę. Stracę swoją moc. Nie będę już mogła przychodzić do pani Eugenii, bo najnormalniej w świecie nie będzie mnie już ani widziała, ani słyszała. Stanę się, jak pozostali mieszkańcy Sosnowego Lasu. Jedynymi ludźmi, dla których mój wizerunek się w ogóle nie zmieni będziecie wy. Dlatego, że jesteście w to wtajemniczeni. Co więc z innymi, którzy są święcie przekonani, że jestem tylko dziewczyną z Ukrainy sprząającą u pani Eugenii?
- No właśnie, co? – zwróciłam się w kierunku Mikołaja. Nic – odpowiedział po prostu. – Skoro tylko my będziemy cię widzieć – powiedział do Katii, - to zamieszkaż u nas. Nawet jeśli zaczną cię szukać, to przecież i tak nie znajdą. Nie ma się więc o nic martwić. Ważne jest, żeby dać im tym wydarzeniem do myślenia. No i jeszcze jedno, najważniejsze: Najlepiej będzie jeśli to będzie miało miejsce zaledwie na parę dni przed dwudziestym listopada. Nie zdąży w tak krótkim czasie zrobić niczego, co ewentualnie mogłoby zaszkodzić Mai i mnie. Trzeba wyznaczyć jakiś dzień, omówić szczegółowy plan działania i odpowiednio przygotować grunt.

## Rozdział V

Następnego dnia, od rana zabraliśmy się właśnie do przygotowywania odpowiedniego gruntu. Zdaniem Mikołaja, a ja przyznam szczerze że musiałam się z tym zgodzić, żeby odpowiednio dotrzeć do mieszkańców Podlaska potrzebny był nam

ktos jeszcze. Do tego wydarzenia, które przygotowaliśmy nie wystarczyłoby znająca im od dwóch miesięcy dziennikarka, człowiek którego przynajmniej część z nich zna z telewizji i młoda służąca z Ukrainy. Potrzebny był ktoś, komu mogliby bezgranicznie zaufać, ktoś, o kim wiedzieliby że na pewno mówi prawdę i ma dobre zamiary. W tak małej miejscowości, jaką z pewnością była wieś Podlasek, była tylko jedna osoba, która mogłaby ewentualnie spełniać powyższe warunki. Podczas gdy Katia miała swoje godziny urzędowania u pani Eugenii, Mikołaj i ja poszliśmy wzdłuż jednej z polnych dróg wsi, omijając w miarę możliwości różnej wielkości góry usypane ze śniegu, który napadał wyjątkowo obficie poprzedniej nocy. Miałam już zapytać Mikołaja czy jest aby na pewno przekonany o tym że to co zamierzaliśmy zrobić było dobrym pomysłem, jednak zrezygnowałam z tego zamiaru. Odnosiłam chyba dobre wrażenie, że Mikołaj nie był pewien czy cokolwiek tutaj było dobrym pomysłem włącznie z jego przyjazdem do wsi. Jednak i tak byłam mu w duszy wdzięczna za to, że postanowił się zaangażować w tą historię. Wiedziałam, że samej pewnie byłoby mi ciężko dać sobie radę, chociaż na myśl by mi nie przyszło żeby wtedy to przed kimkolwiek przyznać. Szliśmy więc w milczeniu, nie licząc kilku przelotnych komentarzy o śniegu, drogą którą ja sama przechodziłam wcześniej dziesiątki razy. Myślałam tylko o jednym: żeby być w stanie jak najszybciej wrócić do Warszawy.

Wysokie, polakierowane brązową emulsją dębowe drzwi z dzwonkiem elektrycznym na framudze i poziomą szparą po środku służącą do wrzucania korespondencji, były chyba jedyną, w miarę nowoczesną rzeczą, którą zauważyliśmy. Cała reszta, począwszy od drewnianego, chropowatego płotka, w którym brakowało średnio co trzeciego szczebla, niewielkiej studni z przywiązanim wiaderkiem, aż po panią w chustce na głowie, która otworzyła nam drzwi, sprawiała wrażenie że została żywcem wyrwana z poprzedniej epoki.

- Szczęść Boże – powiedzieliśmy prawie jednocześnie.  
- Daj Boże – odpowiedziała pani w chustce.  
- My chcieliśmy rozmawiać z księdzem proboszczem, jeśli można – powiedziałam.

- Jeśli to chodzi o ustalenie daty ślubu – pani w chustce zmierzyła nas wzrokiem – to ksiądz powiedział, że już dzisiaj nikogo nie przyjmuje, bo tyłuż to już ludzi poprzychodziło że miejsc wolnych nie ma aż do marca.

- Ale my w zupełnie innej sprawie – powiedział Mikołaj.

- Aha..., - pani w chustce popatrzyła na nas badawczo, pomyślałam że albo Mikołaj wydaje jej się znajomy, albo po prostu się zastanawia w jakiej to innej sprawie może przychodzić dwoje młodych ludzi do księdza proboszcza na plebanię. 'Gdyby wiedziała' – pomyślałam, 'pewnie by jej aż chustka spadała z wrażenia z głowy'.

- Jak w innej sprawie to zapraszam – powiedziała i udała się w kierunku oddalonego o kilka metrów od drzwi pokoju, a my poszliśmy za nią.

W środku wydawało się być całkiem miło i przytulnie. Przy biurku obok okna siedział ksiądz. Gdy pani w chustce powiedziała mu, że przyszliśmy z jakąś sprawą, którą bynajmniej nie jest ustalenie daty ślubu, zaprosił nas do niewielkiego stołu na środku pokoju. Następnie poprosił panią w chustce, która zresztą miała na imię Krystyna o zrobienie trzech filiżanek herbaty.

- A więc, co was do mnie sprowadza? – zapytał. Starając się ze wszystkich sił zachować spokój i profesjonalność, zaczęłam:

- Nie wiem czy ksiądz mnie kojarzy. Nazywam się Maja Tokarska, od kilku tygodni mieszkam tutaj, w Podlasku żeby pisać reportaże o mieszkańcach dla warszawskiego dwutygodnika 'Nasze Czasy' – wyrecytowałam jednym tchem.

- Hm..., no tak, coś tam ludzie mówili, ale pana jak najbardziej kojarzę – powiedział zwracając się do Mikołaja. – To pan jest tym dziennikarzem co jeździ do Iraku tak? Mikołaj Takiewicz?

- Tak, to ja – powiedział Mikołaj z udawaną skromnością.

- I nie boi się pan tak podróżować, kiedy wokół wojna, i co chwilę te wybuchy, strzały? A teraz się jeszcze tyle tego wszystkiego słyszy.

- Tak, to prawda, ale dziennikarze są w innej sytuacji niż żołnierze. Jesteśmy bardziej chronieni, unikamy bardzo niebezpiecznych punktów.

- Ale mimo wszystko – mówił dalej ksiądz – pomimo że jest to bardzo szlachetne, co pan robi, to igraszki ze śmiercią.

- Ma ksiądz rację, zresztą zastanawiam się czy by z tego nie zrezygnować.

Utkwiło mi w głowie, to co powiedział. Trochę zbita z tropu ciągnęłam dalej.

- Kończę już swój pobyt we wsi Podlasek. Redaktor naczelny poprosił mnie abym napisała końcowy reportaż na temat szczęścia mieszkańców.

- Tak, wracając do tematu z którym tu przyszliśmy – dodał Mikołaj orientując się w porę, że nie będziemy rozmawiać o jego wojennych przygodach.

- Szczęścia mieszkańców? – zapytał ksiądz.

- Tak – powiedziałam niepewnie. Przez ponad dwa miesiące, odkąd tutaj jestem, obserwowałam ich bardzo dokładnie i doszłam do wniosku że nie są szczęśliwi.

- Nie mieszkają w mieście, mają trudności w znalezieniu pracy. Niechętnie wybierają się gdzieś dalej, w szczególności teraz, w zimie, ale nigdy nie myślałam że czegoś im brakuje do szczęścia – powiedział ksiądz z lekkim oburzeniem.

- Bo to jest powiązane z jedną, konkretną sprawą – dodał Mikołaj. – Mieszkańcy Podlaska ciągle rozmyślają o swoich bliskich zmarłych. Tak Maja zauważyła ze swoich obserwacji, prawda Maju?

Pokiwałam głową.

- Nie mogą się pogodzić z tym, że już ich nie ma z nimi. Dlatego naszym zdaniem wciąż są nieszczęśliwi. Ksiądz poprawił się na krześle i dopił resztkę herbaty.

- Zawsze mówię swoim wiernym żeby często wspominali bliskich zmarłych, modlili się za nich. Nie sądzę, żeby z tego powodu mogli być nieszczęśliwi – powiedział jakby z wyrzutem.

- Ale oni po prostu wciąż za nimi rozpaczają. I w tym cały problem – powiedział Mikołaj.

- Nie rozumiem jednak, do czego ja wam jestem potrzebny.

- Myśleliśmy o zorganizowaniu jakiegoś dużego spotkania – powiedziałam, - na którym by ksiądz przedstawił swój punkt widzenia, również my. Mogłoby się to odbyć na przykład tutaj, na plebani.

- Co takiego? – ksiądz zdawał się być wyraźnie oburzony naszym pomysłem. – U mnie? Na plebani? Przyznam szczerze, że to co mówicie, nie ma dla mnie najmniejszego sensu. Nie mogę się na to zgodzić. Ludzie mnie cenią. Nie mogę pozwolić sobie na to, żeby zmienili o mnie swoje zdanie.

- Ale to byłoby dla dobra naszej redakcji – powiedziałam, jakby ten argument miał przekonać księdza. – To byłby mój ostatni reportaż. Taki podsumowujący, a później wrócę już do Warszawy.

- Dam pani jedną radę. Proszę pisać o rzeczach, które przemówią do każdego rodzaju czytelnika. I tego z miasta i tego ze wsi, a nie zajmować się rozwlekaniem ludzkich złych wspomnień. Nie sądzę żeby się to komukolwiek spodobało. Ci ludzie są, tacy jacy są. Pani reportaż nie wiele może tutaj zmienić. Oni już tacy będą.

Zrezygnowani, opuszczaliśmy powoli plebanię. Mikołaj kręcił się trochę dłużej przy drzwiach, a ja już prawie opuściłam bramę chropowatego płotka. 'Trzeba będzie poszukać innej drogi' – pomyślałam. Szkoda. Nadal stoimy w miejscu, a czasu coraz mniej. Co powiemy Katii?

Katia przyszła tego dnia wieczorem. Siedzieliśmy przy kuchennym stole rozmyślając nad wątkami naszego planu, który na razie przypominał tylko ogólny zarys działania.

Mój telefon, który jednak czasami dawał jakieś oznaki życia w moim podlaskowym domu, zawibrował nagle na stole. Wiadomość na pocztę głosową. Oczywiście ktoś nie mógł się dodzwonić z powodu braku zasięgu. Podejrzywałam, że może to być ktoś z redakcji. Nie mogąc się dodzwonić do poczty głosowej tradycyjnym sposobem, uczyniłam Katię i Mikołaja świadkami widowiska, polegającego na włożeniu telefonu do suchej szklanki i postawieniu na parapecie. Aby mieć pewność że będzie zasięg otworzyłam okno.

Tu poczta głosowa, masz jedną nieodebraną wiadomość. 'Na pewno redakcja' – pomyślałam – 'Co ja im powiem? Pewnie dzwoniła żeby mi powiedzieć, że już nie mam do nich po co wracać.'

Dobry wieczór pani Maju. Przez pierwszą chwilę nie poznałam głosu. Postanowiłem się jednak zgodzić. Chociaż

nie rozumiem do końca sensu tego wydarzenia, Nacisnęłam opcję 'głośno mówiący' w telefonie, głos mówił dalej: to jednak uważam, że ludzie powinni sobie pomagać. Więc możecie zając jedną salę u mnie na plebani. Mikołaj podszedł do mnie do parapetu. Ustalcie jakiś dzień, a ja zapowiem ludziom przy okazji ogłoszeń parafialnych. Tylko pamiętajcie, że trzeba tam najpierw porządnie wysprzątać. Więc, przyjdźcie do mnie kiedy wam pasuje to ustaliśmy szczegóły. Z Bogiem.

- Słyszałeś? - odwróciłam się do Mikołaja.  
- Słyszeliście? - popatrzyłam na Katię.  
- Zgodził się. Ale zaraz... skąd miał mój numer?  
- Jak wychodziliśmy, to dałam tej jednej w tej dziwnej chustce na głowie, w razie gdyby ksiądz zmienił zdanie.  
- Ale dlaczego akurat mój? - zapytałam.  
- No bo ty znasz te wszystkie triki ze szklanką - odpowiedział niewinnie. - Nie jesteś zła?  
Uśmiechnęłam się i zwróciłam się w kierunku Katii. - Widzisz Katia? To już połowa sukcesu. Teraz będzie z górki.  
- Widzę. - powiedziała. - Teraz dopiero się zaczyna.  
- Daj, zamknę wreszcie to okno, bo jest strasznie zimno - powiedział Mikołaj.  
- Dzięki - uśmiechnęłam się do niego jeszcze raz.  
- Za co?  
- Nie wiem. Za wszystko - powiedziałam jak najzupełniej szczerze.

Ma ksiądz rację, zresztą zastanawiam się czy by z tego nie zrezygnować. Oprócz planu zorganizowania spotkania mieszkańców, do końca wieczoru to jedno zdanie miałam w głowie.

## Rozdział VI

- Twoja kolej. - Katia powiedziała to tonem nie znośnym sprzeciwu i odwróciła się w moją stronę. - Powiedziałam ci wszystko jak wyglądało moje życie teraz ty mi powiedz jak wygląda twoje.

- Nie tak prędko, Katia. -  
Siedzieliśmy w moim pokoju na kanapie, korzystając z wolnego przedpołudnia Katii, kiedy to nie musiała być u pani Eugenii, ale i tego że Mikołaja nie było w domu, bo wcześniej wysłałam go do miasteczka na zakupy. Po jego powrocie, mieliśmy iść na plebanię ustalać szczegóły spotkania.

- Zdawkowe odpowiedzi na temat twoich studiów, rodziny, przyjaciół i czym się zajmowałaś to nie znaczy że opowiedziałas mi swoje życie.

- A co jeszcze chciałabyś wiedzieć?  
- 'Dlaczego poszłaś nad tą rzekę? Co dokładnie się wtedy wydarzyło?' - przeszło mi przez myśl, ale nie zadałam tego pytania. Katia wyraźnie unikała tego tematu, zdawało się że omija go szerokim łukiem, a ja nie chciałam tego drażnić. Dla nas wszystkich, sytuacja ta była już i tak wyjątkowo skomplikowana.

- No dobrze, właściwie to mogę ci już dać spokój - uśmiechnęłam się. - No więc, jeśli chodzi o mnie, to co cię interesuje?

Zaczynałam być powoli głodna i moje myśli krążyły wokół pustej lodówki a Mikołajem, który łąda chwila powinien wracać z zakupami. Mimo że minęło już trochę czasu od momentu w którym dowiedziałam się kim naprawdę jest Katia, nadal czułam się co najmniej niezręcznie w jej towarzystwie. Zrzuciłam to na kark resztek zdrowego rozsądku, które miałam nadzieję że jeszcze tam gdzie były w mojej głowie zasłonięte wprowadzającymi wydarzeniami ostatnich dni. Katia westchnęła:

- Interesuje mnie dużo rzeczy. Co skłoniło cię, że wybrałaś taki zawód?

- Zawsze chciałam mieć dużo do czynienia z ludźmi i ich problemami. Przyczyniać się do ich rozwiązywania. - przyznałam szczerze.

- Pewnie Mikołaj też? - zapytała

- Tak, tylko że Mikołaj za bardzo się naraża. Ja bym nie była w stanie aż tak się poświęcać. Przecież może zginąć.

- Zależy ci na nim, prawda?

Pytanie Katii zbiło mnie z tropu i pewnie to zauważyła.

- Zależy mi na tym, żeby nic mu się nie stało - powiedziałam po chwili.

- Mają, pamiętaj o tym, że ja widzę więcej niż wy możecie dostrzec. Jemu na tobie zależy. Po prostu to wiem, nie pytaj mnie skąd.

- Kiedyś myślałam o nim inaczej niż teraz - powiedzia-

łam. - Że jest zarozumiały, że myśli tylko o sobie, bo chce być sławny. Tym że tu przyjechał, naraził się naszej redakcji i to że tak się angażuje, sprawił że zmieniłam o nim zdanie.

- Wiesz co - powiedziała Katia, jakby chciała mi wyjawiać jakąś tajemnicę, - Jedno twoje słowo i Mikołaj nie pojedzie już więcej do Iraku ani w inne wojenne miejsce. Zostanie tam gdzie będziesz ty i nie będzie już więcej ryzykował.

Nie pytałam ją nawet skąd to wie.

- Pasujecie do siebie - ciągnęła dalej. - Macie te same inicjały: MT.

- Co? - roześmiałam się

- No dobrze, tym razem żartuję, ale nie wiem jak mam inaczej do ciebie dotrzeć.

- Idzie Mikołaj - powiedziałam, gdy zobaczyłam z daleka jego sylwetkę z dwiema siatkami zakupów.

Wstałam i zwróciłam się ponownie do Katii:

- Żałuję Katia, że nie przyszło nam się spotkać w innych okolicznościach. To niesprawiedliwe.

Popatrzyła na mnie swoimi dużymi piwnymi oczami, o których nigdy do końca nie wiedziałam co w sobie kryją.

- Bo życie takie właśnie jest, Majka. Kruche i niesprawiedliwe. A ludzie robią wszystko, żeby za wszelką cenę oszukać samych siebie że tak nie jest.

Zasmuciło mnie to, co powiedziałam.

- Czy można coś z tym zrobić? - zapytałam.

- Oczywiście, że można - tym razem jej twarz rozjaśniła i nabrała optymizmu. - I ty już sama doskonale wiesz co. Ja powiem ci jeszcze tylko to, że obiecuję że się wam kiedyś odwzajemnię za to co dla mnie robicie. Będę zawsze pamiętać o nagrodzie dla was.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć do pokoju wszedł Mikołaj:

- Już jestem. Więc zjemy coś szybko, wszyscy... - zawahał się - dwoje i ruszamy w tango.

Puścił do mnie oko a ja przez chwilę poczułam się jakbym wcale nie brała udziału w jakimś niewytłumaczalnym wydarzeniu, tylko gdybym spędzała kilka dni urlopu ze znajomymi z daleka od miasta. Na dworze leżał śnieg, który spadł dość wcześnie w tym roku, lecz mimo to wyraźnie czułam, że lód w moim sercu utrzymywany od dłuższego czasu dla jednej osoby, stopniowo zaczął topnieć.

Przez kilka kolejnych dni, cała nasza trójka zajmowała się przygotowywaniem jednego z pomieszczeń plebani na to, aby mogło tam się odbyć spotkanie mieszkańców Podlaska. Pokój, który nam przypadł w udziale, nie był zamieszkiwany przez nikogo od kilku dobrych lat, w zamian za to systematycznie zagrany co raz to nowymi szpargałami, które jak twierdził ksiądz 'mogłyby się jeszcze kiedyś przydać'. Tak więc, mieliśmy pełne ręce roboty wynosząc kartonowe pudła ze starymi naczyniami kuchennymi, zepsutym sprzętem gospodarstwa domowego, spisanyymi zeszytami i tym podobne. Pani w chustce na głowie, z początku patrzyła na nas podejrzliwie, ale później o dziwo, ochoczo przyłączyła się do pracy. Katia była tak samo tajemnicza jak zawsze, robiła swoje, nie odzywając się do nikogo. Zastanawiałam się tylko, dlaczego ksiądz nie zaproponował nam urządzenia naszego spotkanie w jednych z używanych sal plebani. Zaoszczędziłoby to na pewno dużo naszego czasu, ale nie śmiałam o to zapytać. I tak wiedziałam doskonale, że poszedł nam już wystarczająco na rękę, bo zgodził się na coś, do czego w ogóle nie był przekonany.

Mikołaj porozwieszał po całej wsi informacje o spotkaniu na plebani. Długo zastanawialiśmy się wszyscy troje jak ułożyć taki tekst, który mógłby przyciągnąć ludzi. W końcu stanęło na czymś co było krótkie, ale jednocześnie przemawiające do poszczególnych osób. Coś, co nie zmuszało by ich do długiego, mozolnego czytania tylko wystarczająco przykuło ich uwagę: 15 listopada, o godz. 18.00, na plebani, z udziałem księdza proboszcza, odbędzie się spotkanie pt. 'Jasna strona życia'. Zapraszamy wszystkich chętnych do wzięcia udziału. To nie było wiele, ale mieliśmy nadzieję że nasz 'chwyt reklamowy' w związku z tym że 'na plebani' i 'z udziałem księdza', odniesie pozytywny skutek w frekwencji mieszkańców. Katia mówiła, że nie musimy przemówić do umysłów wszystkich ludzi. Wystarczyło tylko zebrać odpowiednią ilość energii i przekazać ją tym, którzy przebywali w Sosnowym Lesie. W tej całej pogmatwanej sprawie, to wydawało się nawet całkiem logiczne i proste. Do księdza zgłaszało się coraz więcej ludzi, którzy byli chętni do przyjścia. Wyglądało na to, że wszystko



było już na właściwej drodze. Oprócz tego, czym martwiliśmy się wszyscy, czyli czy się uda, czy wszystko pójdzie zgodnie z planem, mnie zaczęła niepokoić jeszcze jedna rzecz. Było to zachowanie Mikołaja. Od jakiegoś czasu sprawał wrażenie nieobecnego, nie odzywał się za wiele, nie starał się żartować jak robił to do tej pory. Coś go wyraźnie dręczyło, a ja nie mogłam pojąć co takiego. Podświadomie czułam, że było to coś więcej, niż zwykły strach o to co przyniesie nasz 'pokaz' przed mieszkańcami. Gdy wieczorem, czternastego listopada wracałam z miasteczka gdzie byłam w kafejce internetowej sprawdzić pocztę (żadnych wiadomości od redakcji, byłam przekonana że po prostu wyrzuciła mnie z hukiem jak tylko zjawię się w Warszawie), zauważyłam Mikołaja jak odświeża wejście do domu. Znowu napadało dużo śniegu w ciągu dnia.

- Mikołaj, już jestem, Katia w domu? – zapytałam.  
- Cześć. – Odwrócił się w moją stronę i odłożył łopatę.  
- Nie, wyszła gdzieś, nie mówiła gdzie idzie.

- Nie zapytałeś jej?  
- Jakoś tak mi głupio – powiedział szczerze. – Sama rozumiesz, prawda?  
- Jasne. – Odpowiedziałam. Rozumiałam go doskonale. Otworzyłam drzwi i weszłam do środka.

- Chodź już do domu, Mikołaj. 'Wreszcie porozmawiamy swobodnie' – pomyślałam.  
Mikołaj zrobił dwie herbaty i poszliśmy z nimi do mojego pokoju. Usiedliśmy na fotelach.

- Co cię tak gryzie, od jakiegoś czasu? – zapytałam bez ogródek.

- Wszystko. Jutrzejszy dzień, dwudziesty listopada, obecność Katii. Jak dzisiaj wyszła nie mówiąc nawet gdzie, pomyślałam sobie, co by się stało gdybyśmy tak po prostu spakowali się i pojechali do Warszawy.

- O tym samym pomyślałam, gdy byłam dzisiaj w miasteczku. Gdyby tak po prostu wsiąść do pociągu, pojechać do domu. Wiesz, już nawet nie boję się tak spotkania z redakcją. Uśmiechnął się, ale widziałam w jego oczach, że dalej jest coś nie tak. Po chwili zapytał:

- Ale, nie zamierzasz się wycofać, prawda Majka?  
- Nie. Bałam się, że to ty się możesz wycofać.  
- Przecież powiedziałam ci na samym początku, że tu zostaję.

- Wszystko będzie dobrze – powiedziałam po chwili widząc to samo zmartwienie w jego oczach. Wzięłam go za rękę – doprowadzimy tu do końca Mikołaj, razem.

- A czy między nami też wszystko będzie dobrze? – zaskoczył mnie trochę tym pytaniem. – Nie myślisz już o mnie tak jak na początku, no wiesz, że robię niektóre rzeczy tylko dla pieniędzy albo sławy?

- Hej, oczywiście że nie – zrobiło mi się przykro, że dalej to rozpatruję, przysunęłam się do niego bliżej. – Przecież już ci to mówiłam, ile razy mam cię przeproszać?

- Chciałem się tylko upewnić – uśmiechnął się i odgarnął mi włosy z czoła, jeszcze wilgotne od śniegu. Położyłam głowę na jego ramieniu i znowu przez chwilę poczułam się jak na wakacjach. Od tamtej chwili zrozumiłam do końca, że kiedyś ten tak daleki mi człowiek, stał się kimś naprawdę bliskim. Usłyszeliśmy Katię wchodzącą do domu i za parę sekund stanęła w drzwiach mojego pokoju, prawie cała pokryta śniegiem, naprawdę wyglądała jak zjawą.

- Byłam w Sosnowym Lesie. – Oczywiście nie było sensu pytać ją po co. – Jesteśmy na właściwej drodze – dodała.

## Rozdział VII

Jeszcze nie skończyliśmy rozstawiać wszystkich krzeseł, kiedy zaczęli schodzić się mieszkańcy Podlaska. Katia była wyjątkowo spokojna, co mnie w gruncie rzeczy w ogóle nie dziwiło, biorąc pod uwagę jej 'stan', natomiast ja zaczynałam mieć normalną, regularną treść. A było to nawet coś więcej niż treść, bo ona mija jak tylko kończy się pokaz czy przedstawienie. Moja treść, wiedziałam, będzie trwać nieprzerwanie wraz z reakcją ludzi, która niewątpliwie pojawi się w nie najciekawszych barwach. Mikołaj wciąż był milczący, głęboko zamyślony, co jeszcze dodatkowo mnie stresowało. Ogólnie wtedy, piętnastego listopada, na dziesięć minut przed godziną w której mieliśmy wyjawiać tajemnicę Katii całej wsi Podlasek, czułam się jak jeden kłębek nerwów. Sala, którą tak

skrupulatnie staraliśmy się przygotować przez kilka poprzednich dni, do tego celu, zaczęła stopniowo się zapełniać. Stojąc w koncie, widziałam znajome mi twarze. Ludzi, z którymi zamieniałam dwa czy trzy słowa codziennie w sklepie czy w drodze do miasteczka. Ludzi, o których pisałam reportaże przez ostatnich kilka tygodni. Tych, którzy mieli całkiem dobre zdanie na mój temat i tych którzy obgadywali za plecami mnie samą, cel mojej pracy i nawet to, a może szczególnie to, że przyjechał do mnie Mikołaj. W każdym razie, wszyscy ci ludzie mieli za parę minut stać się świadkiem czegoś niezwykłego, a za razem pewnie i strasznego. Mieli usłyszeć historię, w którą nie uwierzą, która rozbudzi w nich zdumienie i złość na nas, na księdza, który na to wszystko pozwolił i na samych siebie że zdecydowali się tutaj przyjąć. Jak nigdy wcześniej, zaczynały mnie wtedy nachodzić wyjątkowe wątpliwości. Wszystko było w rękach opatrności. Tymczasem, w pierwszym rzędzie ustawionych przez nas krzeseł usiadł ksiądz, w pełni przekonany że pomówimy sobie trochę o tym i o tamtym na cel mojego ostatniego reportażu, poczym wszyscy pójdą do swoich domów. Szukając pretekstu do rozmowy podeszłam do patrzącego przez okno na korytarzu Mikołaja:

- Nasz plan aktualny, co do Katii? – zapytałam.

- Mianowicie?

- To, że po wszystkim przeprowadza się do nas, bo tylko my ją będziemy widzieć?

- A tak, oczywiście, tak jak ustaliliśmy – odpowiedział i odwrócił się z powrotem do okna.

I tyle było naszej rozmowy. I tak to właśnie wyglądało od jakiegoś czasu. Niby wszystko w porządku, odpowiadała na pytania moje czy Katii, pomagała przy porządkowaniu sali, tylko wciąż miał ten smutek w oczach, który mnie niepokoił. Na który nie wiedziałam jak zareagować i co zrobić żeby minął. Pomyślałam, że wołałam już jego zachowanie zaraz po przyjeździe do Podlaska. Kiedy to denerwował mnie na każdym kroku docinkami na temat 'stanu' Katii i próbował się doszukiwać faktów w tej niewiarygodnej historii. Przynajmniej rozładowywał tą wystarczająco zawieszoną atmosferę. Odwracając się prawie jednocześnie od okna zauważyliśmy główną bohaterkę wieczoru:

- Czas zaczynać moi drodzy – powiedziała. Jeśli była jakakolwiek rzecz na świecie której mogłabym jej wtedy pozazdrościć to ten nieziemski spokój.

- Tematem naszego dzisiejszego spotkania, proszę państwa, jest szczęście – mówił Mikołaj po tym jak przedstawiliśmy się oboje. Katia siedziała na widowni, udając na razie że przyszła tam tylko jako obserwator.

- Szczęście jest wtedy – ciągnął dalej – jeśli umiemy się cieszyć z naszego życia takim jakim ono jest.

Nasi goście wyglądali na odrobinę znużonych, niektórzy zdążyli już popatrzeć na zegarki, lub poprawić się na krześle. Jedyne ksiądz słuchał uważnie, bo pewnie odniósł takie samo wrażenie jak ja, że wypowiedź Mikołaja zaczyna brzmieć odrobinę jak kazanie.

- Musimy wytrwale wypełniać nasze codzienne obowiązki i patrzeć z nadzieją na nadchodzącą przyszłość. Musimy też pamiętać o tych, którzy kiedyś byli wśród nas, ale teraz już ich nie ma. – Mikołaj zaczął wchodzić na grząski grunt, lecz jeszcze wszystko mieliśmy pod kontrolą. Nie możemy jednak, wciąż za nimi rozpaczać. Stają się wtedy niespokojni. Nie mogą nam pomóc w naszych ziemskich sprawach. Na sali zrobił się mały ruch, ludzie zaczęli szeptać coś między sobą.

- Skąd pan to może wiedzieć? – Odezwał się jakiś mężczyzna w średnim wieku, z końca sali.

To był mój moment wkroczenia do akcji:

- Wiemy to z pierwszej ręki – powiedziałam łamiącym się trochę głosem.

Popatrzyłam na Katię, siedzącą nadal na swoim miejscu z tym samym wyrazem twarzy, niczym ostoja spokoju.

- Chcemy wam kogoś przedstawić – dodałam i wtedy Katia wyszła na środek.

- Dobry wieczór – powiedziała.

- To moja służąca, Katia – odezwał się głos ze środka sali i wtedy dopiero zauważyłam panią Eugenię.

- Nie jestem pani służącą. To znaczy, nie do końca. To co teraz powiem będzie na pewno dla wszystkich szokiem. Nie jestem tym, kim wszyscy myślą że jestem.

Zauważyłam, że nasz ksiądz zaczął się wyjątkowo niepokoić na swoim miejscu w pierwszym rzędzie.

- Ale wiem – mówiła Katia – że jak pójdziecie już do swoich domów, po tym co tutaj zobaczycie, to może nie od razu, ale w końcu przemyślicie to, o czym zaraz się dowiecie. Jest nas więcej. Oprócz mnie jest tysiące tych, którzy mieszkają w Sosnowym Lesie. Na pewno mówi wam wiele dzień dwudziesty listopada.

Ludzie byli już naprawdę bardzo zaniepokojeni, a niektóre panie sprawiały wrażenie że przygotowują się do wyjścia. Katia mówiła dalej:

- To czego się boicie w tym dniu, nie ma w sobie żadnych powodów do strachu. My chcemy się tylko dostać na drugą stronę. I móc wam pomagać w waszym ziemskim życiu, dlatego musicie się w końcu pogodzić z naszym odejściem.

- Jacy my? – zapytał ten sam mężczyzna z końca sali.

- Po prostu my – powiedziała Katia, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Mieszkańcy Sosnowego Lasu. Umarli.

Na sali zrobił się chaos na dobre i kilka osób wstało ze swoich krzeseł. Ksiądz złapał się za głowę za pewne pytając się w myślach: 'Co mnie podkuśiło, żeby się zgodzić na tą paranoję?'

Katia jednak nie dawała za wygraną:

- Moi drodzy, zanim wyjdziecie, pozwólcie że udowodnię wam, że to co mówię to prawda.

Stała przez krótką chwilę w milczeniu nie drgnąwszy nawet o centymetr. Ludzie, w jednej chwili odskoczyli do tyłu, jak umówieni, krzycząc na przemian: 'O mój Boże!' i skierowali się prędko do wyjścia w podobny sposób jak ucieka się z płonącego pomieszczenia. Ksiądz pobiegł za nimi, krzycząc żeby się nie martwili, że na pewno w jakiś sposób da się to wytłumaczyć i że już on się tym zajmie. Staliśmy w bezruchu wszyscy troje, gdy w końcu Mikołaj i ja zrozumieliśmy, że Katia właśnie znikła dla wszystkich innych ludzi, tylko dla nas wciąż pozostając widoczna. Ksiądz wrócił po dłuższej chwili, błądy jak ściana w czarnej sutannie wyglądał jak bohater czarno-białego filmu.

- Co wyście najlepszego zrobili?! - podbiegł do nas. - I ja się na to wszystko zgodziłem. A przeczuwałem, że mogą z tego wyjść jakieś kłopoty. - Zaczął chodzić po sali, trzymając się za głowę. - Ludzie przestaną przez to przychodzić na msze, zażądają wyrzucenia mnie z parafii i to będzie wasza wina.

- Nie będzie tak źle – powiedziałam chociaż sama nie byłam wcale mniej zdenerwowana. 'Księdza wyrzucą z parafii, a mnie z redakcji, o to będzie nagroda za poświęcanie się dla innych' – pomyślałam.

- Co to miało być? – pytał ksiądz. - Jakies wasze warszawskie sztuczki, czy co? Gdzie jest ta dziewczyna, ta Katia?

- Stoi przed księdzem. - Odwróciliśmy się, bo oto od strony drzwi szła do nas pani w chustce, Krystyna. Podeszła do nas bliżej i ku naszemu zdziwieniu popatrzyła wprost na Katię.

- Słyszałam mimochodem wasze rozmowy jak przygotowywaliście salę. Pół roku temu umarł mój brat. Ja wam od początku uwierzyłam. Nie martwcie się, ludzie też uwierzą, tylko jeszcze potrzeba im trochę czasu, ale do dwudziestego listopada zmienią zdanie. Wszystko się uda.

- Co też pani, na miłość Boską opowiada, pani Krystyno? – zapytał ksiądz jeszcze bardziej zdumiony niż wcześniej.

- Wierzę, że to co mówisz to prawda, dlatego teraz cię widzę – powiedziała patrząc na Katię. - I ksiądz też powinien w to uwierzyć – zwróciła się do księdza. - Oni nie kłamią.

## Rozdział VIII

Dwudziesty listopada zbliżał się dużymi krokami, tymczasem okolica stawała się z dnia na dzień jakby naładowana jakąś pozytywną energią. Mój strach przed wielką negatywną reakcją ludzi okazał się nie do końca uzasadniony. Nikt się nie buntował, nie sprzeciwiał temu co zobaczył. Nikt nie pojechał do Warszawy aby o tym opowiedzieć ani nikt się specjalnie nie awanturował. Katia mieszkała w moim podlaskowym domku, co polegało na siedzeniu całymi dniami i nocami na krześle przy oknie, jak zwykle, a może nawet jeszcze bardziej spokojna. Tylko Mikołaj zachowywał się tak samo, ale miałam nadzieję że wszystko wróci całkowicie do normy po powrocie do Warszawy.

Aż w końcu nadszedł, dzień na który czekaliśmy od czasu gdy dowiedzieliśmy się o historii Katii. Dwudziesty listopada. Stając się uniknąć spotkania z jakimkolwiek mieszkańcem wsi Podlaskiej, który uczestniczył w spotkaniu, poszliśmy wszyscy troje do Sosnowego Lasu. Po godzinie jednak, wciąż nic się nie wydarzyło. Katia nadal była wśród nas. Gdy Mikołaj i ja prawie trzęśliśmy się już z zimna, zrezygnowaliśmy, zdecydowaliśmy wrócić do domu.

- To chyba moja wina – powiedziałam do Katii. - Mówiłaś mi już wcześniej, żebym zwróciła uwagę na panią Eugenię. Przecież ona najbardziej rozpacza za swoją siostrą.

- Nie, to nie jest tak – odpowiedziała Katia. Pani Eugenia była na spotkaniu. Wszyscy widzieli jak znikam. Wszyscy na pewno, choć przez chwilę pomyśleli o tym o mówił Mikołaj. Każdy miał takie same szanse. Nie wiem – dodała. - Z jakiegoś powodu nie macie wystarczająco energii, żeby przeprowadzić mnie i pozostałych na drugą stronę.

Zrobiło mi się strasznie przykro, że się nie udało. Mikołaj szedł w milczeniu, dalej nie rozumiałam co go tak martwi. Wróciliśmy do domu i Katia usiadła na swoim miejscu przy oknie. Pierwszy raz widziałam ją zrezygnowaną i smutną. Prawie tak jakby była człowiekiem z krwi i kości. Nie mamy wystarczająco energii. Przepadło. Następna taka szansa będzie dopiero za rok. Wydawało się, że mieszkańcy Podlaski poślę nasz haczyk, a jednak mimo to wszystko poszło na marne. 'Nie dość że wyrzucą mnie z redakcji, to jeszcze nie udało mi się pomóc Katii' – pomyślałam i czułam, że jestem bliska łez. Mikołaj w tym czasie bez słowa udał się do dużego pokoju. Katia odwróciła się w moją stronę:

- Niby wszystko w porządku, ludzie przekonani, przynajmniej tak się wydaje, ale na razie wygląda na to że nic nie jesteśmy w stanie zrobić. Nie wiem jak ci to wytłumaczyć Maju, to tak jakby coś blokowało nam przejście. Pewnie trudno jest ci to pojąć, ale tak właśnie jest. Nie wiem, co mam o tym myśleć.

Katia siedziała na swoim miejscu przy oknie. Patrzyłam na nią, zastanawiając się co siedzi w jej głowie, gdy doznałam nagłego olśnienia. Coś, co przyszło do mnie jak fala, podobna do tych które przychodziły z nowymi pomysłami na wywiad lub reportaże. Wydawało mi się, że zrozumiałam co może dręczyć Mikołaja. Podeszłam do dużego pokoju. Z trwogą w sercu zapukałam w uchylone drzwi. Siedział na kanapie i wpatrywał się w leżącą przed nim, na wół spakowaną torbę, tak jakby się zastanawiał co jeszcze ma do niej włożyć. Dwudziesty listopada, bez względu na to, czy nam się udało to co zaplanowaliśmy czy też nie, oznaczał bliski powrót do domu, do Warszawy. Miałam do siebie pretensję, że wcześniej nie wpadłam na to, co w tamtej chwili zaprzętało mi głowę. Jak mogłam chociaż na chwilę nie postarać się postawić na jego miejscu? Popatrzyć na dziejące się wokół rzeczy jego oczami, z jego punktu widzenia? Usiadłam obok niego zastanawiając się co mam powiedzieć.

- Przepraszam cię Mikołaj za to, że przez cały ten czas byłam taką egoistką – powiedziałam w końcu jednym tchem.

- Co takiego? – popatrzył na mnie ze zdumieniem.

- Tak, egoistką. Dlatego, że zupełnie nie myślałam o tym, że ci ludzie którzy stopniowo przyzwyczajali się do odejścia swoich bliskich, że ty... no wiesz... jesteś jednym z nich. Że tobie musiało być bardzo ciężko, kiedy patrzyłeś na śmierć w Iraku, gdy zginęli twoi koledzy, którzy tam byli razem z tobą.

Poczułam jak głos mi się załamuje. Wszystkie te przeżycia ostatnich kilku tygodni dały mi się we znaki właśnie teraz, przy Mikołaju, gdy już byłam prawie pewna, że nie udało nam się spełnić prośby Katii. Pocałował mnie i przytulił mocno do siebie. Zdałam sobie sprawę, że czekałam na to, nie przyznając się sama przed sobą, od dnia w którym pojawił się w Podlasku. Po chwili uwolniłam się z jego uścisku.

- Powiedz mi – zapytałam będąc jednak pewna odpowiedzi, - to dlatego Mieszkańcy Sosnowego Lasu nie mogą się przedostać na drugą stronę. Tam są ludzie, których znałeś prawda? To ty ich trzymasz?

- To po części prawda – powiedział.

- Jaka jest ta druga część? – zapytałam.

Wziął mnie za rękę i westchnął. Wyczułam odrobinę zdenerwowania w jego głosie. Słuchałam o osłupieniu tego co powoli zaczął mi opowiadać.

- Był początek lata. Byłem jeszcze wtedy na studiach.

Po zdanej sesji pojechałem z kilkoma znajomymi z roku na łódki. To było wyjątkowo gorące lato. Rozbiliśmy swoje namioty nad rzeką.

Nabrał powietrza żeby się uspokoić, a ja odpychałam od siebie myśl, która mimo to nie dawała za wygraną żeby dotrzeć do mojej świadomości. Zaczęłam się domyślać tego, co chciał mi powiedzieć.

- Ja pierwszy ją zauważyłem – mówił dalej. – Wskoczyliśmy do wody, ale żadnemu z nas nie udało się jej uratować. Nie wiedziałem kim była, czym się zajmowała i dlaczego nagle znalazła się na środku rzeki. Zawiadomiliśmy policję i prasę. Jako początkujący dziennikarz opisałem wszystko w pierwszej gazecie z którą współpracowałem. Tylko tyle mogłem wtedy zrobić.

Nie wiedziałam, czy byłam zła, zawiedziona czy tylko zaskoczona tym co mi właśnie powiedział i tym, że nie zrobił tego wcześniej. Wstałam z kanapy.

- Znałeś Katię? Mikołaj znałeś ją! W takim razie wiedziałeś że to co mówi to prawda, od samego początku. I nic mi nie powiedziałeś. Udawaleś, że w to nie wierzysz! Bo za mało faktów, dowodów, bo nic takiego się nie może dziać, a tymczasem o wszystkim wiedziałeś.

- Hej! - wstał i wziął mnie za obydwa ramiona. - Po pierwsze, niczego nie udawałem. Naprawdę myślałem, że to wszystko co się tutaj dzieje to jakiś sen na jawie. Nie mówiłem ci nic bo bałem się, że to ty właśnie mi nie uwierzysz. Pomyślałabyś, że mam w tym jakiś swój interes. Przecież wiem, że nie miałaś o mnie najlepszego zdania. Nie zaprzeczaj – powiedział, gdy zaczęłam kiwać przecząco głową. - Ale już teraz tak nie jest prawda? - zapytał.

A więc było to coś więcej. Nie tylko Mikołaj nie mógł się pogodzić ze stratą swoich kolegów po fachu, którzy zginęli w Iraku, ale także ze śmiercią Katii. Dziewczyny, której w ogóle nie znał. Tym razem, to ja go pocałowałam. Nie chciałam już znać szczegółów tamtej historii znad rzeki. Nie interesowała mnie nawet, dlaczego do końca to przede mną ukrywał.

- Bardzo mi na tobie zależy, Maja – powiedział z lekką niepewnością w głosie.

Miałam wtedy jeszcze nadzieję, że wszystko się skończy dobrze. Po chwili w drzwiach stanęła Katia. Wyglądała inaczej, niż wtedy gdy siedziała przy kuchennym oknie – pogodniej. Głos też miała inny, spokojny i łagodny.

- Dziękuję wam za wszystko. Jest szansa, że tym razem się uda. Musimy iść do Sosnowego Lasu - Wszyscy troje, w tym samym momencie ruszyliśmy z miejsca.

Zdecydowanym krokiem przechodziliśmy przez szeleszczące pod nogami puszyste grudki śniegu. Choć był dopiero dwudziesty listopada i tym samym jeszcze ponad miesiąc do świąt, nawet wtedy, w nocy w powietrzu dało czuć się ich magię. 'W mieście pewnie już od dawna świąteczne dekoracje' – pomyślałam. 'Teraz musi się nam udać' – nie miałam na myśli jedynie sprawy Sosnowego Lasu. Złapałam Mikołaja za rękę i zatrzymaliśmy się na sekundę tak aby móc szybko dogonić idącą przed nami Katię. Przypomniałam sobie naszą pierwszą wizytę na plebani. Ma książdź rację, zresztą zastanawiam się czy by z tego nie zrezygnować.

- Wiesz co – powiedziałam. - Mi też na tobie zależy. Tylko nie jedź już więcej do Iraku.

\* \* \*

Było chyba wtedy bardzo zimno, jak to zwykle bywa w listopadowe noce. Mówię 'chyba', bo tak naprawdę nie zdążyliśmy nawet zarejestrować żadnej przybliżonej temperatury powietrza, przez to że byliśmy tak pochłonięci tym 'czymś' co właśnie miało miejsce. Nie widziałam nigdy Zorzy Polarnej, ale mogę sobie jedynie wyobrazić, że byłoby to najbardziej zbliżone zjawisko do tego co zobaczyliśmy. Jeszcze kilka chwil temu było ciemno, wręcz czarno w całym Sosnowym Lesie, kiedy nagle końce drzew sprawiły wrażenie jakby zaczęły się żarzyć do białości, podpalone przez jakąś niezwykle, niezwykłą wręcz siłę.

Staliśmy tak zapatrzeni w to niezwykle widowisko, nie wiedząc czy powinniśmy poczekać na to co się wydarzy za chwilę, czy też spokojnie wyjść z Sosnowego Lasu, w przekonaniu że wykonaliśmy już swoje zadanie. Nagle, te same korony drzew zaczęły rozmazywać się nam przed oczami, po to żeby w końcu zniknąć na dobre, tworząc jakby wejście, wrota prowadzące

do samego wnętrza tego niezwykłego światła. Ze wszystkich krańców lasu, z każdej naszej strony, tłumy postaci, na pierwszy rzut oka jednakowych, o identycznych rysach i sylwetkach zaczęły lecieć, płynąć jakby w hipnozie do tego świetlistego miejsca na górze. Były ich dziesiątki, setki a może i tysiące, każde z nich tak samo zdeterminowane by dostać się tam jak najszybciej. Tak jakby czekali na to wiele lat.

Sami staliśmy jak zaczarowani. Tym niezwykłym widokiem, wydarzeniem na które tak czekaliśmy do samego końca nie wierząc czy będzie miało miejsce.

- Czyli to tam właśnie oni wszyscy chcieli się dostać? - zapytał Mikołaj wciąż nie odrywając oczu od światła i wędrujących osób.

- Na to wygląda – odpowiedziałam.

- Przekonałyście mnie, ty i ona. Dobrze, że w końcu w to uwierzyłem.

- Gdybyś nie chciał uwierzyć, to nic by cię nie przekonało – powiedziałam. - Po prostu wróciłbyś do Warszawy, w każdej chwili.

- I tak bym nie wrócił. - Przez chwilę popatrzył na mnie. - Przecież bym cię nie zostawił tutaj samej. Dopiero teraz zauważyliśmy dwie rzeczy. Po pierwsze, że nie byliśmy jedynymi obserwatorami świetlistego zjawiska. Za nami zaczęli zbierać się mieszkańcy, wszyscy tak samo wpatrzeni w korony drzew, nie odzywali się do siebie ani słowem. Po drugie, najważniejsze, nie było już z nami Katii. Nie zauważyliśmy jej zniknięcia. Pozostało nam jedynie mieć nadzieję, że wraz z tłumem niepostrzeżenie opuściła las i dostała się tam, gdzie chciała. Tam, gdzie powinna być już do dawna. Minęło może pół godziny jak wszystko zagasło i wróciło do normalnego stanu. Nie było też nagle w pobliżu nas ani jednego mieszkańca wsi, co w połączeniu ze zniknięciem tajemniczego blasku sprawiło wrażenie że takie zjawisko w ogóle nigdy nie miało miejsca w Sosnowym Lesie. Staliśmy jeszcze przez kilka minut, próbując pozbierać fakty z tego co właśnie wydarzyło się przed naszymi oczami, lecz nie było w tym specjalnie sensu. Zdrowy dziennikarski rozsądek wyjątkowo poległ w tym wypadku na grubej linii. Gdy wszystko na dobre wróciło do normy, Mikołaj objął mnie ramieniem – Wygląda na to, że to już koniec, Maja. Wracajmy do domu.

Choć byłam oszołomiona całym wydarzeniem i tym wszystkim co go poprzedzało, kilka rzeczy wiedziałam na pewno. Wiedziałam, że nie zapomnę nigdy o tym co tutaj widziałam. Nie zapomnę nigdy o Katii. Wtedy też wiedziałam, że nieprędko zdecydujemy się z Mikołajem na to, aby opowiedzieć komukolwiek tą historię. Wracajmy do domu. Wiedziałam też na pewno, że odkąd tu byłam, a już w szczególności odkąd przyjechał Mikołaj, było to zdanie, które najbardziej chciałam usłyszeć.

## Epilog

Od tamtej nocy w Sosnowym Lesie minęły już dwa lata. Dalej pracuję w redakcji 'Naszych Czasów'. Oprócz pisania artykułów do dodatku kulturalnego 'Ludzie tacy jak my', zajmuję się prowadzeniem organizacji charytatywnych, które pomagają ludziom mieszkającym w biednych częściach kraju. Ostatnio udało nam się zbierać sporą kwotę na rzecz rozwinięcia transportu i edukacji w Podlasku i innych małych wioskach. Z naszego, jak to wtedy określił redaktor naczelny, 'dziwnego zachowania' nie musieliśmy się w ogóle tłumaczyć. Po powrocie do Warszawy okazało się, że redakcja spodziewała się nas właśnie w tym terminie. Nas obojga, tak jakbyśmy razem brali udział w projekcie od samego początku. Ucieszyliśmy się z takiego obrotu sprawy i tym bardziej nie chcieliśmy nikogo wyprowadzać z błędu, zresztą i tak nikt by nam nie uwierzył. To była chyba ta nagroda o której mówiła Katia. Mieszkańcy wsi Podlasek zaczęli mieć większy kontakt ze światem zewnętrznym i z dużymi miastami. Po moich reportażach rada miasta zadbała, żeby podłączyć w Podlasku internet. Czasem odbieram e-maile od wnuków pani Eugenii, którzy przeprowadzili się do jej domu, żeby jej pomagać. Zapraszali mnie nawet do siebie na parę dni na wakacje.

Mikołaj zrezygnował z wyjazdów na wojny. Prowadzi swój dział w 'Naszych Czasach' na temat... zjawisk paranormalnych. Odkrył swoją nową pasję. Na pytanie redaktora naczelnego dlaczego akurat tak postanowił, odpowiedział że tak naprawdę to zawsze się tym interesował. Ma grono stałych czytelników.



Ma też zamiar prowadzić program telewizyjny pt. 'Poza logiką', o tej samej tematyce.

Mieszkańcy wsi Podlasek nie pamiętają ani jednej sekundy związanej ze strachem przed Sosnowym Lasem. Wspominają mnie i moje reportaże, jako coś co odmieniło ich życie na lepsze. Do Sosnowego Lasu jak dawniej chodzą ci sami grzybiarze z wiklinowymi koszami i nikt już nie mówi nic na temat dwudziestego listopada. Ksiądz wspomina nasze spotkanie odnośnie ostatniego reportażu, na temat szczęścia mieszkańców, jako coś co było... 'niezwykle mądre, pouczające i przebiegło w miłej atmosferze'.

Jesteśmy z Mikołajem parą od dwóch lat. Rzadko wspominaemy Katię i tamte wydarzenia. Uporządkowana rzeczywistość, w której teraz żyjemy, bezskutecznie próbuje nam dać do zrozumienia że 'to' nigdy nie miało miejsca. Nasze codzienne życie, znowu da się logicznie wytłumaczyć. Jest możliwe, że za jakiś czas nie będziemy już w ogóle mówić o Katii, a tamto wydarzenie pozostanie tylko odległym wspomnieniem. Czymś co zaistniało przez krótką chwilę w naszym życiu, przekraczając granicę realnego świata. Z mojego dyktafonu poznały wszystkie nagrane rozmowy z Katią. Jedyna rzecz, która została to ta kartka na której Katia napisała żebym spróbowała przekonać Mikołaja. Znalazłam ją przypadkiem na dnie mojej torby, parę dni po powrocie. Zaglądam do niej od czasu do czasu, upewniając się, że nie jest tylko wytworem mojej wyobraźni. Patrząc na nią przez dłuższą chwilę, tak jakbym chciała doczytać się czegoś między wierszami i dochodzę za każdym razem do jednego wniosku. Nie tylko Katia nas wtedy bardzo potrzebowała, ale także my jej. Aby odkryć prawdziwy sens naszego życia i zobaczyć co jest naprawdę ważne. Dlatego też, zdecydowałam się spisać tą historię. Aby ktoś, kto ją kiedyś przeczyta zastanowił się choć przez chwilę nad rolą w którą się wciela na ziemi. Nad gorączką życia w wielkim mieście i nad wiecznym wyścigiem szczurów, w którym większość z nas bierze regularnie udział. Warto czasem się zatrzymać i odłożyć na bok suche kalkulacje spisane czarno na białym, aby móc przyjrzeć się czemuś z pozoru błahemu, co jednak może odmienić nasz los. Nic nie dzieje się bez powodu. Wiemy to doskonale, tak samo jak to, że wszystko wtedy wydarzyło się naprawdę. Nikt inny o tym nie wie, tylko my. Mamy te same inicjały.

**Agnieszka Stec**

*Opowiadanie zajęło pierwsze miejsce w konkursie SBS#2*

*Nic umacnia swe nieistnienie  
omotując wszystko tożsamością  
rozrzedzając i trawiąc siebie*  
**Teresa Truszkowska**

### Pył

Tam, tuż poza zasięgiem wzroku. Tam, za białą linią horyzontu dzielącą jak wydrapana rylcem bruzda tłustą, błyszczącą czerń świata. Tam, gdzie migoczą drobne, niedostrzegalne drobiny cienia. Czarny pył. W niezliczonych, potwornych wirach, kręgach i strumieniach, trwających przez ułamki sekund, po to tylko by przejść płynnie w następne formy i układy, nieskończenie doskonalsze od wszystkich poprzednich- ale tak samo nietrwałe. W nieskończonych masach, wśród niemal zapomnianych, mitycznych przestrzeni Starego Świata, których nie ogarną oczy ani umysł.

Tam, widzę go, chociaż to niemożliwe, chociaż są rzeczy, których nie można zobaczyć.

Pociąg turkocz rzędami stalowych kół, miarowo, niezmiennie, wspólny rytm podróży i snu, paraliżującego znużenia ruchu jednostajnego i niewyobrażalnej prędkości- tak, tak, tak, tak, tak, bez końca, nigdy i nigdzie- bo świat za oknami, otoczenie najbliższe i najbardziej namacalne nie istnieje, rozmywa się w smugi pomieszanych farb. To jest moment ucieczki absolutnej- kiedy nic się nie dzieje i nic nie może się stać, nigdy, nigdy bo czas roztopia się całkowicie w miarowym tak, tak, tak, a co może istnieć bez czasu? Więc ja w tej chwili też nie istnieję, i nie istnieje ten pociąg, i czarna równina za oknem, przykryta czarnym niebem, i biały, jak wydrapany rylcem horyzont, i nie istnieje czarny pył za horyzontem, tak, tak, tak, tak, tak.

### 1

Rozmazane smugi za oknem skrzępiły wreszcie w krajobraz okołostacyjny - pociąg zwalniał, zmieniał rytm, to już nie była ta twarda, jednolita płaszczyzna uderzeń, a luźna, rozpulchniona masa, w którą pociąg zapadał się miękko i całkowicie. Zapadałem się wraz z nim, może jeszcze głębiej.

Stacja nie była duża. Jeden peron, nakryty skomplikowaną konstrukcją dachu z czarnej stali, czerń to przecież symbol tego miasta, to czerń warunkuje jego istnienie. Więc czerń: czarne ramy z giętych rur, oplecionych nieskończoną helisą kutych ręcznie wici, łodyg i kłaczy; liście, kwiaty, ciernie, ich rzeczywiste kształty i rozmiary wymykały się oczom, umykały w pozorny ruch i życie- a może tylko w sztuczny, nieorganiczny wir stali, pyłu i powietrza, bez konturów ani granic- to była esencja ruchu, jego istota, co z tego, że złudna, nieprawdziwa; przecież istniała- przecież widziałem, a to co widziałem, pochłaniało mnie i wciągało- ruch, wieczne wirowanie czerni, ale teraz tutaj, blisko, to już nie był nieskończenie daleki horyzont, tu nieomal wystarczyło wyciągnąć rękę, dotknąć, chwycić, roztopić się w tym ruchu- żywym czy nie- to przecież bez znaczenia.

Nikt inny nie wysiadł już z pociągu, byłem ostatnim pasażerem. Nikt też nie wyszedł mi na spotkanie. Po chwili ponownie rozległ się doskonale znany mi turkot i pociąg pojechał dalej, w kierunku stacji towarowej. Zostałem sam, a miasto otworzyło się przede mną swoim ciasnym labiryntem. Szedłem, wybijając na kamiennej posadzce niezmienny rytm: tak, tak, tak, tak, tak.

Inette przywitało mnie zimnym, gwałtownym wiatrem wzbijającym tumany szarego pyłu z dziurawych, wąskich ulic i nieforemnych placów. Miasto było brzydkie, nawet odrażające, jakby toczyła je jakaś wymykająca się klasyfikacji, ale śmiertelna choroba. Inette konało, już od dawna, od bardzo dawna, od dziesięcioleci, ciągle wyniszczała je dziwna gangrena kamienia; wszakże ciągle istniało, trzymało się życia kurczowo i uparcie.

Ale... Czyżby teraz nadchodził właśnie jego koniec? Nie wysłało mnie tu bez powodu, rzeczy, które się tu dzieją zaniepokoiły najważniejszych ludzi w Cesarstwie. Ale nic dziwnego, to przecież miejsce szczególne. A kto wie, co rodzi się w umysłach ludzi żyjących na skraj Czerni...

### 2

-Tu będzie brat spał. Wiem, że to bardzo skromne warunki, ale tutaj nikt nie ma więcej. W końcu mieszkamy na końcu świata- Ojciec Alius, jedyny kapłan w Inette, sprawujący funkcję proboszcza tutejszej świątyni próbował ukryć zmieszanie uśmiechem. Dlaczego jednak miałem wrażenie, że jest odwrotnie, że tak naprawdę cała ta poza była sztuczna, przykrywała coś całkiem innego, co miało być- i przecież było- przede mną ukryte? Może to ten dziwny błysk na dnie oczu, niedostrzegalne napięcie warg, nerwowa gestykulacja. Czyżby to było takie proste?

-Niech się Ojciec nie martwi, to w zupełności wystarcza. Sypiałem już w nieporównywalnie gorszych warunkach. Odpocznę nieco i zejść na dół, są sprawy, o których musimy porozmawiać.

Znowu uśmiecha się, znowu tak samo, i wychodzi. Zostaję sam w niewielkim, denerwująco niskim pokoju o ścianach z kamiennych ciosów, pamiętających zapewne czasy, w których to miejsce nie było końcem świata.

Jak wtedy wyglądało Inette - to już nawet nie jest pytanie, przestało nim być niedługo po tym, jak zaginęła odpowiedź- już od dziesiątków lat nie żyje nikt, kto był pamiętał dawne czasy. A niedługo zginą zapewne ostatni, którzy by się nad tym zastanawiali.

Jedno jest pewne- w latach świetności Inette było ładniejsze. To nie było miasto górnicze, jak dziś, które istnieje tylko dla rudy, i które przestanie istnieć gdy jej zabraknie. Kiedyś szły przez Inette handlowe karawany, kupcy wieźli towary na Północ, do miast Starego Świata.

Nie, to mnie do niczego nie zaprowadzi. Bo dla mnie najważniejsze jest nie to, czym Inette było, ale czym się stało. A to, czego szukam kryje się nie w dawnych pałacach kupieckich, ale w ich ruinach, w trzewiach gnijącego miasta- trupa, w złożach czarniejszego niż noc inelitu pod ziemią, powoli wysysającego życie z nas wszystkich. I za inelitową barierą za miastem, w czerni Pyłu, który pożarł stary świat. W czerni Pyłu, który i nas pożre.

Stary Świat- z jaką czcią to wymawiamy, z jakim nabożeństwem o nim myślimy. A przecież to my nim jesteśmy, jego ostatnim strzępem, ochłapem, którego jeszcze nie pożarł Pył. Już niedługo.

Zaiste, to będzie prawdziwy nowy świat. świat niezmaconej Czerni i Pyłu, który nie będzie już miał czego pochłonać.

Gdy szedłem na dół, proboszcz czytał przy jadальnym stole jakiś list. Musiał być nim mocno zaabsorbowany, do tego stopnia, że zapomniał o mojej obecności (a może po prostu myślał, że zasnąłem zmęczony podróżą)- gdy usłyszał moje kroki, zerwał się gwałtownie, wciskając papier do kieszeni habitu, z trudem skupiając na mnie rozbiegany wzrok.

-Ach, nie spodziewałem się brata tak szybko! Proszę, niech brat usiądzie- zerwał się i odsunął krzesło po drugiej stronie stołu.

Usiadłem. Siedziało się źle, krzesło było twarde, niewygodne, z jedną nogą obluźowaną, skrzypiało przy każdym, najmniejszym nawet ruchu. Alius patrzył na mnie z nerwowym błyskiem w oczach.

-Widzi Ojciec, najlepiej będzie zacząć od początku- zacząłem w końcu. Teraz wiele powinno się wyjaśnić. Że Alius nie był- i nie zamierzał być- ze mną szczery- to oczywiste. Nie dawała mi jednak spokoju myśl, że to zbyt oczywiste, że za roztrągnięciem i nerwowością starego proboszcza kryło się coś zgoła innego niż możnaby przypuszczać. Ale nie mogłem przecież kryć przed oficjalnym przedstawicielem Zakonu mojego celu, przynajmniej w ogólnym zarysie, a jakiż byłby inny powód wizytacji tego miejsca? Najlepiej więc było rzucić przynętę i pozwolić mu klamać. Niech mówi- a w sposobie doboru kłamstw ujawni się prawda- Zapewne zdziwiła Ojca wiadomość o mojej wizycie, zresztą przyznaję, że była sformułowana dosyć ogólnie. Czas więc wyjawić rzeczywisty powód. Otóż doszły nas ostatnio w Eridu pewne... pogłoski. Bardzo niepokojące pogłoski. Mówiąc wprost słyszeliśmy, jakoby Inette stało się ośrodkiem herezji, i to poważnej herezji.

-Pogłoski... Cóż, obawiam się, że to były tylko pogłoski. Rozumie Brat, Eridu jest daleko, to przecież całkiem inny świat, nic dziwnego, że wiadomości docierają zniekształcone. Owszem, kilka miesięcy temu mieliśmy tu pewne... niepokoje...

Ale sprawa jest już rozwiązana. Obawiam się, że niepotrzebnie Brat się fatygował.

-Rozwiązana? Jest Ojciec pewien?

-Całkowicie.

-Jeśli tak, to proszę mi o tym opowiedzieć. Rozumie Ojciec, spiszę raport, trochę się rozejrzę- i skoro wszystko jest już w porządku- wrócę do Eridu.

Ta rozmowa wyraźnie była mu nie w smak. Próbował to ukryć- i znowu nieumiejętnie. Lekko, ale zauważalnie drżały mu oparte o krawędź blatu ręce, między krzaczastymi, niemal zrosniętymi brwiami perlił się pot- a przecież w pomieszczeniu było dość chłodno.

-No cóż... To zaczęło się jakiś rok temu, czy też rok i kilka miesięcy, już dokładnie nie pamiętam. W mieście pojawiły się plotki o jakimś starcu, który przekroczył Bariere, a potem wrócił. I że Czerń dała mu moc odmienienia świata. Miał być kimś w rodzaju proroka, a może raczej nauczyciela. Rzecz jasna początkowo nikt nie traktował tego szczególnie poważnie...

Na końcu świata ludziom przychodzą do głów najdziwniejsze pomysły... Ale potem okazało się, że Artus, ów prorok, istnieje naprawdę. Oczywiście nie wrócił zza Bariery, ale musiał mieć kontakt z Pyłem, pewnie pracował w kopalni, to czasem się zdarza, Pył przenika wzdłuż żył inelitu.... W każdym razie wypalił Artusowi oczy i wżarł się w skórę, a także pomieszał zmysły. Niemniej znaleźli się tacy, co mu uwierzyli, nie tak znowu wielu, ale Zakon musi być czujny, to jasne. W każdym razie, problem rozwiązał się sam- Artus po czterech miesiącach zmarł, zbyt wiele było w jego ciele Pyłu, na to nie ma ratunku. Razem z nim umarła jego herezja, była zbyt niedorzeczna, żeby istnieć samodzielnie.

-No cóż, skoro tak, to chyba rzeczywiście nic tu po mnie. Ale następny pociąg do Eridu odchodzi dopiero za cztery dni, mam więc nadzieję, że nie będzie miał Ojciec nic przeciwko temu, żebym wykorzystał ten czas rozejrzenie się i dokładniejsze zbadanie sprawy. Rozumie Ojciec, po powrocie będę musiał złożyć raport, nakreślić także obecną sytuację...

-Ależ skąd, doskonale Brata rozumiem. Pouczę parafian, żeby odpowiadali na każde Brata pytanie i okazali wszelką możliwą pomoc.

Tak zakończyła się moja rozmowa z ojcem Aliusem, proboszczem Inette, jedynym przedstawicielem Zakonu w konającym mieście, z woli Boga Najwyższego.

### 3

Pałac Namiestnika- dziwaczna, strzelista budowla z pociemniałego kamienia- bezdyskusyjnie górował nad miastem. Zbudowano go w samym centrum, na szczycie naturalnego wzniesienia. Poszarzały, gnijący labirynt Inette spływający po jego stokach miał w sobie coś fascynującego- w sposób szczególny, chorobliwy- ale fascynującego. Dziurawe, pozapadane ulice pełne cuchnącego błota i odpadków, na wpół zawalone kamienice i pałace ziejące czernią jam kiedyś będących oknami, wychudłe, zgarbione sylwetki przemykające pod murami jak sztywne cienie pokracznych rzeźb- i tak zdawałoby się w nieskończoność, bez wyjścia, bez nadziei.

Pierwszego popołudnia mojego pobytu w mieście przemierzałem ciasne, brudne ulice, kierując się w stronę pałacu i myśląc, że nie jestem w stanie zrozumieć tej sprawy. Że coś było nie w porządku- to oczywiste. Co jednak- nie potrafiłem zgadnąć.

Zresztą trudno było nazwać Inette miastem. To słowo trwało w jego murach, zrujnowane tak samo jak one, coraz słabsze, blaknące, niczym widmo dawnych czasów. Niewielu już tu zostało ludzi, kilkuset górników wydobywających inelit, zredukowana administracja cesarska, minimum rzemieślników- bo żywność i większość potrzebnych produktów przywożono do Inette z południa, koleją.

Jak trudno było tam myśleć... Zupełnie jakby czerń przestrzeni za barierą przenikała przez nią i powoli zalewała mi umysł. Zresztą... to przecież możliwe, nikt jeszcze nie poznał natury Pyłu, nikt nie wie, czym jest i skąd pochodzi.

Pył odkryto na Północy- daleko, bardzo daleko stąd. W tych czasach Inette to było nieomal centrum Cesarstwa, w każdym razie rejon w pełni cywilizowany. Tak było też, gdy Cesarstwo odrodziło się po wojnach z Ewenhami i po czasach zamętu, jakie nastąpiły później. Dopiero Pył to zmienił.

Pył... Pył zmienił to miasto, wszystko, co się tu dzieje jest przez niego zdeterminowane, Pył jest esencją wszystkiego.

Bariera nie uratowała Inette, zapewne nie uratuje też reszty świata. Pył nie zalał miasta, nie wypalił go, nie zmienił w czarne, doskonale jednolite pustkowia. Ale opanował je, w sposób o wiele bardziej subtelny, podstępny. Wypalił oczy i umysł Artusa- to wystarczyło.

Bo nie uwierzyłem w śmierć ślepego herezjarchy. Było to uczucie zupełnie nieracjonalne, bo jedyną przesłanką na której mogłem je oprzeć była dziwna nerwowość Aliusa. Mogła świadczyć o kłamstwie, ale przecież nie musiała. Jak ja bym się zachowywał, gdyby przyszło mi żyć w tym miejscu? Do powrotnego pociągu miałem jeszcze cztery dni. Jeśli naprawdę dzieje się tu coś złego, powinno wystarczyć by to dostrzec. Postanowiłem więc zaufać intuicji- i tym, którzy uważają ją za ledwo słyszalny, ale możliwy do zrozumienia szept bogów.

### 4

Ciemna sień pałacu cesarskiego namiestnika prowincji Inette pięła się wokół mnie kamiennymi ścianami, fałdami kolejnych pasm lizen, słupek i półkolumnien, z których wyrastała wielokrotnie spleciona sieć żeber sklepienia. Położono je wysoko, wyżej niż w niejednej świątyni, mimo to jego konstrukcja zdawała się wciąż tuż przed oczyma, na wyciągnięcie ręki; niesamowity wzór żeber prowadził wzrok od ściany do ściany, poprzez zworniki, z których spoglądały na mnie tuzinami pustych oczodołów kamienne bestie. Pałac był częścią innego świata, większego, bogatszego i bardziej słonecznego- oderwany od niego niepowstrzymaną siłą czasu przerażał.

Nie miałem jednak czasu na dłuższe rozmyślanie, odziany w granatową liberię kamerdyner poprowadził mnie przed oblicze namiestnika. Przemierzaliśmy ciemne korytarze i powleczone czernią podworce, z każdym krokiem głębiej w dziwacznej przestrzeni pałacu, właściwie niezmienną, ale gdzieś pod jej skórą czaił się coraz większy strach. To jedno z tych uczuć, których nie potrafimy pojąć, wskazać ich źródła. Nie było tam nic, czego powinienem się bać, a przecież strach narastał we mnie nieodpartą falą, niczym jesienny przypływ w Eridu. Strach nienazwany, nieokreślony- więc tym bardziej przerażający.

W końcu jednak otworzono przed nami ciężkie, obite żelazem wrota, a namiestnik, ręka Cesarza w prowincji Inette, dał znak, by mnie wprowadzono do gabinetu.

Siedział w głębokim, obitym ciemnym aksamitem fotelu, za ogromnym, poczerniałym ze starości biurkiem, na blacie, pod stosami papierów i ksiąg wily się skomplikowane, mało czytelne intarsje; i sam namiestnik- stary, wychudły człowiek, kościste ciało opinał poplamiony kaftan, zaczesane do tyłu siwe włosy odsłaniały wysokie, skropione gęstym potem czoło. Spojrzał na mnie zapadniętymi, matowymi oczyma, w których było coś więcej niż tylko starość- i już wiedziałem, że gdzieś za moimi plecami skrada się jego śmierć. Archias Aradeus, namiestnik Inette był chory, śmiertelnie chory, tak jak jego miasto.

Kościasta dłoń dał mi znak, bym usiadł w fotelu naprzeciwko niego.

-Witam brata tutaj, gdzie kończy się nasz świat. Jakiej pomocy mogę udzielić Zakonowi?

-Istotnie, Zakon potrzebuje pomocy- skłoniłem głowę w geście pozdrowienia- W tym wypadku informacji.

-Informacji? Oczywiście, proszę pytać. Tylko chwileczkę- prze-rwał i zaklaskał. Dłonie opinały mu białe safianowe rękawiczki, nie ukrywały jednak chudości długich palców- Nie będziemy przecież rozmawiać mając suche usta.

Lokaj wszedł niemal natychmiast, niosąc przygotowaną widać wcześniej tacę z dwoma kieliskami z ciętego kryształu i zakurzoną butelką.

Wino było ciemne, o ciężkim bukicie- pamiętało zapewne o wiele lepsze czasy, a wytworzono je z myślą o okazałych przyjęciach i dostojnych gościach. A doczekało trzęsącego się starca w zaniedbanym pałacu, pośrodku martwego miasta. I mnie.

-Co więc chce brat wiedzieć?- zapytał namiestnik, gdy tylko za lokajem zamknęły się drzwi.

Upiłem wina, próbując zebrać myśli. Tak jak się spodziewałem, było mocne, rozlewało się po języku ciężką słodyczą. Ale było coś jeszcze, jakaś ulotna, nieokreślona nuta...

-W Eridu szerzą się różne dziwne pogłoski, jakoby w Inette doszło do odstępstwa... poważnego odstępstwa.



Jego sprawcą ma być jakiś jakiś ślepiec, który wszedł w kontakt z Pyłem... Dlatego Cesarz, mając na uwadze dobro swych poddanych i całego państwa, wysłał mnie tu, bym przekonał się, jak sprawa wygląda w rzeczywistości.

-Cesarz niepotrzebnie się niepokoi- spojrzał na mnie, a w jego oczach na moment zapłonął ogień- To już przeszłość. Rzeczywiście, mieliśmy przejściowo problem z pewnym samozwańcym prorokiem, a imię było mu Artus... Ale, jak już powiedziałem, teraz już nic nie grozi czystości myśli tutejszych ludzi.... Artus zmarł przed rokiem, zabił go Pył, który wysłał- czy to nie zabawne?- tu rzeczywiście roześmiał się, sucho, gardłowo, jakby usłyszał dobry żart- Przepraszam brata. Tak... Artus odszedł wprost do Szeolu, gdzie jego miejsce, zresztą nawet gdyby żył- ilu ludzi uwierzyłoby w takie brednie?

-A właśnie... Na czym właściwie polegała herezja Artusa?

-Nie wiem dokładnie. Zdaje się, że twierdził, iż przedostał się na drugą stronę Bariery i tam rozmawiał z Czernią- wyobraża brat sobie? I jeszcze że Czerni kazała mu wrócić i przygotować świat. Ale nie wiem na co, udało mu się nawrócić tylko margines, ciężko było do tych ludzi dotrzeć. W każdym razie teraz jego kult jest zupełnie martwy, zaręczam.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, ale do niczego to już nie prowadziło. Albo Artus rzeczywiście zmarł, co wydawało się najbardziej prawdopodobne- albo też nie potrafiłem przeniknąć zasłony, jaka okrywała jego sprawę. Miałem jeszcze trochę czasu- postanowiłem więc czekać.

Gdy wyszedłem z pałacu namiestnika, był już wieczór, nad Inette zapadał przedwczesny, jesienny zmrok. Bałem się nocy w tym mieście, która wydawała się tu dziwną, skłębioną masą, napierającą na ściany i okna, by tylko wdrzeć się do domów, dopaść swoje ofiary.

Pospiesznie ruszyłem w stronę plebanii, na próżno starając się odpędzić niedorzeczne myśli.

## 5

-Oni wszystkiemu zaprzeczyli, prawda?

Zastygłem w bezruchu, jak dotknięty nagłym paraliżem. Wtedy wyszła z plamy mroku rozlanej w niszy, w której znajdowały się drzwi mojego pokoju. Drzwi były otwarte, więc nie zauważyłem jej, gdy szedłem korytarzem. Ale teraz poznałem ją bez trudu: była to młoda gospodyni proboszcza.

-Niech się brat nie obawia, nikt nas nie usłyszy, proboszcz wyszedł niedawno do namiestnika. Nie wróci szybko- mówiła jednak cicho, charakterystycznym, podnieconym szeptem niedoświadczonego spiskowca.

-Istotnie, zaprzeczyli.

-Wiedziała, że tak będzie, ale nie zdążyłam brata uprzedzić, nie było okazji. Oni wszyscy są z nim, są jego wyznawcami, zawsze będą zaprzeczać. Aż uda im się... Aż uda im się zwać brata w pułapkę.

-Pułapkę?- pozostawało mi tylko bierne zezwolenie na rozwój tej rozmowy. Czułem, że prawda oddala się szybko i nieubłaganie, że rozwiązanie tego wszystkiego staje się nieosiągalne- ale to było za mało, by zrobić cokolwiek.

-Tak, zabijają brata przy najbliższej okazji, teraz pewnie właśnie o tym rozmawiają. Brat jest zagrożeniem, dla nich i przede wszystkim dla tego ich proroka z piekła rodem...

-Czekaj... Ty coś o nim wiesz, opowiedz mi.

-Wiem... niewiele, tyle co wszyscy, to znaczy ci, którzy jeszcze nie są jego wyznawcami. Mówią że Artus, ten prorok, przyszedł zza bariery, że przeszedł pustkowia starego świata, a czarny Pył wypalił mu oczy. I jeszcze, że nawołuje, by wyrzec się starych bogów, którzy nie istnieją. I jeszcze to, że Pył jest posłuszny jego woli. Ale musi się brat strzec- on zrobi wszystko, by brata dopaść.

-Skąd... Skąd to wszystko wiesz?- jej ciemnoniebieskie niczym niebo o świcie oczy lśniły w półmroku nienaturalnym blaskiem, bezlitośnie przyciągały mój wzrok, tak, że nie mogłem zrobić już zupełnie nic. Przez moment zdawało mi się, że na dnie tych oczu, tuż pod warstwą światła lśni coś zupełnie przeciwnego- czerni, ciemniejsza jeszcze od czerni inelitu, ale nie zwróciłem na to uwagi, światło zbyt przyciągało. A wtedy odpowiedziała.

-Wiem jeszcze więcej, także o tym, co Artus chce zrobić naprawdę, i co ty powinienesz zrobić. Ale nie możemy rozmawiać o tym tutaj. Chodź- odwróciła się, a ciemność pokoju pochłonęła jej szczupłe ciało szybko i bezpowrotnie.

Poszedłem za nią, ja też zagłębiłem się w dusznej, lepkiej

ciemności. Bezwiednie zamknąłem drzwi.

## 6

Światło.

Szare światło pochmurnego dnia, światło, w którym wszystko wydawało się chore i wyblakłe, będące tylko cieniem owego oślepiającego blasku, który rozproszył pierwotne ciemności- to pierwsze co zobaczyłem.

Leżałem nagi, oplątaný pościelą, pot zalewał oczy i spływał na policzki. Pierwszy raz w życiu nie pamiętałem, co się ze mną działo. Nie pamiętałem- a może lepiej powiedzieć, że pamiętałem bardzo niedokładnie- bo gdzieś na dnie oczu tliły się jeszcze resztki obrazów, czułem jeszcze ciepło i fakturę, na języku wciąż trwał nikły ślad smaku- ale to wszystko. Więcej zostaje z koszmarne go snu.

A może to był sen? Przecież jestem sam, nie ma jej tutaj, nie pozostał najmniejszy ślad, że tu była, że naprawdę złamałem reguły mojego stanu.

Nie, pamiętałem dosyć by mieć pewność. To się zdarzyło.

Ubrałem się szybko i nerwowo, teraz każda chwila była droga, musiałem się śpieszyć, musiałem działaniem zmasać moją hańbę. Artus musiał zapłacić.

Na dole nie zastałem nikogo. Zniknął gdzieś proboszcz, a także, co dla mnie było po stokroć ważniejsze, ona. Wybiegłem więc z plebanii, nie wiedząc, co powinienem zrobić i gdzie pójść. Inette pochłonęło mnie po raz kolejny, ale tym razem już nie miałem się uwolnić.

Była tam.

Miasto urywało się nagle, wszystkie ulice dochodziły do jednej, ściśle wyznaczonej linii, za którą rozpościł się szeroki na kilka prętów pas twardej, szarej ziemi. A dalej była bariera. Jednolicie czarna, matowa ściana, atakująca zmysły rozmiarami i masą, tak, że wszystko inne wydawał się szpetne, chore i nieprawdziwe jak sen szaleńca. Bo ona była najprawdziwsza, najbardziej namacalna, ona oddzielała świat od ciemności i chaosu, od bezmiaru Starego Świata.

Zbudowano ją z inelitu, największego bogactwa tych ziem, równie czarnego jak pustka, od której oddziela miasto. Może to właśnie przesądziło? Może to właśnie ta czerni opętała umysły tutejszych ludzi, najpierw Artusa, a potem jego wyznawców?

Jednolicie czarna, gruba ściana, bez wyjścia ani najmniejszej rysy. A przecież Artus musiał jakoś się przez nią przedostać, musiał zobaczyć to, co jest za nią- i chociaż odebrało mu to oczy- widział przecież wystarczająco wiele, widział to, czego nie można zobaczyć.

Przekroczyłem pas ziemi niczyjej i dotknąłem czarnej powierzchni bariery.

Opętała Artusa. Opętała wszystkich w tym mieście.

A wreszcie... może opętała i mnie?

Powierzchnia Bariery była chłodna i gładka, jakby w istocie była to ogromna tafla czarnego szkła. Dotykałem jej zrazu delikatnie, niepewnie, samymi opuszkami palców- a potem wsparłem się o nią obiema dłońmi i czołem- i stałem tak, nie wiem jak długo, z twarzą przy ogromnej, czarnej ścianie, tak blisko Czerni jak to tylko możliwe. Czułem ją- bo inelit zawiera w sobie jej cząstkę, Czerni spaja go i nadaje niezwykle właściwości- i może właśnie dlatego nie może go pokonać- ale tej tajemnicy chyba nigdy nie pojmujemy całkowicie.

Bariera pulsowała, gdzieś głęboko, na granicy wyczuwalności, cienkimi jak włos włóknami. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero po chwili- ale od tego momentu wrażenie było nieprzerwane. Bariera żyła, tak jak Czerni, żyła Czernią.

Czernią która opętała Artusa. Czernią, która opętała mnie.

To bez sensu, ale przecież musi istnieć jakieś wytłumaczenie. Coś musiało opanować i spętać moją duszę, tak, że nie wiedziałem co robię. Bo byłem pewien, że nie zrobiłem tego z własnej woli.

Wtedy powrócił smak wina u namiestnika, grymas wychudłej twarzy, gdy przywoływał lokaja- i już wiedziałem, że to była przyczyna. Więc to wszystko zaplanowano od początku do końca by mnie zniszczyć. Zapłaci mi za to, wszyscy zapłacą. Ruszyłem więc w labirynt ciasnych uliczek miasta, w stronę pałacu namiestnika. Po drodze jednak spotykałem brudnego, obdartego chłopca- i nagle wszystko okazało się inne.

Znalazł mnie na jednym z niewielkich, opustoszałych placów. Wyglądał niepozornie, gdyby mnie nie zatrzymał, minąłbym go nie zwróciwszy nań uwagi, może nawet to kiedyś się stało. Ale zatrzymał mnie, powiedział coś, co przybliżyło rozwiązanie.

-Chodź za mną. On chce cię zobaczyć.

Więc to takie proste? Trzeba tylko iść za tym dziwnym, nerwowym chłopakiem, którego chudości, niezwykłej nawet na te jego piętnaście czy szesnaście lat nie kryło znoszone ubranie, w którego twarzy rysowało się coś niepojętego, zwierzęcego - i już?

A jeśli pójdę- w jaki sposób mnie zabiją, pomyślałem wtedy, ale nie było to pytanie, nie chciałem znać odpowiedzi.

-I masz jego słowo, że nie spadnie ci włos z głowy. Chodź. Odwrócił się i zniknął w ciasnej, brudnej uliczce, otwierającej się za jego plecami jak szczęki jadowitego węża. Nawet na mnie nie spojrzał, jakby był pewien, że za nim pójdę, jakby to był fakt bezsporny i nie podlegający dyskusji.

Mimo to- a może właśnie dlatego, przecież nie mogłem być tego pewny, nie mogłem być pewny niczego- poszedłem za nim. Dokładnie tak samo- ale czułem, że tym razem dojdę po stokroć dalej.

Prowadził mnie płataniną wąskich, zaniedbanych zaułków, wypełnionych odorem gnijących śmieci i fekaliów leniwie płynących w rynsztokach, otoczonych starymi domami o popękanych ścianach; tynki odłaziły całymi płatami, szczyrzyły się zęby potłuczonych szyb. Inette rozkładało się, toczyła je gangrena- a to zaczęło się właśnie tutaj, to było ognisko choroby. W końcu dotarliśmy do zaułka chyba najwęższego i najbardziej cuchnącego.

I on tam był, ślepy, zgarbiony starzec w burej szacie, chłopak podszedł do niego, a on wsparł się ciężko na jego ramieniu.

A oni wszyscy- proboszcz, jego gospodyni, namiestnik i jego podwładni i chyba wszyscy inni, których tu widziałem- stali za nim. W ich oczach płonęła czerń inelitu, czerń pustki.

Oto Artus, oto jego wyznawcy.

-Więc to ciebie wysłano, abyś mnie zgłodził? Podejdz tu, nie bój się- ten głos nie pasował do niego, nie pasował do brudu i czerni wokoło, głos głęboki i czysty, niemal przyjemny.

-Artusie, który nazywasz siebie prorokiem, jesteś winien bluźnierstwa i odstępstwa od wiary. Ale nie przyjechałem tu by cię zabić. Cesarz, nasz miłosierny ojciec, głowa świętego Zakonu, wysłał mnie, bym udzielił ci upomnienia, ojcowskiego upomnienia. Okaż skruchę i pojedź ze mną do Eridu- a twoje winy może zostaną darowane.

Artus uniósł głowę i mimo, że w jego twarzy zamiast oczu ziały dwie ciemne jamy, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że na mnie patrzył. Z ironią, a może raczej politowaniem.

-Co Cesarz może wiedzieć o tym, co naprawdę dzieje się tutaj, na krańcu świata? I co może wiedzieć o tym, co dzieje się jeszcze dalej? Twierdzisz, że przybyłeś mnie napomnieć. Dobrze więc, teraz ja napomnę ciebie: daję ci trzy dni na opuszczenie tego miasta i tej ziemi. Trzy dni, i ani chwili więcej.

-Artusie, czy nie rozumiesz? To jest już koniec twojego odstępstwa. Możesz mnie przepędzić, uwięzić, nawet zabić. Ale to nic nie zmieni, po mnie przyjdą inni, wielu innych. I wtedy zginiesz na pewno, w męczarniach, wśród płomieni stosu, i tak samo zginą twoi wyznawcy, którzy nie rozumieją swoich win i nie upadną przed prawdziwym Bogiem.

Długo nie odpowiadał, jakby się zamyślił. W końcu jednak rzekł:

-Czas starych bogów już minął, tak jak mija właśnie czas tego świata. Czyżbyś nie wiedział, że to, co ty i twoi bracia nazywacie światem było tylko małą częścią, nędznym ochłapem Starego Świata? A niedługo zniknie nawet ten żalosny strzęp, który jeszcze pozostał. Bo teraz nadchodzą nowe czasy i nowy bóg, a Czerń, która jest pod powierzchnią wszystkiego przygotowuje dla niego nowy świat, i on sam będzie Czernią. To już trwa. Dlatego strzeż się. I pamiętaj: trzy dni.

Powiedziawszy to, Artus ruszył przed siebie, wspierając się na ramieniu chłopca, a wszyscy inni poszli za nim w bezładnym orszaku, czerń gorzała w ich oczach. Zaś ja stałem, nie mogłem wykonać choćby najmniejszego ruchu, aż ostatni z nich nie zniknął w płataninie ulic Inette.

Oczywiście nie odszedłem. Czekałem. Snułem się po wyludnionym mieście jak cień, zaglądałem do opuszczonych budynków. Próbowałem się modlić, ale nie mogłem zebrać myśli, umysł uciekał w blaknące wspomnienia i mgliste, nieokreślone obrazy nie powiązane z niczym, co kiedykolwiek widziałem - ich czas miał dopiero nadejść. Więc czekałem. I stało się.

Trzeciego dnia Artus, ślepy prorok, powrócił, a Czerń niezmiernych przestrzeni Starego Świata podążała jego śladem.

### Czerń Starego Świata

Chyba nikt, nigdy, w żadnym świecie nie zbliżył się do zrozumienia mechanizmu pamięci. Pamiętamy- powidok obrazów, dalekie echo dźwięków, trwające na opuszkach palców wrażenie dotyku, strzęp smaku. Pamiętamy duszne, splecione sny dzieciństwa. Pamiętamy to, co nie istnieje, a także to, co nigdy nie istniało.

Pamiętam coraz mniej.

Obrazy pociemniałego, gnijącego Inette blakną i tracą ostrość, kontury rozmywają się i wykrzywiają. Ulice otwarte na Barierę, zrujnowane domy, ciemne place- i w tym wszystkim nie ma mnie, to nie może być prawda.

Wspomnienia najbardziej niedawne nikną bezpowrotnie- ale ich miejsce zajmują inne, obrazy o wiele starsze, o których pewien byłem, że już nie istnieją. Obrazy innego miasta.

Ile miałem wtedy lat- sześć, siedem? Na pewno nie więcej i chyba nie mniej. To wtedy po raz pierwszy pochłoniął mnie nieskończony labirynt Eridu, miasta pośrodku świata, ulice, place, aleje i kanały, z każdej strony, po horyzont. Wyskokczyłem z powozu i zanim ktokolwiek zdążył zareagować zniknąłem w płataninie wąskich, bocznych uliczek. Zafascynował mnie, a takiej fascynacji doświadczyć może tylko dziecko, wilgotny zaduch miasta, jego oddech, puls; dotykałem go, czułem, chłonałem wszystkimi zmysłami.

Prorok stał na niewielkiej skrzynce ustawionej pośrodku nie-regularnego placu; stare, zaniedbane kamienice pochylały się nad nim, jakby zasłuchane.

Ludzie też słuchali, chociaż mniej uważnie. Nie było ich zbyt wielu, najwyżej czterdziestu, zresztą nie zwróciłem na nich większej uwagi, najważniejszy był prorok.

Spleciona, biała broda złączona z włosami, brudna, podarta tunika nieokreślonego koloru, wychudłe, powykęcane ciało. I czarne, tak idealnie czarne jamy zamiast oczu.

-Czerń jest w was- wołał, a ja wierzyłem, chociaż nic nie rozumiałem, i to była wiara największa, najpełniejsza- W was, w każdym. Mówią, że przychodzi z północy by zniszczyć świat, ale tak naprawdę tylko połączy się z czernią waszych serc. I oto staniecie przed wyborem- przyjąć ją, czy też nie. Ale wiedźcie, że jeśli zwrócicie się przeciwko niej, pożre was, tak jak teraz pożera świat.

Gdzie jestem. Kim jestem. Już nie ma pytań, tak jak nie ma odpowiedzi i nie ma nikogo, kto mógłby ich szukać. Jestem, jeszcze istnieję, w Czerni, mimo Czerni, wszędzie i nigdzie. Pamiętam coraz więcej, coraz więcej w moim umyśle jest obrazów niemożliwych, płyną przez Czerń i płyną przeze mnie. Widzę je, wszystko, światy, ludzi, gwiazdy, wszystko co możliwe i niemożliwe, moimi wypalonymi przez Czerń oczyma- widzę, widzę.

**Piotr „kariat” Pajor**

*Opowiadanie zostało wyróżnione w konkursie SBS#2*

15 lipca 2731 wg. czasu ziemskiego,  
planeta Ziemia Dwa, Los Angeles.

Drzwi biura niewielkiej agencji detektywistycznej otworzyły się. W ich progu stała wysoka, szczupła brunetka. Była ubrana w smolście czarne spodnie z syntetycznej skóry oraz taką samą, rozpiętą kurtkę. W dłoni trzymała motocyklowy kask. Zlustrowała zielonymi oczami całe wnętrze biura. Nie było wielkie; tuż pod dużym oknem umieszczone było małe biurko, za którym siedział około dwudziestoparoletni blondyn. Popatrzył na nią nieco zaskoczony.

- Co jest Vixen? - zapytała - miałaś śledzić tego jednego gościa - brunetka uśmiechnęła się nerwowo. Odkąd dwa lata temu uciekła z Nowego Yorku na Ziemi Dwa, nie czuła się tak... zagrożona. Jej wyostrzona intuicja ostrzegała ją przed czymś i to ostrzegała, rozkazując jej odczuwać paniczny strach przed czymś. Po nieprzespanej zupełnie nocy poranek nie przyniósł ukojenia.

- Wiem, Max - powiedziała Vixen - ale źle się czuję. Nicole mnie zmieniła. Mam ją zastąpić wieczorem - dodała. Nicole była partnerką Maxa i ich współpracownicą. Agencja miała się naprawdę dobrze. Dzięki sporej liczbie robotów policyjnych patrolujących ulice centra dużych miast stały się spokojne i w miarę bezpieczne. A taka sytuacja pomagała im znaleźć zatrudnienie - zazdrosne żony, które koniecznie chciały się przekonać czy są zdradzane bądź też zaniepokojeni rodzice, których dzieci spotykały się nie z tymi osobami, z którymi - zdaniem rodziców - powinny, gwarantowały stały przytyły gotówki. Tym razem jednak ich sprawa była bardziej poważna. Ktoś porwał dla okupu dziecko bogatego biznesmena i ten właśnie biznesmen, nie ufając policji, wynajął ich. Udało im się odkryć, kto stał za porwaniami, a teraz należało tylko odnaleźć kryjówkę. „Tylko”.

- Niech będzie - powiedział Max i wruszył ramionami - ale skoro jesteś, to mogą pojechać na miasto i...

- Nie... - wyrwało się Vixen, nim zdążyła ugryźć się w język. „Nie zostawiaj mnie”. Czuła paniczny strach, którego nie rozumiała. I za wszelką cenę nie chciała zostać sama. Max popatrzył na nią zaskoczony - nieważne już, idź, ja zostanę w biurze. Ale będę u siebie - dodała szybko, kierując się w stronę drzwi prowadzących na zaplecze. Biuro mieściło się w całości w mieszkaniu Vixen - ona mieszkała sama. Poczekala, aż Max wyjdzie z biura i popatrzyła na drzwi. Jej wzmacniacz wzroku, analizując temperaturę w sąsiednim pomieszczeniu dzięki kamerze cieplnej poinformował ją o tym, że pomieszczenie jest puste. Vixen jednak położyła kask na stoliku, wyciągnęła broń i dopiero potem, z pistoletem gotowym do strzału powoli weszła do środka. Nie włączając światła usiadła w dużym fotelu, uprzednio przestawiając go w róg pokoju i zwinęła się w kłębek, trzymając w dłoni pistolet.

Max zastukał w drzwi kolejny raz. Nikt nie odpowiedział. W zasadzie nie wiedział, czy Vixen była u siebie w mieszkaniu, ale mówiła, że zostanie i nie dała znać na jego komunikator, czy będzie wychodziła. Po chwili zdecydował jednak, że wejdzie. Gdy tylko pokochał próg wchodząc do zupełnie ciemnego pokoju Vixen, w oczy zaświecił mu silny snop światła. Dopiero po chwili zapaliło się światło. Gdy jego oczy przywykły do większej ilości światła, zobaczył Vixen skuloną na fotelu, z pistoletem w jednej i latarką w drugiej ręce, wycelowaną w niego.

- Max? - zapytała.

- A kogo się spodziewałaś? - warknął - schowaj ten pistolet, to ja - dodał. Vixen dopiero po chwili wsunęła broń do kabury pod ramieniem.

- Przepraszam, Max - powiedziała i nadal siedziała skulona na fotelu. Max kucnął obok niej.

- Co się z tobą dzieje, Vix?

- Moja popieprzona intuicja... - jęknęła. Max westchnął. Wiedział, że intuicja Vixen to coś więcej, coś zdecydowanie więcej niż zwykłe przeczucie. Zdawał sobie sprawę, że to było coś na kształt jasnowidztwa.

- Znowu? - zapytał. Vixen tylko skinęła głową. Od niespełna miesiąca Vixen miała ataki prawie panicznego lęku, wywołane-

go właśnie jej intuicją. Nie miała pojęcia, dlaczego, czuła tylko, że coś jej grozi.

- Tak, nie wiem, co się dzieje. Boję się, Max. Tylko nie wiem, czego.

- A ja nie wiem, jak ci pomóc - westchnął - wychodzę, bo rozmawiałem przed chwilą z klientem. Kolejni rodzice, którzy martwią się o swoje dziecko. Wrócę wieczorem. Zostaniesz tutaj, czy idziesz do biura? - zapytał. Wstała z ociąganiem i usiłowała się powstrzymać, ale Max dostrzegł, że ledwie musnęła swoją broń.

- Będę w biurze - powiedziała i popatrzyła na niego - Max, coś się wydarzy. Coś złego. Jestem o tym przekonana. Stąd te lęki. Ta moja cholerna intuicja... ten dar i przekleństwo... Przed czymś ostrzega. Musimy na siebie uważać.

- Wiem. Trzymaj się, Vix. Lecę - Vix skinęła głową...

Komunikator zadzwonił. Vixen od niechcenia popatrzyła na monitor komputera przed sobą. Całe popołudnie spędziła w agencji detektywistycznej. Agencję prowadziła wraz z dwójką przyjaciół. A teraz właśnie dzwoniła Nicole. W zasadzie przysłała tylko wiadomość. Nicole śledziła faceta, który ponoć był zajmował się porwaniami dzieci bogatych mieszkańców miasta. Przerażeni rodzice właśnie ich wynajęli do uratowania ich dziecka. Jeżeli Nicole dzwoniła, to znaczyło, że pojawiły się jakieś kłopoty. Vixen wstała z obszytej jasnożółtą skórą sofy w biurze i zabrała komunikator. Popatrzyła na monitor i zaczęła odtwarzać wiadomość.

- Jestem w pobliżu starego magazynu na granicy centrum, wysłałam lokalizację. Jest tutaj ten jeden facet i jakiś inny, chyba jest z nimi dziecko. Przyjedź, ja wchodzę - to był cały przekaz. Vixen zaklęła pod nosem. Maxa nie było, był zajęty inną sprawą. Szybko zamknęła biuro i ruszyła na schody. Na chodnik niemal już wybiegła. Elektryczny silnik motocykla włączył się, gdy tylko do niego podeszła. Założyła kask, usiadła na maszynie i pomknęła przed siebie. Miała nadzieję, że nie natknie się na żaden patrol drogowy, ale jej wyostrzona intuicja kierowała drogą bez patroli. Tym razem nie zafundowała jej strachu, jaki ostatnio czuła cały czas. Być może dlatego, że nie miała czasu na strach. Nicole mogła nie żyć. Był niemal środek nocy a przepisy drogowe już dawno zbliżyły się do bardziej rozsądnych. O ile ulice były puste, policyjny patrol w zasadzie nie powinien był się przyczepić do nadmiernej prędkości, o ile nie przesadzała za bardzo. Ale teraz po ledwie kilku sekundach po ruszeniu motocykl pędził z prędkością prawie dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. To była przesada. Ale naprawdę nie było czasu. Mocno przechyliła motocykl na ostrym zakręcie podpierając się kolanem, po czym mocno zacisnęła klamki hamulca, opuszczając główną drogę. Światła jej motocykla samoistnie się zapaliły, gdy zaczęła jechać nieoświetloną, boczną drogą. Ledwie dziesięć minut zajęło jej dotarcie na miejsce, ale tylko dzięki temu, że wybrała drogę okrężną, z daleka od głównej, zakorkowanej arterii miasta. Miała nadzieję, że zdążyła. Vixen nadłożyła drogi i zatrzymała się na tyłach wielkiej hali, sąsiadującej z tą, w której miała być Nicole. Oparła motocykl o ścianę budynku i rozejrzała się. Dzięki wzmacniaczowi wzroku i słuchu mimo całkowitych ciemności wszystko doskonale widziała. Poza tym postanowiła zostawić kask na głowie. Przykryła warstwą jakiegoś starego brezentu motocykl i rozejrzała się ponownie, ale nigdzie nie dojrzała najmniejszego ruchu. Podeszła do rogu hali i wychyliła się nieznacznie, patrząc na sąsiednią halę, tą, do której skierowała ją Nicole. W półotwartych, dużych drzwiach dojrzała czerwony pojazd. Nadwozie pojazdu naprawdę musiało sporo kosztować; nie był to zwyczajny, wygodny i praktyczny pojazd, jeden z tych, które były produkowane seryjnie i wyglądały identycznie, ale idealna replika którejś z maszyn legendarnych Lamborghini. Zapewne właściciel pojazdu wydał na to niemałą sumkę kredytów. Ona sama miała motocykl, który w obecnych czasach był już pięknym klasykiem - replikę sportowej Hayabusy 2, która dwa lata temu też kosztowała ją wcale niemało. Patrzyła do środka, ale nie widziała nic. Nagle dojrzała jakiś ruch na samym skraj hali. Gdy rozpoznała postać, zmrużyła oczy z gniewu. Pierwsza szła Nicole; zaraz za nią szedł jakiś mężczyzna, trzymający broń tuż przy jej głowie. Zdecydowanie szli za budynek hali. Vixen ruszyła za nimi, szybko, ale cicho, biegnąc w cieniu rzuconym przez sąsiedni budynek. Cała dzielnica była dosłownie zapchana starymi halami fabrycznymi i magazynami, będącymi tutaj jeszcze od czasów powstawania miasta, gdzie trzymano



cały sprzęt i niezliczone materiały budowlane. Gdy Vix zobaczyła, że mężczyzna się zatrzymał i wycelował broń, nie miała już czasu. Uniosła swój pistolet.

Nicole szła powoli, krok za krokiem. Gdy mężczyzna wydał polecenie, zatrzymała się, jak robot, niemal niemyśląc nic. Poczula na karku zimny dotyk lufy pistoletu. Metal rozchylił jej krótkie blond włosy na boki. A więc tak miało się to skończyć. Usłyszała przeciągły świst ładowania się systemu wyciszającego strzał. Minęła niespełna sekunda i rozległo się delikatne pyknięcie strzału. Nicole poczuła, jak ktoś opadł na nią całym ciężarem swojego ciała, zostawiając na plecach obrzydliwe ciepło gęstej cieczy i wreszcie upadł tuż obok na chodnik. Nicole popatrzyła najpierw na mężczyznę, którego pocisk ugodził w tył głowy i przebił czaszkę, a dopiero potem odwróciła się. Vixen.

Uniosła szybką kasku i popatrzyła na Nicole. Blondynka była śmiertelnie biała, na jej lewym obojczyku była plama krwi. Ale to chyba nie była jej krew. Vixen szybko do niej podeszła. - Żyjesz? - zapytała. Nicole popatrzyła na nią nieobecnym wzorkiem. - Tak - odparła po chwili - ja pierdolę, myślałam, że już po mnie - westchnęła, oparła się o ścianę i oddychała ciężko. - Miałas na mnie poczekać i tyle - warknęła Vixen - pojawiłam się w ostatnim momencie. Następnym razem mogę nie zdążyć. - Wiem, przepraszam, miałam... - nie dokończyła. Zza rogu hali wyszedł jakiś mężczyzna, szarpiący się z chłopcem, który mógł mieć najwyżej dziesięć, może jedenaście lat. - Johnson, jak długo będziesz się zabawiał z tą suką? Trzeba jeszcze dzieciaka... - urwał, gdy zobaczył Vixen stojącą tuż obok Nicole i uniósł broń. Vixen jednak była nieco szybsza. Jej pistolet strzelił z cichym trzaskiem niemal w tym samym momencie, co broń bandyty, ale to wystarczyło. Mężczyzna runął do tyłu, gdy pocisk trafił go w klatkę piersiową a Vix zaklęła głośno i zachwiała się. Oparła się prawym ramieniem o ścianę i zacisnęła dłoń na prawym udzie. - Gdzie dostałaś? - zapytała Nicole, podchodząc do niej. - W dupę - warknęła - zajmij się chłopakiem i pilnuj - dodała, podając jej swoją broń. - Na pewno w porządku? - zapytała Nicole, ale gdy Vixen popatrzyła na nią wściekłym wzorkiem, ruszyła do chłopca stojącego na ulicy bez ruchu. Vixen popatrzyła na udo. Pocisk odbił się od chodnika i trafił ją w środek uda. Wszedł niemal pośrodku uda, ale odbił się od jej stalowego szkieletu i wyszedł z drugiej strony. Stalowymi paznokciami, jakie dawno już wszczepiła zamiast naturalnych bez trudu rozcięła spodnie, by dostrzec całą ranę. Nanoboty w jej krwi rozpoczęły już pracę. Rana niemal goiła się w oczach. Uśmiechnęła się. Najwyżej godzina i będzie miała tylko niewielką bliznę. Ruszyła w stronę Nicole, wyciągając komunikator. W końcu policja powinna tutaj posprzątać...

- Czy ma pani jeszcze coś do dodania? - zapytał policjant przesłuchujący Vixen w radiowozie. Uśmiechnęła się pod nosem. Domyślała się, że jej wyjaśnienia nie były jak dla niego zbyt skromne. Ale powiedziała wszystko, co tutaj się wydarzyło. - Nie, już nic. To wszystko. Czy mogę już iść? - zapytała. Policjant tylko skinął głową. Vix wyszła z policyjnego pojazdu i podeszła do Nicole i Maxa, nieco wyższego od Vixen blondynem. Vix uśmiechnęła się, patrząc na nich. Pasowali do siebie. - Wszystko jest w porządku - powiedziała, uprzedzając ich pytania - sprawa zamknięta. Oboje patrzyli na nią, nieco zaskoczeni. Dopiero po chwili zauważyła ich spojrzenie - co? - zapytała. - Zaskoczyłaś mnie - powiedziała Nicole. - Wiem - uśmiechnęła się Vixen - ten motocyklowy strój w nocy jest praktycznie nie do zauważenia - dodała z dumą. - Nie o to chodzi - powiedziała Nicole - zaskoczyłaś mnie swoim zachowaniem. Zostałaś postrzelona - Nicole zerknęła na widoczną w dziurze w spodniach ranę - a ty nadal stałaś po takim trafieniu. Przecież każdy człowiek po takim trafieniu nie ustał by na nogach. - Miałam szczęście - powiedziała Vixen, nieco zakłopotana - kula mnie tylko drasnęła, przecież to był rykoszet. - Nawet jeżeli to był rykoszet, to... - O co wam w ogóle chodzi? - zapytała Vixen - kogo chcecie ze mnie zrobić? Co chcecie usłyszeć? Że kim jestem? Mówiłam,

że od dziewiętnastego roku życia byłam detektywem. Przywykłam do pistoletu w dłoni. Nie jeden raz musiałam zabić, by ocalić życie. Swoje, czy kogoś innego. Nie jeden raz byłam ciężko ranna. To chcieliście usłyszeć? Czy to, że w sporej części jestem pieprzonym robotem? - warknęła, odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę motocykla, który już wcześniej ustawiła przy krawężniku. Z uchwytu odpięła kask, usiadła na kanapie i raz jeszcze rozejrzała się wokół. Policjani koronerzy właśnie chowali ciała zastrzelonych przez nią mężczyzn do transportera, a z dzieckiem i jego rodzicami rozmawiał policyjny psycholog. Przez czarną jak smoła szybką kasku popatrzyła na Maxa i Nicole, po czym ruszyła szybko, krótko popiskując tylną oponą...

## 10 lipca 2731 wg. czasu ziemskiego, planeta Ziemia Dwa, Nowy York.

Drzwi biura policyjnego detektywa Mike'a otworzyły się szybko, na tyle niespodziewanie, by ten aż podskoczył przed komputerem. W drzwiach stał jeden z jego kolegów z pracy. - Cześć, Mike, szef cię wzywa - powiedział szybko - nie wiem, o co chodzi, ale są u niego jacyś goście z ZARu. Przylecieli dzisiaj prosto z Ziemi - Mike popatrzył na niego zaskoczony. Słyszał o ZAR-ze i jego agentach. To była Ziemska Agencja Rządowa, która zgodnie z Dekretem Współpracy Międzyplanetarnej miała władzę nad wszelkimi siłami policyjnymi na innych planetach. Oczywiście zwykle tylko w wąskim zakresie, ale gdziekolwiek pojawiali się agenci ZARu, tam zawsze wymagali od policji stuprocentowej współpracy i mieli pełne prawo tego żądać. Mike wstał i szybko ruszył do drzwi. A z tego co wiedział, na Ziemi 2 była już ich komórka, oczywiście w Waszyngtonie - mieście będącym niemal idealną kopią pierwowzoru. Nie minęła chwila, gdy wszedł do gabinetu szefa. Trzej agenci już tam byli. Na pierwszy rzut oka wydali się Mike'owi dziwni i podejrzani. Byli niemal dokładnie tego samego wzrostu, ubrani w identycznie czarne garnitury. Dwóch z nich miało wszczepione wzmacniacze wzroku, przy czym żaden z nich nie dbał o estetykę - wzmacniacze wyglądały jak duże ochronne gogle i całkowicie zasłaniały oczy. Mike wstał i popatrzył pytająco na nowo przybyłych. - Mike, ci panowie zadadzą chęć porozmawiać na temat pewnej sprawy sprzed dwóch lat. Dzisiaj rano przylecieli prosto z Ziemi. To jest pan John Smith - komendant przedstawił agenta bez wzmacniaczy wzorku, a Mike uśmiechnął się ironicznie, będąc pewnym, że nazwisko było całkowicie zmyślane. - Jasne - odparł Mike i podał dłoń Johnowi, ale gest został całkowicie zignorowany. W odpowiedzi agent wyciągnął tylko legitymację i mignął nią przed oczami Mike'a. - Przylecieliśmy z Waszyngtonu. Jesteśmy agentami ZARu. Pan zajmował się sprawą śmierci Andreusa Doxthra? - Ta sprawa jest zamknięta, po co panowie chcą do niej wrócić? - odpowiedział Mike pytaniem. Na samo wspomnienie Andreusa przed oczami miał twarz Vixen. Mimo jej śmierci przed dwoma laty, nadal doskonale ją pamiętał. - To my zadajemy pytania - warknął ten sam mężczyzna - ZAR to Ziemska Agencja Rządowa. Zgodnie z Dekretem Współpracy Międzyplanetarnej wszelkie służby sprawujące obowiązki policji na planetach skolonizowanych mają w obowiązku podlegać Agencji. Tutaj, na Ziemi Dwa, obowiązkiem jest posłuszeństwo wobec komórki ZAR na Ziemi Dwa umiejscowionej w Waszyngtonie. Chce pan odmówić współpracy? - Nie - powiedział Mike rezygnując z wszelkiego oporu - zaraz przygotuję odpowiednie dokumenty odnośnie Andreusa... - Ależ nie - przerwał mu agent - kompletnie nie interesuje nas ta osoba. Interesuje nas Vixen Virth - Mike westchnął cicho na same wspomnienie o niej - zresztą odpowiednie dane i tak sami jesteśmy w stanie uzyskać. Znamy systemy komputerowe, na jakich pracuje policja. Po prostu chcemy by udostępnił pan nam pana komputer. Pan może iść sobie na kawę - dodał lekceważąco agent. - Vixen Virth nie żyje - powiedział spokojnie Mike - zginęła w domu Andreusa, w czasie pożaru. W ruinach domu odkryto... - Jej ciało? - przerwał mu John. - Nie, jej... - Mike nie zdążył dokończyć. - Komunikator? - odezwał się jeden z dwóch agentów stojących za pierwszym z nieukrywaną ironią - motocykl? Broń osobistą? Implanty? I co, może wszystko spalone? - Dokładnie tak - przyznał Mike i poczuł się jak dziecko

złapane na wyjątkowo nieudolnie przedstawianym kłamstwie.  
 - Zrobiono analizę cząsteczkową? Symulację odbudowy molekularnej? Postarano się o jakikolwiek dowód, że Vixen Virth naprawdę nie żyje?  
 - Nie - przyznał Mike.  
 - Dlatego chcemy uzyskać wszelkie dane na temat pani Vixen.  
 - Dlaczego chcą panowie ją odnaleźć? - zapytał Mike.  
 - Proponuję przejść się na kawę - westchnął agent całkowicie ignorując jego pytanie - a my zrobimy swoje - dodał.  
 - Mike, zaprowadź panów do swojego biura a potem wróć do mnie - powiedział komendant. Mike skinął głową i pierwszy wyszedł z biura komendanta. Szybko skierował się do swojego biura i wskazał drzwi. Agent John wszedł jako pierwszy do biura a gdy za nim weszli pozostali, skinął na jednego z agentów. Trzeci agent, jak dotąd milczący, podszedł do komputera Mike'a i usiadł przed nim. Zamiast zacząć używać ekranu dotykowego, po prostu odwrócił lewą dłoń nadgarstkiem do góry i wykręcił mocno. Niewielki, wąski przewód wystający wprost spod skóry podpiął do odpowiedniego łącza w boku komputera, a Mike skrzywił się nieznacznie. Nie znosił aż tak głębokich modyfikacji i sam, mimo że było mu to kilkakrotnie proponowane, nie zgodził się. Dowódca agentów tylko się uśmiechnął.  
 - Sugerowałem, by iść na kawę - powiedział z ironią. Mike wyszedł z biura i wrócił do biura komendanta.

Gdy wszedł, komendant popatrzył na niego spokojnie.  
 - Mike, zapomnij o niej - powiedział. Mike uśmiechnął się ironicznie. Chyba cały jego wydział słyszał o jego krótkotrwałej znajomości z Vixen. I o tym, że naprawdę liczył na związek z nią.  
 - Daj spokój, Jonathan - westchnął.  
 - Zapomnij o tej dziewczynie. Sam wiesz, że było z niej niezłe ziółko.  
 - Wiem... - westchnął Mike - ale na dobrą sprawę nigdy nie było wobec niej żadnych dowodów.  
 - Już sam fakt, że interesuje się nią ZAR jest wystarczającym dowodem. Jeżeli żyje, to nie chciałbym być w jej skórze, gdy ją znajdą - Mike popatrzył na niego, nieco zaskoczony własnymi myślami.  
 - Dostanę urlop? - zapytał Mike, zupełnie zmieniając temat - kilka dni.  
 - Dobrze wiesz, że chyba nawet ty nie pamiętasz, kiedy wziąłeś urlop. Nie ma problemu.  
 - Dzięki, szefie - powiedział Mike z uśmiechem i wyszedł z biura. Jeżeli agenci ZAR-u potrzebowali jego komputera, żeby odnaleźć Vixen, on na pewno też mógł to zrobić.

## 16 lipca 2731 wg. czasu ziemskiego, planeta Ziemia Dwa, Los Angeles.

Drzwi biura agencji detektywistycznej otworzyły się. Vixen uniosła głowę znad komputera. W drzwiach stała Nicole z Maxem. Uśmiechnęła się nieznacznie. Przed chwilą dopiero Vixen otworzyła agencję i Max wraz z Nicole przyjechali do niej ze swoje mieszkania kilka przecznic dalej.  
 - Mamy dzisiaj dwa spotkania z nowymi klientami. Ponadto rodzice tego dzieciaka chcą się z nami spotkać - powiedziała, wstając od komputera. Miała na sobie ubrane niebieskie dżinsy i białą bluzkę z krótkimi rękawkami. Patrzyła chwilę na przyjaciół - co jest? - zapytała.  
 - Vixen, od dwóch lat prowadzimy razem tą agencję. Naprawdę nieźle nam to wychodzi, głównie dzięki tobie. Ty to wszystko ciągniesz. A my niewiele o tobie wiemy. Jesteś dla nas niemalą tajemnicą - Vixen westchnęła ciężko i ruszyła w stronę żółtej sofy. Rozsiadła się na niej wygodnie.  
 - Co chcecie ode mnie wiedzieć? - Max i Nicole usiedli na dwóch skórzanych fotelach, ustawionych po drugiej stronie szklanego stolika. Nicole nagle się roześmiała.  
 - To jest bez sensu. Nie chcemy tutaj przesłuchania. Vix, cholernie mnie zaskoczyłaś tą akcją pod magazynem.  
 - Czym? - zapytała Vixen - tym cholernym postrzałem? Mam wysoki próg odporności na ból - zachichotała.  
 - Nie - powiedziała - ja tam nic nie widziałam. Kompletnie. Było całkiem ciemno. A ty miałaś ubrany dodatkowo swój kask, z czarną szybą. Rozumiem pierwszy tak cholernie celną strzał, byłaś blisko, ale ten drugi... On stał jakieś pięćdziesiąt metrów od nas.  
 - Kwestia wprawy - westchnęła Vixen.

- Jasne - powiedział Max - w zasadzie mógłbym w to uwierzyć, ale te twoje słowa, że jesteś w sporej części robotem? - Vixen uśmiechnęła się pod nosem.  
 - Urodziłam się na Ziemi, Max. Nie tutaj. Nie w Los Angeles, na Ziemi Dwa. Na Ziemi, tej pierwszej, mało jest ludzi, których ciała nie są wzmocnione nanotechnologią. Tu w Los Angeles każdy człowiek jest wyposażony w armię nanobotów, które na bieżąco usuwają wszelkie choroby. Pewnie też macie je we krwi. Podejrzewam, że wzmocnienie ekstatyczne też - Nicole zaczerwieniła się nieznacznie, ale Vixen kompletnie to zignorowała - akurat ja wzmocniaczy ekstatycznych nie mam. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek to pomogło uratować mi życie. Ale poza zwykłymi nanobotami, mam takie, których zadaniem jest wzmocnienie mięśni. Nie chodzi tutaj może o większą siłę, ale większą wytrzymałość. Długotrwały wysiłek. Poza tym moje naturalne kości dawno już zostały zastąpione metalowym enodszkieletem. Dlatego pocisk po prostu odbił się od kości w moim udzie. Lepiej, o wiele lepiej widzę i słyszę od każdego człowieka. Moje zmysły też zostały wzmocnione. To dlatego tak celnie strzelam. Moja broń jest połączona ze wzmocniaczami wzroku.  
 - Cemu nam tego nie powiedziałaś? - zapytała Nicole.  
 - Nie było potrzeby. Nie chciałam, by inni uznali mnie za... - urwała.  
 - Już nie człowieka? - zapytała Nicole.  
 - Mniej więcej - powiedziała Vixen - wiecie już o mnie to, co chciałam ukryć. Dlatego tak sobie poradziłam.  
 - A twoje przeczucie? To też jakiś... - Max zastanawiał się nad słowem - gadżet?  
 - Nie - Vix pokręciła głową - to nie gadżet. Wiecie o tym od samego początku przecież. Z tym się urodziłam. I dlatego mnie to martwi. Nie rozumiem tego panicznego lęku. Nigdy wcześniej nie miałam tego... - Vixen urwała nagle. Jej dłonie zacisnęły się na podłokietnikach fotela, aż żółta skóra niebezpiecznie zaskrzypiała.  
 - Vixen, co się dzieje? - zapytał Max, widząc, jak błędnie. Sekundę później leżący na biurku komunikator zadzwonił. Najwyraźniej ktoś chciał się skontaktować z agencją. Vixen popatrzyła na urządzenie z przerażeniem. Czuliła znów ten sam potęgujący strach przed czymś, co akurat w tym momencie przybrało postać dzwoniącego komunikatora. Intuicja ostrzegła ją przed osobą po drugiej stronie. Albo raczej - przed samym komunikatorem. Max ruszył do komunikatora spokojnie.  
 - Nie odb... - wyrwało się Vixen, nim zdążyła ugryźć się w język. Max popatrzył na nią i spokojnie podniósł urządzenie, po czym przyłożył do ucha, jako że osoba po drugiej stronie wywołała tylko rozmowę bez przekazu wideo.  
 - Agencja Detektywistyczna Nico & Max, słucham - powiedział spokojnie siadając za biurkiem, a Vixen zakłęła gniewnie pod nosem, gdy cały paniczny lęk zniknął bez śladu. Spokojnie już teraz patrzyła na Maxa, który zapisał coś w niewielkim elektronicznym notatniku. Po chwili położył komunikator na biurku i popatrzył na Vixen - nowy klient. Ma dla ciebie zadanie - westchnął.  
 - Jak to dla mnie? - zapytała zaskoczona.  
 - Ma zlecenie, które wymaga dyskrecji. Dowiedział się od nas od rodziców chłopaka, którego uratowałaś. Do zadania potrzebuje tylko jednej osoby. My z Nicole pojedziemy spotkać się z rodzicami dziecka a ty załatwisz to. Zapisałem ci adres restauracji, w którym będzie ten mężczyzna. Ma mieć stolik na nazwisko Wilson, kelner ma cię zaprowadzić - powiedział i podał jej notatnik. Vixen zerknęła odręczne pismo, widoczne na niewielkim ekranie i westchnęła. Jedną z lepszych restauracji w mieście. Takich, gdzie nie wpuszczano nikogo bez wieczorowej sukienki albo dobrego garnituru. Wyobraziła sobie, jak wchodzi do środka w motocyklowej kurtce i spodniach, trzymając w dłoni kask.  
 - Jadę - powiedziała - dam znać o co chodzi jak sama będę wiedzieć - dodała, podniosła z niewielkiej półki obok drzwi kask i chwyciła niedbale kurtkę. Max patrzył, jak drzwi zamykają się za nią.  
 - Ciekawe o co chodziło - powiedziała Nicole.  
 - Pewnie się dowiemy, jak wróci - powiedział Max i patrzył, jak Vixen szybko odjeżdża na motocyklu - i my też powinniśmy się zbierać - dodał, odwrócił się od okna i ruszył ku drzwiom. Zatrzymał się nagle, gdy te otworzyły się niespodziewanie. Do komendy weszli dwaj policjanci oraz jeden jeszcze mężczyzna, w nienagannie skrojonym garniturze. Uśmiechnął się, widząc

zaskoczenie Maxa i Nicole.

- Witam państwa - powiedział ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy - nazywam się John Smith i chciałbym z państwem chwilę porozmawiać na temat Vixen Virth - dodał.  
- W tej chwili Vixen...  
- Nie ma jej - przerwał Maxowi John - pojechała na spotkanie z moim człowiekiem - dodał - proszę o filiżankę kawy.

Kawa wypełniła swoim aromatem całe pomieszczenie biura. John spokojnie uniósł filiżankę do ust i pociągnął niewielkiego łyka.

- Jak długo znają państwo Vixen Virth? - zapytał, gdy filiżanka spoczęła na spodku.

- Od niespełna dwóch lat - powiedział Max - wspólnie założyliśmy...

- Tak, tą agencję - przerwał mu mężczyzna - a jak dobrze znają państwo panią Vixen? - zapytał znów. Max westchnął cicho, a Nicole tylko wbiła wzrok w podłogę. Mężczyzna roześmiał się.

- Tak myślałem. Vixen Virth jest płatną morderczynią. Po wykonaniu kilkunastu zleceń jeszcze na Ziemi uciekła na tą planetę, do Nowego Yorku. Dwa lata temu właśnie po kolejnych zabójstwach uciekła do Los Angeles i założyła tą agencję, która jest przykrywką dla jej działalności. Podejrzewamy, że w tej chwili nie realizuje żadnych zleceń, ale ten stan może się zmienić. Chcemy ją zatrzymać, zanim kogoś zabije, więc skontaktowaliśmy się z państwem.

- Nie wierzę w to - powiedziała Nicole - kilka dni temu Vixen uratowała moje życie. Nie wierzę, by była morderczynią - John tylko prychnął.

- Nie zabiła pani, bo uznała, że nie ma takiej potrzeby. Poza tym chyba ratując pani życie bez wahania zastrzeliła dwie inne osoby. Mówiąc te informacje państwu zdajemy sobie sprawę, że narażamy państwa tym samym na niebezpieczeństwo z jej strony, ale gdy będą państwo współpracować z nami, zapewniam, że nic się nie stanie. Vixen, cóż, muszę przyznać, że na wszystkie osoby, które zabiła, miała zlecenie. Nie słyszałem, by zabiła kogoś niejako przy okazji. Nie zmniejsza to naturalnie w żadnym wypadku jej win, ale daje państwu możliwość wyjścia z życiem z tej sytuacji.

- Co mamy robić? - zapytał Max. Z kieszeni Johna Smitha rozległo się ciche, dwukrotne piknięcie.

- Spotkanie mojego człowieka z Vixen dobiegło końca. Proszę zatem po prostu słuchać nas i współpracować. Jeżeli nasz plan się powiedzie, w ciągu dwóch tygodni zostanie aresztowana i deportowana na Ziemię. To wszystko, co chciałem państwu powiedzieć. Gdy Vixen wróci, proszę udawać, że nic się nie stało - powiedział i wstał.

### Niespełna pół godziny wcześniej.

Vixen zatrzymała motocykl tuż przed wejściem do restauracji i popatrzyła niechętnie na drzwi. Zeskoczyła z motocykla, zdjęła kask, rozpięła kurtkę i ruszyła do drzwi. Zastanawiała się, jak będzie wyglądała rozmowa z kelnerem. Gdy weszła do holu, ten zmierzył ją wzrokiem i ruszył w jej stronę.

- Nie może pani wejść w tym stroju - powiedział. Vixen przełożyła kask do prawej dłoni, a lewą wsunęła do kieszeni spodni, niby przypadkiem odchylając kurtkę. Jej kabura z bronią stała się nader wyraźna. Nie spodziewała się jednak zrobić większego wrażenia na kelnerze i nie pomyliła się; ten niemal zupełnie zignorował jej broń.

- Zatrzymasz mnie? - zapytała - zostałam tutaj zaproszona do stolika pana Wilsona - dodała, zastanawiając się, jak ważny jest ów „pan Wilson”. Uśmiechnęła się, widząc zmianę na twarzy kelnera. Ten westchnął z rezygnacją, raz jeszcze zlustrował ją wzrokiem pełnym niesmaku i odezwał się z rezygnacją.

- Proszę za mną - Vixen ruszyła za nim, a jej motocyklowe, częściowo wzmocnione buty stuknęły głośno na ozdobnym parkiecie. Kelner wprowadził ją na środek sali. Szła za nim, czując pełne oburzenia spojrzenia pozostałych gości. Zdecydowanie tutaj nie pasowała, chociaż kompletnie jej to nie przeszkadzało. Kelner zatrzymał się przy stoliku, przy którym siedział starszy już mężczyzna, w nienagannie skrojonym garniturze, choć niezbyt gustownie ozdobionym licznymi kolorowymi wzorami. Jednak to Vixen w swoim czarnym ubraniu wyglądała tutaj jak wrona zamknięta w klatce razem z papugami. Kelner wysunął krzesło dla Vixen, a gdy usiadła, wysunął dłoń po

kask. Vixen jednak zbyła go jednym gestem i położyła kask na stoliku tuż obok talerza. Odsunęła się nieco od stolika, odchyliła krzesło nieznacznie do tyłu i oparła nogę na nogę, po czym zerknęła na mężczyznę. Jej pozycja na krześle nie była tylko czczym lekceważeniem zasad panujących w restauracji; kask znajdował się niemal dokładnie między Vixen a siedzącym na przeciwko mężczyzną, a odchylone krzesło mogło szybko się przewrócić wraz z nią na podłogę, gdyby zaszła potrzeba uniknięcia niebezpieczeństwa. Niedbale założona, skórzana kurtka, odsłaniająca koszulę ciasno opinającą jej klatkę piersiową gwarantowała szybki dostęp do broni gotowej do strzału. Ktoś mógłby uznać taką dbałość o bezpieczeństwo za mocną przesadę, ale Vixen miała świadomość, że dzięki takiej „przesadzie” wiele razy uszła z życiem.

- A więc to jednak pani - powiedział mężczyzna, spokojnym gestem sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął duże cygaro. Wsunął koniec do ust, a drugi przypalił srebrną zapalniczką - prawdę powiedziawszy, liczyłem na to.

- Czy my się znamy? - zapytała Vixen, lustrując dokładnie mężczyznę. Nie pamiętała jego twarzy, a wzmocniacz wzroku po radiowym połączeniu z komunikatorem nie uzyskał żadnych danych. Mężczyzna zaciągnął się cygarem a następnie spojrzął na sufit i wypuścił chmurę dymu; patrzył chwilę, jak dym rozchodzi się pod sufitem i jest natychmiast wciągany przez klimatyzator. To przypomniało Vixen o tym, że sama miała paczkę delikatnych papierosów w kieszeni kurtki. Ale teraz nie miała na nie ochoty, poza tym papieros tylko niepotrzebnie związałyby jej ręce.

- Nie znamy się - powiedział mężczyzna i popatrzył wprost w jej oczy - ale mamy wspólnych znajomych.

- Ciekawe - powiedziała i nieznacznie się poprawiła na krześle, by móc odepchnąć się od podłogi i przewrócić krzesło z większą siłą, po czym założyła ręce na klatce piersiowej. Palce prawej dłoni niemal musnęły rękojeść pistoletu, niewidoczne pod łokciem lewej ręki - nie przypominam sobie - westchnęła - kim pan jest?

- Moje nazwisko kompletnie nic pani nie powie a jak się pani zapewne domyśla, „Wilson” to tylko takie słówko, dzięki któremu kelner wiedział, żeby panią do mnie przyprowadzić - wyznał, odłożył cygaro na popielniczkę i pochylił się w jej stronę - osiem lat temu przyleciałem tutaj z Ziemi. Z Anglii, konkretnie, a jeszcze konkretniej - z Londynu. Od jakiegoś czasu szukam pomocy, a pamiętam, że kilku moich znajomych korzystało z usług niejakiej Vixen Virth i bardzo sobie cenili jej usługi - Vixen wzruszyła ramionami i nie dała po sobie poznać, że zaczęła czuć się dość niepewnie. Nagle poczuła, że ma ochotę jak najszybciej zakończyć tą rozmowę.

- Nawet jeżeli byłabym tą, za kogo mnie pan bierze, muszę wiedzieć, o co dokładnie chodzi - powiedziała. W Londynie miała jednego stałego zleceniodawcę; w dodatku jego zlecenia niemal zawsze były już nawet nie na pograniczu prawa, ale mocno na jego tyłach. I generalnie Vixen nie chciała ponownie do tego wracać. Od samego początku jej agencji nie można było kompletnie nic zarzucić i nie zamierzała zmieniać tego stanu.

- Mam tutaj, w Los Angeles małą firmę... - Vixen uśmiechnęła się pod nosem. Zdążyła już rozpoznać zarówno markę jego cygara, jak i garnituru, a jej uwadze nie uszedł nawet srebrny minikomunikator, który błysnął kilka razy nieśmiało wychylając się spod czarnego mankietu. Firma z całą pewnością nie była „małą”, przynajmniej jeśli chodzi o jej dochody - i moja firma stoi przed świetnymi perspektywami rozwoju...

- Ale...? - przerwała mu Vixen, a mężczyzna uśmiechnął się i nieco ściszył głos.

- Ale na drodze stoi mi pewna osoba. Dość wysoko postawiona, muszę przyznać - powiedział. Vixen uśmiechnęła się z ironią. Już wiedziała, że odrzuci zlecenie. To był zdecydowanie ciemny interes. Nie interesowało już ją, czy chodziło o znalezienie sposobu na skompromitowanie tej osoby, czy tylko śledzenie.

- Nie zajmuję się takimi sprawami. Nasza agencja...

- Owszem - przerwał jej mężczyzna - pani agencja jest agencją detektywistyczną. Nie chodzi o typowe dla detektywów usługi. Osobę, o której mówię, należałoby usunąć. Całkowicie - Vixen popatrzyła czujnie na mężczyznę. W jego wzroku dostrzegła pewność siebie i sugestię, że mężczyzna doskonale wie, co mówi - oczywiście, może pani liczyć na spore wynagrodzenie. Naprawdę spore. Myślę, że suma pięćdziesiąt tysięcy



kredytów mogłaby załatwić sprawę - Vixen zachowała kamienią twarz, chociaż pięćdziesiąt tysięcy kredytów było rocznym dochodem ich agencji. Spokojnie wstała i podniosła kask ze stolika.

- Myślę, że nasza rozmowa jest zakończona. Do widzenia - powiedziała i chciała się odwrócić, ale mężczyzna zatrzymał ją w pół kroku.

- Proszę się zastanowić. Suma, o jakiej mówiłem, to tylko połowa wypłacona przed zleceniem - Vixen nie odezwała się już ani słowem, tylko ruszyła do wyjścia. Kelner otworzył jej drewniane drzwi i Vixen zniknęła za nimi.

Drzwi agencji detektywistycznej otworzyły się gwałtownie.

Vixen weszła do środka i położyła, a w zasadzie rzuciła kask na półkę obok drzwi. Ściągnęła kurtkę i niedbale rzuciła ją na wieszak. Niemal nie zauważyła Maxa i Nicole, tylko ruszyła do kuchni. Dopiero chwilę później wyszła, już z kubkiem wypełnionym kawą. Usiadła na złotej sofie i westchnęła ciężko. Zerknęła na Maxa i Nicole, czujnie ją obserwujących.

- Ludzie mają tupet - westchnęła - nie sądziłam, że nasza agencja będzie celem takich propozycji - warknęła. Odpowiedziało jej milczenie. Max siedział przy komputerze a Nicole siedziała obok na fotelu wyjątkowo odsuniętym od sofę i bezmyślnie patrzyła się w ścianę przed sobą. Nie trzeba było mieć superwyostrzonej intuicji, by wyczuć, że coś jest nie tak. Vixen spokojnie pociągnęła łyk kawy, podeszła do kurtki i wyciągnęła paczkę papierosów. Usiadła z powrotem na sofie i przypaliła papierosa. Nim nanotechnologiczny filtr papierosa oraz klimatyzacja usunęły dym, częściowo zdążył rozejść się po biurze.

- Nigdy nie paliłaś w biurze - powiedział Max. Vixen popatrzyła na niego lekceważąco.

- Chcę rozwiązać atmosferę. Coś się stało, gdy mnie nie było? - zapytała Vix.

- Nic - burknęła Nicole - wszystko jest w porządku - Vixen roześmiała się sztucznie.

- Widzę właśnie - zaciągnęła się papierosem - powiecie mi, co się dzieje? Jakaś zmowa milczenia?

- Nie o to chodzi - powiedziała Nicole. Vixen wzruszyła ramionami. Wstała, zgasiła papierosa w popielniczce i ruszyła do drzwi.

- Wrócę wieczorem. Jak wam przejdzie, to jestem pod komunikatorem - warknęła nawet na nich nie patrząc, chwyciła kask, założyła kurtkę i wyszła z biura...

Południowe słońce przyjemnie grzało jej plecy, nieco niewygodnie wygięte w łuk, gdy sunęła powoli na motocyklu przez miasto. Mimo wczesnej pory, nie było zbyt wiele pojazdów i nie musiała jakoś specjalnie lawirować między samochodami. Zastanawiała się, co się działo. Jej intuicja milczała; po ostatnich atakach panicznego lęku tym razem nie czuła nic, ani cienia żadnych podejrzeń. Jediną rzeczą, jaką podpowiadała jej intuicja, był kierunek; jak niemal zawsze na każdym ze skrzyżowań jedna z ulic wydawała się jej bardziej odpowiednia od pozostałych. Zastanawiała się, dokąd tym razem zaprowadzi ją jej instynkt. Nagle coś kazało jej zatrzymać się przed niewielkim barem.

Mike zakrztusił się niemal, gdy przypadkiem zerknął na drzwi baru. Stała w nich dziewczyna, której szukał. A już miał zrezygnować. Okazało się, że znalezienie jednej motocyklistki w całym Los Angeles nie było tak łatwe, jak przypuszczał, nawet z jego szczątkowymi znajomościami w policji. A teraz ona sama weszła do baru, w którym siedział. Zerwał się z miejsca i ruszył do niej.

Vixen rozejrzała się po barze. Bar nie był zbyt duży i Vixen zastanawiała się, co było w nim na tyle niezwykłego, by powinna tutaj zajrzeć. Za ladą stała młoda dziewczyna, z krótko obciętymi włosami o bluzce tak wydekoltowanej, że niemal widać był jej pępek; przy barze było kilku mężczyzn, a w głębi było kilka stolików i... Vixen szybko rozpięła kurtkę i wsunęła prawą dłoń pod nią, zaciskając palce na rękojeści. W jej stronę przeciskał się między stolikami jakiś mężczyzna. Minęła chwilę, nim Vixen opuściła dłoń, rozpoznając go.

- Vixen! To naprawdę ty - powiedział z radością. Vixen patrzyła na niego jak na ducha.

- To ja - powiedziała i rozpoznała mężczyznę - ale co ty tu do cholery robisz? - roześmiał się.

- Chodźmy do stolika, wyjaśnimy sobie wszystko - powiedział.

- Jak mnie znalazłeś? - zapytała Vixen, gdy usiedli na krzesłach przy stoliku. Vixen położyła na stoliku swój komunikator.

- To tak naprawdę nie było specjalnie trudne - powiedział z uśmiechem - prześledziłem przepływ pieniędzy z konta Andreusa. Cała kasa przeszła na jakieś konto należące do kogoś tam na drugim końcu Ziemi 2. Co jakiś czas konto to było uszczuplane o jakieś drobne sumy, nie licząc sporej gotówki na motocykl w Nowym Yorku. Domyśliłem się, że to ty, przecież jak się poznaliśmy, też jeździłaś na motocyklu.

- A jak odkryłeś, że jestem w Los Angeles? - zapytała Vixen, karcąc się w myślach za miłość do motocykli. Ale czasem nie można było po prostu zrezygnować z pewnych rzeczy.

- Och, to było proste. W ogóle to mnie przekonałaś, że zginęłaś, ale gdy do mojego biura zapukali agenci ZAR-u...

- O kurwa! - niemal krzyknęła Vixen i zerwała się z krzesła tak gwałtownie, że to upadło na podłogę z hałasem. Jej serce zaczęło bić jak oszalałe a intuicja zaatakowała ją paniczną chęcią natychmiastowego znalezienia się w agencji.

- Co się stało? - zapytał Mike. Vix cofnęła się w stronę drzwi. Agenci ZAR-u. Nieważne, czy byli z Ziemi, czy z jakiejś komórki tutaj, na Ziemi Dwa. Nicole i Max byli w niebezpieczeństwie. Olbrzymim niebezpieczeństwem - Vixen, co się dzieje? - nie odpowiedziała, tylko wybiegła z baru. Wskoczyła na motocykl, szybko założyła kask i ruszyła. W niewielkim monitorze zastępującym lusterko wsteczne zobaczyła, że Mike biegł do swojego pojazdu. To nie było ważne. Teraz musiała dostać się jak najszybciej do agencji. I mieć nadzieję, że nie przyjedzie za późno.

Drzwi biura otworzyły się. Max i Nicole popatrzyli na Johna.

- Witam - powiedział z uśmiechem - myślę, że dzisiaj dojdzie do aresztowania panny Vixen - dodał - ale nastąpi to tutaj, w biurze. To miejsce jest najdogodniejsze.

- Rozumiem - powiedział Max i zerknął na siedzącą na sofie Nicole - pod jakimi zarzutami zostanie aresztowana, tak z ciekawości? - John uśmiechnął się. Spokojnie rozpiął marynarkę i popatrzył na nich.

- W zasadzie mogę wam powiedzieć - westchnął - aresztujemy ją za podwójne morderstwo, w dodatku dokonane tutaj, w Los Angeles - Nicole popatrzyła na niego z zaskoczeniem.

- Vixen kogoś zastrzeliła? - zapytała - tutaj, w Los Angeles? - John uśmiechnął się.

- Jeszcze nie - powiedział spokojnie - ale zaraz to zrobi - dodał, szybkim ruchem wyciągnął broń i wycelowwał w Maxa. Ten tylko zdążył zobaczyć jego gest. Pistolet stuknął cicho i kula trafiła Maxa prosto w czoło; pod wpływem uderzenia Max poleciał do tyłu, wpadł na biurko, stracił komputer i upadł na podłogę za biurkiem. Zanim Nicole zdążyła zareagować, przed oczami zobaczyła broń. Wąska strużka szarego dymu unosiła się spokojnie od lufy w stronę sufitu...

Vixen zatrzymała się gwałtownie przy budynku, w którym mieściło się biuro jej agencji. Motocykl zahaczył tylnym kołem o krawężnik i zachwiał się, ale ona nie miała w tej chwili najmniejszej ochoty powstrzymać go przed upadkiem; zeskoczyła z kanapy, szybko ściągnęła kask, który potoczył się gdzieś w stronę maszyny i biegiem ruszyła do wejścia. Jeszcze na schodach rozpięła kurtkę i sięgnęła po broń. Gdy jej ręka ruszyła do srebrnej gałki drzwi, zawahała się. Tym razem jej intuicja nie dała jej cienia nadziei. Nagle Vixen dokładnie zobaczyła wnętrze biura, z najdrobniejszymi szczegółami. Załkała głośno na korytarzu i niemal na siłę dotknęła gałki. Zamek błyskawicznie odczytał jej DNA i otworzył się z metalicznym szczęknięciem. Vixen ze łzami w oczach weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie. Popatrzyła przez lży na wnętrze pomieszczenia. Komputer leżał za biurkiem, na podłodze, tuż obok niego leżał Max, z przestrzeloną głową. Ich niewielki robot, mający za zadanie na bieżąco sprzątać podłogę, stał w miejscu, również przestrzelony, obok największej plamy krwi, którą najwyraźniej usiłował posprzątać. Nicole była na kanapie. Po latach zawodu detektywa Vixen potrafiła niemal ze stu procentową pewnością odgadnąć, jak zginęła osoba, której ciało oglądała. Teraz było podobnie. Zresztą, w tym pomogła intuicja. Patrząc na Nicole, Vixen odgadła, jak zginęła. Kula trafiła ją w pierś, gdy siedziała na kanapie. Chwilę jeszcze żyła; na tyle długą, by zacisnąć obie

dłonie na miejscu potwornego bólu i pokryć je własną krwią. Gdy jej serce przestało bić, osunęła się na lewą stronę na plecy. Świadczył o tym szeroki, krwawy ślad na kanapie. Teraz Nicole leżała twarzą skierowaną w stronę sufitu, w ramieniu wystającym poza siedzisko, podpartym zakrwawioną dłonią spoczywającą na dywanie. Nicole była mocno wygięta w pasie, przez to jej dzinsy - biodrówki odstąpiły wąski pasek skóry, gdy zielony t-shirt nieco się uniośł. Jej skóra wydawała się być czystobiałą w kontraście ze śladami krwi, jakie Nicole zostawiła pod palcami opartymi na swoim brzuchu. Nadal płacząc, Vixen wsunęła broń do kabury i odsunęła stolik. Kucnęła obok Nicole i delikatnie pogładziła jej policzek. Jej skóra była jeszcze letnia. Vixen spóźniła się ledwie kilka minut... Uniosła jej dłoń z podłogi i położyła na brzuchu. Wstała wreszcie z podłogi i popatrzyła na leżącego za biurkiem Maxa. W tym momencie straciła już siłę na cokolwiek, przysiadła na podłodze pod biurkiem i ukryła twarz w dłoniach, tłumiąc płacz.

Nie pamiętała nawet, jak długo tak siedziała na podłodze i po prostu ryczała. Kilka, może kilkanaście minut. Chyba po prostu musiała. Była przekonana, że udało się jej uciec od tego wszystkiego, tam, na Ziemi. Ale nawet zmiana planety nie pomogła. Pozostało jej tylko jedno... Spokojnie wyciągnęła broń i chwyciła ją oburącz. Oparła dłoń na kolanach, kierując lufę w sufit. Zimny dotyk zamka pistoletu na czole zaczął działać kojąco. Nie miała już innego wyjścia, jak tylko zrobić tą jedną rzecz.

Niemal nie zwróciła uwagi na to, że drzwi do agencji się otworzyły. Ledwie tylko uniosła wzrok znad broni, która, pozbawiona oparcia o jej czoło, osunęła się niżej. Lufa oparła się na jej szyi. W drzwiach stał Mike. Vixen zmrużyła oczy. Niemal natychmiast jej oczy wyschły. Vixen nie płacze.

- Vix, nie rób tego! - niemal krzyknął Mike, szybko ruszając w jej stronę. Nim jednak zdołał do niej podejść, Vix wstała i gładkim, nieco teatralnym gestem obróciła broń wokół palca, po czym wsunęła do kabury.

- Czego niby? - zapytała i popatrzyła mu w oczy. Niemal za drżał pod jej spojrzeniem, zimnym jak lód.

- Myślałem, że chcesz się... - urwał, a Vixen roześmiała się głośno.

- Zastrzelić się? Nie bądź śmieszny - powiedziała - zamierzam zastrzelić, ale bynajmniej nie „się” - dodała. Mike skinął głową i dopiero teraz przyjrzał się Nicole i Maxowi.

- Kim oni są? - zapytał i popatrzył na Vixen.

- Przyjaciółmi - westchnęła, a Mike mógłby przysiąc, że w jej oczach na krótką chwilę dojrzał coś cieplejszego, niż widoczny chwilę temu lód. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale za oknem rozległy się gwałtowne piski opon i dźwięk policyjnych syren. Vix szybko podeszła do okna i wyjrzała skrycie. Przed budynkiem zatrzymały się trzy policyjne pojazdy, a nad ulicą unosił się policyjny ścigacz. Vixen zaklęła i popatrzyła gniewnie na Mike'a.

- Jeśli sądzisz, że to ja mam coś wspólnego z... - urwał, gdy Vixen wymierzyła w niego z broni. Doskonale wiedziała, że to nie mógł być Mike. Jej intuicja jej mówiła to nader wyraźnie. Ale musiała wiedzieć jedną rzecz.

- Wiem, że nie - powiedziała - ale jak znalazłeś to miejsce? - Mike uśmiechnął się i podał jej komunikator.

- Zostawiłaś w barze. Pozwoliłem sobie...

- Daruj sobie wyjaśnienia - przerwała mu i wsunęła komunikator do wewnętrznej kieszeni kurtki. Jej ponadnaturalny słuch wylapywał już kroki policjantów na schodach. Mieli do przejścia tylko jedno piętro. Musiała uciekać.

- Twój motocykl stoi, postawiłem. Kask wisi na kierownicy - powiedział Mike - uciekaj.

- Przyjechałeś do Los Angeles za agentami ZAR-u. Chciałeś mnie zatrzymać sam. Gdy tu przyjechałeś, oni nie żyli, ja cię postrzeliłam w nogę i uciekłam.

- Co? - zapytał Mike zaskoczony zupełnie słowami Vixen.

- To, co słyszałeś. To ZAR ich zabił, ale ty o tym nie wiesz, dla własnego bezpieczeństwa, zapamiętaj - powiedziała i opuściła broń, celując w jego łydkę. Oparła palec na spuście i popatrzyła mu w oczy. Czekał niemal bez obawy. Zawahała się. Zaklęła głośno i uderzyła go pistoletem w skroń, na tyle delikatnie, by po odzyskaniu przytomności nic mu nie było. Odwróciła się w stronę okna i ruszyła. W biegu wsunęła broń do kabury i zapięła kurtkę.

Dwaj policjanci stali spokojnie obok jednego z policyjnych pojazdów. Do agencji detektywistycznej ruszyło na tyle dużo ludzi, że oni mogli zostać przy pojazdach. Zresztą, przed budynkiem stał czarny motocykl, który należał do podejrzanego. Woleli mieć na niego oko, gdyby miało dojść do jakiegokolwiek ucieczki.

Obaj odruchowo skulili głowy, gdy tuż nad nimi na wysokości pierwszego piętra duże okno wprost eksplodowało. Wielka szyba zmieniła się w setki małych, ostrych odłamków. Dopiero po chwili dostrzegli, że w chmurze szkła ktoś spadał. Na chodniku, w głębokim przysiadzie, wylądowała młoda, czarnowłosa kobieta. Kobieta, której poszukiwali. Potrząsała chwilę głową na obie strony, by pozbyć się kawałków szkła z włosów, a potem popatrzyła na nich gniewnie i ruszyła w stronę motocykla. Obaj sięgnęli po broń.

- Stój! Policja! - krzyknęli głośno niemal jednocześnie. Vixen siedziała już jednak na motocyklu. Chwyciła kask i obejrzała się do tyłu. Jeden z policjantów był wyraźnie szybszy, trzymał już w dłoni odbezpieczony pistolet, a tym samym wskazał na siebie. W jego stronę błyskawicznie poleciał motocyklowy kask. Potężne uderzenie rzuciło nim o asfalt, wybijając jego broń z ręki. Motocykl Vixen ruszył z piskiem opony, błyskawicznie wbijając się między inne pojazdy. Usłyszała za sobą strzały drugiego policjanta, ale wiedziała, że żadna z kul jej nie sięgnie. Słyszała za to, że leciał za nią policyjny ścigacz. Wiedziała, że miała tylko jedną szansę. Mogła się schować tylko w najbardziej niebezpiecznych dzielnicach, gdzie nie było ani monitoringu, ani policji. Teraz mknęła główną arterią miasta, która biegła wokół całego centrum, mając po drodze liczne zjazdy. Ścigacz był niemal tuż za nią, leciał ledwie kilka metrów nad powierzchnią jezdni, a przez jego donośne syreny, pozostałe pojazdy zjeżdżały na bok, robiąc przejazd. Vixen była pewna, że za chwilę ścigacz otworzy ogień i po prostu ją rozstrzela. Nagle dostrzegła zjazd. Mocno zacisnęła ręczki obu hamulców i motocykl zaczął gwałtownie zwalniać. Ścigacz przeleciał nad nią i pilot zaczął go dopiero obracać, gdy Vixen ruszyła szybko. Cudem uniknęła wpakowanie się tuż pod dużą ciężarówkę i dostała się na zjazd z głównej arterii. Nim ścigacz ponownie ruszył za nią, zjechała w wąską uliczkę między wysokimi, starymi kamienicami. Tutaj czuła się w miarę bezpieczna. Po kilkunastu metrach zatrzymała się i ostrożnie zdjęła kurtkę. Gdzieś w lewym ramieniu pulsował delikatny ból. Sięgnęła do tyłu i wyrwała z ramienia niewielki kawałek szkła. Odrzuciła go ze złością i z powrotem założyła kurtkę. Usiadła wygodnie na motocyklu i przetarła twarz. Jasne było, że nie mogła zostać ot tak na ulicy, tylko potrzebowała jakiejś kryjówki. I oczywiście to, co powiedziała Mike'owi, było kłamstwem, nie miała zamiaru dokonywać brutalnej krwawej zemsty. Gdyby był to ktokolwiek, z całą pewnością już rozpoczęłaby polowanie. Ale agenci ZAR-u byli jednak zbyt mocni. To była cała ogromna organizacja, w której nie brak było również i „czarnych owiec”. Poza tym agenci ZAR-u z całą pewnością nie chcieli jej zabić. A przynajmniej na razie nie. Bo gdyby chcieli, albo by nie żyła, albo po prostu by uciekała. I nie chodziło bynajmniej o to, że byli od niej lepsi albo silniejsi. Vixen nie bała się tego, ale metod ich działania. Po prostu, gdyby miała zginąć, agent ZAR-u wszedłby do ich agencji jako zwykły klient, po czym strzelił jej w głowę, tak przy wszystkich. Do okna agencji wpadłby rakiety pocisk kierowany. Wielka ciężarówka po prostu by ją staranowała. Gdy ktoś miał zginąć, agenci ZAR-u nigdy nie dbali o jakiegokolwiek okoliczności. Ta osoba po prostu ginęła i tyle. To przed nimi ostrzegała ją intuicja. Vixen niechętnie sięgnęła po swój komunikator. Był wyłączony; to jednoznacznie świadczyło o tym, że ktoś usiłował go zlokalizować - zmiana oprogramowania jej komunikatora kosztowała ją dużo, ale było warto; dzięki temu praktycznie niemożliwe było jego namierzenie, dopóki Vixen trzymała go wyłączonym. Ale tym samym nie miała dostępu do pieniędzy, komunikacji ani wiadomości. Westchnęła cicho i wsunęła komunikator do wewnętrznej kieszeni kurtki. Zastanawiała się, kto mógłby jej pomóc i do głowy przyszło jej jedno nazwisko - Jefferson. Przekreśliła zdecydowanie manetką i maszyna ruszyła szybko.

Pub „Pod Gorącą Spluwą” był całkiem sympatycznym lokalem, umieszczonym poza centrum, ale nie w dzielnicach, gdzie panowała największa bieda; raczej był w spokojnych dzielnicach

graniczających z centrum. Dzięki temu jednak jego obszar był poza szczegółowym monitoringiem i Vixen bez większych obaw postawiła motocykl przed wejściem, nie bojąc się namierzenia. Kask zapięła na niewielki uchwyt pod kanapą. Spokojnie rozejrzała się, po czym popatrzyła na ramię. Wyraźnie widziała różowy pasek skóry w miejscu, gdzie wbiło się jej szkło. Popatrzyła z żalem na rozciętą kurtkę i rozejrzała się po okolicy. Ulica była pusta, zdecydowanie niedoświetlona, a mrugający wesoło neon w kształcie rewolweru jedynie w połowie rozwiązywał sprawę mroku. Pub należał kiedyś do jednego gościa, jaki półtora roku temu przyszedł do jej agencji, szukając pomocy w pewnej już teraz nieistotnej sprawie. W każdym razie od czasu, jak Vixen mu pomogła, byli dobrymi znajomymi. Ponadto brunetka przypuszczała że Peter Jefferson - bo tak nazywał się właściciel - darzył ją uczuciem daleko większym, niż przyjaźń. Ale Vixen raz tylko pograżyła się w obłęd zwany przez niektórych miłością; od tamtego czasu obiecała sobie, że nie dopuści do siebie więcej tego destruktywnego uczucia. W każdym razie tylko Peter mógł jej teraz pomóc.

Drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem. Gorące, duszne powietrze na chwilę otuliło ją czule wraz z głośną elektroniczną muzyką. Westchnęła cicho i raz jeszcze zerknęła na pozostawiony na ulicy motocykl. Spokojnie weszła do środka pubu. Centralną jego część zajmował sporej wielkości sztuczny parkiet, podświetlony od dołu licznymi diodowymi reflektorami, wokół niego były ustawione stoliki oraz sofy. Dodać trzeba, że znaczną większość gości była na parkiecie, tańcząc do rytmu pulsującej muzyki. Zawieszzone pod sufitem mocne iluminatory i stroboskopy co ułamki chwil zmieniały oświetlenie, pomagając młodym tańczącym ludziom zapadać w trans. Gdzieś za tańczącym tłumem była lada i Vixen niechętnie ruszyła, usiłując przepchać się między tańczącymi, co udało się jej po kilku chwilach. Pub nie był zbyt duży, ale zgromadził około pięćdziesięciu gości. Za barem stała młoda barmanka i spokojnie wycierała wysoką szklankę. Vixen podeszła do lady i usiadła na wysokim krześle. Zmierzyła wzrokiem dziewczynę. Blondynka, średniego wzrostu, z krótko obciętymi, prostymi włosami popatrzyła na nią z ukosa. Miała na sobie ubraną czarną minispódniczkę i krótki top, odsłaniający cały brzuch i dekolt. Na obu ramionach dziewczyny w podwójnym tatuażu wiły się splecione razem węże. Przy czym wiły się rzeczywiście - „tatuaż” był biowszczepem, wyświetlającym animowany obraz. Vixen popatrzyła w oczy dziewczyny mieniające się różnymi kolorami i uśmiechnęła się ironicznie.

- Czego się napijesz? - zapytała dziewczyna usiłując przekrzyczeć głośną muzykę, po czym odłożyła szklankę na półkę nad ladą i znów popatrzyła na Vixen pytająco. Ta tylko się uśmiechnęła. Barmanka nie mogła mieć więcej, jak dwadzieścia dwa, może dwadzieścia trzy lata.

- Czegoś mocniejszego z Peterem - powiedziała głośno Vixen i rozpięła nieco kurtkę, odsłaniając dekolt. Powietrze było nieznośnie gęste i ciepłe. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Chwileczkę - powiedziała i odwróciła się w stronę niewielkiego ekranu umieszczonego na ścianie. Nie minęło pięć minut, jak obok Vixen stanął wysoki brunet. Vixen z uśmiechem popatrzyła w jego oczy.

- Cześć! - Vixen podnosząc głos usiłowała pokonać muzykę - musimy porozmawiać, ale nie tutaj! - Peter nawet nie usiłował jej odpowiedzieć, tylko skinął głową i ruszył w stronę prywatnych drzwi obok ekranu. Vixen ruszyła za nim, raz jeszcze mierząc go od stóp do głów. Miał na sobie niebieskie, wytarte džinsy i modną koszulę; w świetle reflektorów jego pokryte żelam włosy błyszczały. Peter otworzył drzwi, gdy czujnik przepczytał odcisk jego palca i wszedł do środka, uprzednio przepuszczając Vixen. Pomieszczenie nie było duże; miało wymiary pięć na cztery i pół metra. Była w nim sporej wielkości czerwona sofa oraz fotel, a także niewysoki stolik. Na ścianie wisiał sporej wielkości ekran, na którym w czterech częściach wyświetlany był ekran z czterech kamer zamontowanych w pomieszczeniu z pubem. Peter rozsiadł się na sofie, a Vixen zdjęła kurtkę i niedbale położyła ją na dużym oparciu fotela, po czym sama usiadła na przeciwko Petera. Dwoje drzwi, zapewne prowadzących do niewielkiej kuchni i łazienki były zamknięte. Zauważyła, że w pomieszczeniu było niesamowicie wręcz cicho, w porównaniu z salą pubu, gdzie od głośnej muzyki aż wibrowało powietrze.

- Liczyłem, że siądziesz obok mnie, Vixen - powiedział rozbra-

jająco. Odpowiedziała mu tylko uśmiechem.

- Nie wątpię - powiedziała - Peter, mam kłopoty. Max i Nicole nie żyją.

- Wiem - powiedział - widziałem dzisiaj w wiadomości w TeleNecie. Ale pokazali cię tylko raz, wątpię, czy ktokolwiek zdążył nagrać albo zapamiętać. Policja cię poszukuje, ale prawdę powiedziawszy za podejrzanych o jedno morderstwo proponują większą nagrodę niż za kogoś, kto zastrzelił dwie osoby z premedytacją - Vixen uśmiechnęła się z ironią. To tylko świadczyło o tym, że potrzebna była agentom ZAR-u żywa. Vixen skinęła głową.

- Ktoś chce mnie zrobić - powiedziała z namysłem - potrzebuję kilka dni na załatwienie sprawy, a na ten czas przyda mi się jakieś bezpieczne miejsce.

- I przyjechałaś z tym do mnie - westchnął Peter - torturujesz mnie, Vixen.

- Wiem, Peter - powiedziała i popatrzyła w jego oczy. Co było w niej takiego, że większość facetów, którzy mieli z nią styczność, prędzej czy później ulegali jej urokowi?

- Potrzebuję tylko kilka nocy. Agencji pewnie już nie odbuduję, ale nim wyjadę z Los Angeles... - nie skończyła.

- Chcesz wyjechać? - przerwał jej.

- Owszem - przyznała - muszę. Nie zakończyłam jednej bardzo dawnej sprawy i... - westchnęła - po prostu potrzebuję schować gdzieś motocykl i siebie na kilka dni. Mogę u ciebie? - zapytała, wyraźnie urywając temat „dawnych spraw”.

- Jasne. Wiesz, że mam mieszkanie nad pubem. Domyślam się, że chciałabyś jeden pokój osobny, co? - zapytał. Vixen uśmiechnęła się nieznacznie i zmrużyła oczy. Jej wzmacniacz wzroku wyświetlił godzinę.

- Tak - powiedziała i wstała - ja muszę teraz coś załatwić. Wrócę późno - dodała.

- Mogę wiedzieć, co? - zapytał się Peter.

- Nie mam na razie dostępu do pieniędzy na koncie agencji. Muszę zdobyć trochę gotówki i wiem, że w budynku agencji jest...

- Ktoś zastrzelił Maxa i Nicole a ty chcesz tam wrócić? - Vixen jakby od niechcenia popatrzyła na swoje paznokcie.

- Owszem - powiedziała lekceważąco. Wrócę po północy. Nie martw się o mnie - dodała, chwyciła pewnie kurtkę i ruszyła do drzwi.

Noc przywitała ją przyjemnym chłodem i mgłą. To tylko ułatwiło jej zadanie; musiała przecież być niedostrzegalna. Popatrzyła w niebo, by zlokalizować księżyc. Cóż za ciężki do zapamiętania odruch. A może po prostu na Ziemi zbyt dużo razy działała w nocy; w każdym razie planeta Ziemia 2 nie miała księżycy i na nocnym niebie zwykle widać było tylko liczne gwiazdy, znacznie jednak większe niż te widziane z Ziemi. Ale i one dzisiaj przegrywały z ciemnymi, gęstymi chmurami. I dobrze. Dla niej to oznaczało tylko lepiej. Motocykl zostawiła dwa budynki dalej, nie chciała ryzykować podjechania pod sam budynek agencji. Teraz już spokojnie kuciała na dachu biurowca, w którym mieściła się ich agencja. Zresztą, słowo „biurowiec” był spórą przesadą; była to po prostu nowoczesna czteropiętrowa kamienica, której nie sposób było zresztą odmówić piękna. Po chwili odpoczynku, albo raczej wyciszenia się, Vixen spokojnie ruszyła do niewielkich drzwi, jakie prowadziły na klatkę schodową. Zdecydowała się właśnie wejść właśnie od tej strony; to była sugestia jej intuicji. Cały budynek zresztą знаła jak własną kieszeń. Wiedziała, że na czwartym, trzecim i drugim piętrze znajdowała się redakcja lokalnego dziennika nadającego na falach TeleNetu - ogólnokrajowej telewizji informacyjnej. Na parterze natomiast był spory magazyn jednego ze sklepów w centrum, zresztą położony sąsiadujący z kamienicą. Brunetka popatrzyła na niewielki zamek. Pamiętała, że tutaj nie było założonego żadnego alarmu. Zresztą, nawet jeżeli, mogłaby natychmiast go wyłączyć, jako właścicielka lokalu w kamienicy; nie sądziła, by agenci ZAR-u doprowadzili do usunięcia jej z listy upoważnionych. Zresztą, tak naprawdę nie musi nawet otwierać zamka. Spokojnie przyłożyła palec do zamka i wysunęła paznokcie, które z łatwością przebiły się przez syntetyczną skórę motocyklowych rękawiczek. Nacisnęła mocno, by paznokcie przebiły się przez cienkie drzwi i po chwili otworzyła je, zostawiając zamek w futrynie. Tym razem szelki z bronią założyła na kurtkę, by móc zostać w kurtce. Spokojnie wyciągnęła broń i ruszyła na schody.



Mimo maksymalnej czułości jej wzmacniaczy wzorku i słuchu prawie piętnaście minut zajęło jej zejście na pierwsze piętro. Była niemal pewna, że cały budynek jest pusty, ale oczywiście mogła się mylić. Spokojnie wyszła z klatki schodowej do dużego korytarza. Był całkowicie ciemny, ale jej kompletnie to nie przeszkadzało. Szeroki, czerwony dywan tłumił jej kroki, więc mogła iść minimalnie szybciej. Stała wreszcie przed zabezpieczonymi przez policję drzwiami. O tym nie pomyślała. Policja. Musiała znać jakikolwiek policyjny kod, by wejść do pomieszczenia bez wywoływania alarmu. Musiała by podać swój osobisty kod łącząc swój PDA z blokadą, lub wstukać cyfry ręcznie. Przymknęła oczy i przełożyła broń do lewej dłoni, prawą zaś przysunęła do klawiaturki. Nagle, pod wpływem impulsu zaczęła szybko naciskać przyciski. Po wstukaniu piętnastej cyfry cofnęła prawą dłoń i ponownie zacisnęła na broni. Nie, żeby nie strzeliła celnie z lewej dłoni, ale tak czuła się pewniej. Czerwona dioda na zamku na chwilę zgasiła, by ustąpić miejsca zielonej. Zamek otworzył się i Vixen szybko weszła do środka. Nie miała pojęcia, czyjego kodu użyła, by wejść do środka, nie miała pojęcia, ile miała czasu. Nie miała więc ani chwili na zastanawianie się. Weszła od razu do swojego mieszkania. Miała nadzieję, że sejf był nieruszony. Ale zwykle agenci ZAR-u nie interesowali się dodatkową forszą. Jej sejf był ukryty w banalnym wręcz miejscu i w zasadzie nie było w nim nic bardzo cennego - ot, trochę gotówki, która leżała, bo Vixen zapomniała kiedyś wrzucić ją na konto. Szybko podeszła do niewielkiego obrazu wiszącego na ścianie. Zdjęła go i popatrzyła na ścianę. Nie widziała nic, ale gdy tylko wzmacniacz jej wzroku znacznie powiększył obraz ściany, dostrzegła niewielki punkt. Dotknęła go delikatnie palcem i część ściany osunęła się, pokazując klawiaturę. Tym razem nie potrzebowała intuicji; wstukała błyskawicznie kod. Minęła chwila, po czym drzwi sejfów otworzyły się cicho. Wewnątrz leżał niewielki, skórzany plecak, otwarty. Vixen popatrzyła do jego wnętrza. Było w nim kilkanaście małych, niewiele większych od dłoni kraczków, podobnych do archaicznych płyt kompaktowych, oraz zabezpieczony pistolet, identyczny, jaki Vixen miała teraz w kaburze pod ramieniem. Kraczki zastępowały pieniądze i ta ilość wystarczyłaby jej na dwa, może trzy miesiące całkiem niezłego życia. Szybko zamknęła zamek, nałożyła plecak na plecy i ruszyła do wyjścia. Gdy wyszła ze swojego mieszkania i stanęła biurze, stanęła jak wryta.

- Witaj, Vixen - powiedział mężczyzna stojący w drzwiach wejściowych. Był wysokim mężczyzną, ubranym w nienagannie skrojony garnitur. Marynarka była rozpięta i chociaż nie było tego widać, Vixen była przekonana, że pod jego ramieniem kryła się broń. Jej ręka drgnęła, ale wstrzymała się w połowie ruchu.

- Nie warto, Vixen - powiedział mężczyzna.

- Agent John Smith - w głosie Vixen słychać było pogardę - czy też może zmieniłeś wreszcie pseudonim? - mężczyzna tylko się uśmiechnął.

- Nadal jestem Johnem Smithem - Vixen uśmiechnęła się.

- A jak to się stało, że nagle sobie o mnie przypomniałeś? - zapytała.

- Ktoś w naszej bazie wpisał w wyszukiwarce dla żartu „cholerna suka która wisi nam kupę pieniędzy” i jakoś tak wyskoczyło twoje zdjęcie - powiedział z uśmiechem John. Vixen pokazała na niego palcem.

- Dobre - powiedziała i dodała - więc mnie znalazłeś. Co ode mnie chcesz?

- Wielu rzeczy. Musisz wrócić ze mną do Waszyngtonu i potem polecisz na Ziemię - powiedział spokojnie.

- A dlaczego zabiłeś Maxa i Nicole? - zapytała z gniewem.

- Kogo?

- Proszę cię, nie udawaj - westchnęła - doskonale wiesz, o kim mówię.

- W zasadzie nie było konkretnego powodu. Zнали cię, a to był już wystarczający argument. Poza tym, jak będziesz się stawiać, zostaniesz osadzona w więzieniu za podwójne morderstwo. A robot więzienny zawsze może pomylić twoją pleć. Pomyśl, co by było, gdyby taka młoda suczka jak ty wylądowała w celi pełnej bezwzględnych facetów. Poza tym wiesz, wszyscy, którzy cię znali, nie żyją. To takie fatum - powiedział. Vixen nagle pomyślała o Peterze i Mike'u.

- John, myślę że mnie nie powinieneś straszyć już takimi scenariuszami - powiedziała spokojnie Vixen, choć musiała przyznać, że taki koniec na pewno byłby jednym z tych, które

zapisala by pod słówkiem „koszmar”. Zmrużyła oczy gdy przed nimi pojawił się czas. Minęła pierwsza w nocy. Robiło się późno.

- Myślę, że musimy już zakończyć to spotkanie - powiedziała.

- Też tak sądzę. Oddaj broń - Vixen uśmiechnęła się.

- Sądzisz że ty sam mnie zatrzymasz? - zapytała - bo policja nie jest... - nagle urwała w pół zdania - moment, ty... ty tutaj nie jesteś sam - to zdecydowanie nie było pytanie, ale stwierdzenie - przyleciałeś z dwoma innymi agentami - dodała, gdy intuicja podpowiedziała jej to - John popatrzył na nią nieco zaskoczony - John - zadrwiła - dlaczego po mnie przyleciałeś w towarzystwie dwóch agentów? - zapytała. Nie odpowiedział. Dostrzegła, że nieco zmienił postawę, nie stał już w progu drzwi wyluzowany. Vixen popatrzyła na niego. Była zaskoczona chyba nie mniej, niż on, ale w przeciwieństwie do Johna kompletnie nie dała tego po sobie poznać.

- Myślę, że czas już skończyć tą rozmowę - powiedział. Vixen popatrzyła na niego gniewnie.

- Dlaczego boisz się mnie tak, że przylatujesz po mnie w towarzystwie agentów? - zapytała, uparcie patrząc w jego oczy. Uciekł ze wzrokiem. Vixen roześmiała się głośno - boisz się mnie. Boisz się, bo wiesz, że mam coś tutaj - wskazała palcem na swoją głowę - coś, co pozwoliło mi wejść do biura, otwierając sobie zamek, nawet nie wiem, czym kodem. Czym innym jest pogoń za jakimś technozabójcą, który ma całą masę biowszczepów, które stosunkowo łatwo ogłupić, co innego pogoń za kimś takim, jak ja - powiedziała. John tylko popatrzył na nią wściekłym wzrokiem - chcesz mnie zabić, ale wiesz, że musisz zrobić to w cholernie zaskakujący sposób. I boisz się, że ci się nie uda.

- Zamknij się, dziwko - warknął. Vixen znów tylko się uśmiechnęła.

- Boisz się mnie - westchnęła - jakież to budujące. Wiesz, że gdybym chciała, mogłabym cię teraz zastrzelić a ty nie byłbyś w stanie nic zrobić. Dlatego wolałeś mieć tutaj na miejscu dwóch agentów.

- Zamknij się, powiedziałem! - warknął. Vixen tylko się uśmiechnęła i cofnęła o krok, w stronę drzwi do swojego mieszkania. Pokręciła tylko głową.

- Nie dopadniesz mnie - powiedziała spokojnie - i co gorsza, wiesz o tym a to cię jeszcze bardziej wkurza - John szybkim ruchem wyciągnął pistolet i wycelował w nią. Pokręciła tylko głową. Od dobrych kilku minut Vixen czuła we krwi potężny ładunek adrenaliny. Jej intuicja tym razem pomagała i Vixen wyraźnie widziała cały czas, jak wybiega do swojego mieszkania unikając po kolei wszystkich pocisków, jakie wystrzelił John, wyskakując przez okno w sypialni i wykorzystując niespełna dwa metry odległości między dwoma kamienicami mocno zapiera się o ściany i zjeżdża w dół. Uśmiechnęła się - zobaczmy się jeszcze, John - dodała i skoczyła w stronę drzwi. Usłyszała ciche puknięcia broni, usłyszała trzask, gdy kula trafiła gdzieś w obok i brzdęk szkła. Słyszała, jak kolejne pociski grzechoczą o ścianę i podłogę jej mieszkania. Dobięła do okna i skoczyła wprost w nie. Małe deja vu. Znów wypadła na zewnątrz w chmurze szkła z rozbitego okna. Tym razem jednak rozłożyła ręce i wczepiła się palcami w ściany dwóch kamienic. Szybko zaczęła zjeżdżać w dół, zdrapując wierzchnią warstwę betonu i zostawiając po sobie długie krwawe ślady. Tego nie przewidziała. Zacisnęła zęby nim system obronny odciął ją od impulsów bólu. Gdy wylądowała na wąskiej drodze między kamienicami, skóra na jej palcach była całkowicie zdarta, wyraźnie widziała stalowy szkielet palców wciąż połączony z paznokciami. Zakłęła i popatrzyła w górę. W oknie zobaczyła już Johna. Wysunął w jej stronę dłoń z pistoletem. Rzuciła się do ucieczki. Usłyszała dwa brzdęknięcia kul, które odbiły się tuż za nią o drogę. Już miała schować się za rogiem kamienicy, gdy na jej drodze stanęła jakaś postać. Vixen uderzyła w kogoś z całym rozpędem, ale nie wywróciła się, za to poczuła natychmiast mocny uścisk na nadgarstku, a potem w pasie. Ktoś objął ją mocno, przytrzymując.

- Mam cię, ptaszku - ktoś warknął i Vixen poczuła lekkie uderzenie w twarz, a zaraz po tym poczuła mocny nacisk pod ostatnim lewym żebrem. Luła pistoletu. Popatrzyła w twarz agenta. Zamiast oczu miał wszczepiony duży podwójny wzmacniacz wzroku - i najlepsze, że już mi nie odlecisz - dodał z ponurym uśmiechem na twarzy. Vixen trzymała już swoją broń w dłoni, unosiła ją do góry. Agent był szybszy. Vixen najpierw usłyszała ciche stuknięcie, a dopiero potem poczuła ból

pod żebrem. Pocisk przeszedł przez kurtkę, bez trudu pokonał jej ciało i utkwiał we wzmocnieniu kurtki na plecach. Pociemniało jej w oczach i upadłaby z całą pewnością, gdyby nie agent, który nadal przytrzymał ją przy sobie; z daleka wyglądali na parę kochanków, tulących się na pożegnanie. Vixen jęknęła przeciągle, ale ból już zniknął; została od niego sztucznie odcięta. Agent popatrzył w dół, wprost na jej twarz, zaskoczony, gdy poczuł nacisk jej broni na brzuch. Tym razem nie zdążył. Vixen strzeliła kilka razy a pociski przebiły go na wylot. Gdy osunął się na drogę, poprawiła dla pewności strzałem w serce. Oparła się o ścianę na chwilę, głęboko oddychając. Jej motocykl stał ledwie kilkanaście metrów od niej. Wystarczyło do niego dojść. Wsunęła broń do kabury i krok po kroku ruszyła w jego stronę.

Alarm dzwonił. Wył jak oszalały, zupełnie jakby ktoś cały czas naciskał przycisk na drzwiach. Szybko wstał z łóżka i popatrzył na niewielki zegar. Zielone cyfry wskazywały wpół do drugiej w nocy. To mogła być tylko Vixen, ktoś inny? Podszedł do drzwi i na monitorze obok wyświetlił obraz. Miał rację, to Vixen, stała pod drzwiami beztrząsco opierając się plecami o przycisk. Uśmiechnął się nieznacznie i otworzył drzwi.

- Vixen, do cholery, wystarczyło nacisnąć przycisk raz, a nie... - urwał, gdy brunetka runęła na niego bezwładnie. Gdy ją przytrzymał, poczuł na palcach krew.

Ktoś gdzieś blisko pojękiwał. Wyraźnie słyszała czyjś oddech. Niedomknięte drzwiczki niewielkiej szafki uderzały jej rękę raz po raz zamykając się i otwierając. Palce delikatnie bolały i były oblepione jakimś czymś, co kojarzyło się z pajęczyną. Gdzieś w okolicach żebra ból. Głowa też pulsująca bólem. I to ogólne koszmarnie zmęczenie. Powoli otworzyła oczy. Nad sobą zobaczyła sufit z niewielką lampą. Rozejrzała się wokół na tyle, na ile potrafiła w tej pozycji - leżała na plecach, na szerokim łóżku, przykryta ciężką kołdrą. Popatrzyła na te cholerne drzwiczki szafki uderzające ją w rękę. Okazały się ścianą, przy której stało łóżko a jej ręka, wsparta na łokciu kołysała się ciągle, miarowo odbijając się od ściany. Vixen ostrożnie uniosła się na łóżku, ale zaraz opadła z powrotem. Była potwornie zmęczona. Jedyne, co mogła, to unieść głowę i rozejrzeć się po pokoju. Nie był duży, ale wygodnie umeblowany. Pod samą ścianą było łóżko, obok niewielka szafka nocna i szafa, pod przeciwną ścianą. Drzwi były zamknięte. Przez niewielkie okno, zasłonięte roletą wpadało niewiele światła, wypełniając pokój lekko zielonkawym światłem, dzięki takim właśnie kolorom ścian i sufitu. Powoli uniosła dłonie nad twarz i teraz dopiero zauważyła, że były owinięte jakimś bandażem; to była więc ta „pajęczyna”. Pomyślała o wysunięciu paznokci i od razu niemal poczuła ból na koniuszkach wszystkich dziesięciu palców. Tym niemniej jednak paznokcie przebiły się przez bandaż. Nie miała jednak siły na nic więcej i ponownie wsunęła paznokcie, by zajęły naturalną pozycję. Doszła też do wniosku, że jęki, jakie słyszała, były jej głosem. Powoli zaczęła przypominać sobie szczegóły poprzedniego (chyba) dnia. Częściowo się odkryła i teraz dopiero zobaczyła, że nadal miała na sobie swój biustonosz. Wyczuła, że ma ubrane swoje białe szorty. Wsunęła ostrożnie rękę pod kołdrę; tam, gdzie była rana wlotowa tuż pod żebrem, wyczuła skórę na przedramieniu powyżej bandaża otulającego dłonie inny kwadratowy opatrunek. Poszukała miejsca na plecach i też natrafiła na identyczny kawałek białego materiału. Ból głowy powoli jej przechodził. Nie miała pojęcia, jak długo była nieprzytomna, ale wzmacniacz wzroku szybko wyświetlił aktualną datę i czas. Od postrzału minęło niecałe dwanaście godzin; dochodziła dwunasta w południe następnego dnia. Rozejrzała się raz jeszcze po pokoju, ale nigdzie nie widziała ani śladu swoich ubrań, ani tym bardziej broni i plecaka. Ktoś musiał to zabrać. Najwyraźniej była w sypialni Petera, choć prawdę powiedziawszy, nie pamiętała dokładnie, jak do niego wróciła. Rozejrzała się raz jeszcze i sięgnęła po szklankę wypełnioną wodą stojącą na szafce nocnej. Zapomniała, że na jej dłoniach miała bandaże i szklanka zsunęła się z szafki, nim zdążyła ją złapać. Upadła na podłogę i roztrzaskała się głośno. Vixen opadła na poduszkę. Nie minęło kilka chwil, jak do pokoju wszedł Peter. Popatrzył na nią z progu drzwi.

- Widzę, że już doszedł do siebie - powiedział spokojnie - jak się czujesz? - zapytał. Nie odpowiedziała od razu, najpierw usiłowała się podnieść, ale skapitulowała. Wiedziała, że zmę-

czenie jest wywołane pracą nanobotów krążących w jej krwi. Nie miała pojęcia, czy regeneracja po postrzale była zakończona; zdawała sobie doskonale sprawę, że to mogło ją zabić, ba, nawet powinno było.

- Dlaczego ja jeszcze żyję? - zapytała. Peter uśmiechnął się pod nosem i przysiadł na krawędzi łóżka.

- Miałas szczęście - powiedział Peter i ich spojrzenie się skrzyżowało - masz piękne oczy - dodał. Vixen odwróciła wzrok.

- Nieprawda. One wcale nie są moje. Połowa mnie tak naprawdę nie jest moja - Peter uśmiechnął się nieznacznie.

- Wiem. Nie trzeba być specjalnie geniuszem, by nie wiedzieć, że trzeba mieć coś więcej, niż szczęście, by przeżyć taki postrzał. Kula weszła prawie dokładnie w żebro, ale odbiła się od niego i wyszła plecami. Ominęła wszystko, co ważne. Poza tym... - popatrzył na jej zabandażowane dłonie - widziałem je, jak wróciłaś.

- Zostaw mnie, proszę - powiedziała, patrząc gdzieś w ścianę. Peter otarł jej łzę.

- Potrafisz płakać - westchnął, oparł jej dłoń na policzku, po czym zmusił ją do spojrzenia na niego - a ja chyba się w tobie zadurzyłem, Vix. W tobie, w takiej, jaką jesteś - dodał, po czym nagle wstał i ruszył do drzwi - odpocznij. Musisz leżeć w łóżku. Co najmniej do wieczora - dodał i wyszedł. Vixen powoli zamknęła oczy.

Obudził ją zapach. Vixen uniosła się na łokciach. Myślą wyświetliła czas. Ledwie dochodziła ósma wieczorem. Czula się już o wiele lepiej. Chyba długi sen wystarczająco jej pomógł... Zobaczyła, że obok łóżka stało krzesło, na którym leżały jej spodnie i kurtka, ponadto leżał na nich nowy komplet bielizny, jeszcze opakowany. Vixen uśmiechnęła się. Dostrzegła też, że wąskie drzwi, prowadzące do niewielkiej łazienki były otwarte. Nie omieszkiała skorzystać z prysznica.

- Wyglądasz jak zmokła kotka - powiedział z ubawieniem Peter, gdy Vixen wyszła z jego sypialni, już ubrana w swoje spodnie i kurtkę, na razie rozpiętą. Jej czarne, kompletnie mokre włosy opierały się o ramiona. Peter widział, jak wąskie strumyki wody spływały na kurtkę. Wstał i podszedł do niej.

- Dziękuję, Peter - powiedziała z delikatnym uśmiechem - chyba uratowałeś mi życie - dodała. Uśmiechnął się i przytulił ją delikatnie. Vixen pozwoliła się objąć i wtuliła się do niego. Poczuła na szyi jego spokojny oddech. Wiedziała, że robi źle; ale z drugiej strony chyba od bardzo dawna potrzebowała takiego przytulenia. Gdy jego usta delikatnie musnęły jej skórę, nie uciekła; przysunęła się tylko bliżej niego, niemal podstawiając swoją szyję pod jego usta. A potem już wszystko potoczyło się błyskawicznie. Setki pocałunków, z których każdy kolejny był bardziej namiętny od poprzedniego, ubranie, rozrzucone w nieładzie, szybko zrzucane z siebie nawzajem i miłość, jaką obdarzali się niemal całą noc, gdy Vixen odkryła, jak bardzo tego potrzebowała i jak bardzo to tego tęskniła. Dopiero północ pozwoliła im zasnąć.

Vixen przekreśliła się na bok i wysunęła rękę, by objąć śpiącego obok niej Petera, ale jej ręka trafiła na pustkę. Otworzyła oczy. Sypialnia była pusta. Usiadła na łóżku i przetarła dłońmi twarz. Przypominała sobie szczegóły poprzedniego wieczoru i nocy. Rozejrzała się. Tuż obok łóżka leżała jej bielizna; ona sama była naga. Założyła szybko szorty i biustonosz, po czym ruszyła do drzwi. Peter był w salonie; siedział na fotelu i spokojnie pił gorącą herbatę. Od razu wyczuła, że coś było nie tak. Usiadła na przeciwko niego i popatrzyła mu w oczy.

- Co jest, Peter? - zapytała - byłam aż tak kiepska? - Peter mimowolnie się uśmiechnął.

- Kim jest Mike? - odparł pytaniem. Vixen popatrzyła na niego zaskoczona.

- Co?

- Twój komunikator - powiedział Peter, ruchem głowy wskazując na stolik - wypadł w nocy z kieszeni, wypadła z niego bateria. Włożyłem ci ją i się włączył. Jakiś Mike dzisiaj rano dzwonił do ciebie kilka razy i... - urwał, gdy zobaczył, jak Vixen niemal rzuciła się do komunikatora.

- Był włączony?! - niemal krzyknęła i zaklęła natychmiast, gdy zobaczyła na ekranu komunikat: „Wiadomość wysłana. Godzina wysłania: 01:24. Połączenie dokonane. Lokalizacja skontrolowana. Nieodebranych połączeń: sześć”.

Odłożyła komunikator na stół i szybko podniosła z podłogi swoje spodnie. Ubrała je błyskawicznie, potem swoją bluzkę i kurtkę; na kurtkę założyła szelki z bronią - gdzie jest mój plecak? - zapytała. Peter ruchem głowy wskazał na niewielką szafkę. Szybko podeszła do plecaka. Wyciągnęła z niego broń i kaburę, którą przypięła pod prawym ramieniem, uprzednio włączając system wyciszania strzału. Była pewna, że miejsce jej pobytu już zostało namierzone, a John wraz z drugim agentem i policją czekali na jej ruch.

- Vixen, wyjaśnij mi, kim jest Mike? Bo czuję się trochę oszukany, prawdę powiedziawszy. I po co ci ta cholerna broń? - zapytał Peter. Vixen usiadła na przeciwko niego.

- Mike jest policjantem z Nowego Yorku. Poznałam go jakieś dwa lata temu, przy jednej ze spraw. Najwyraźniej przyjechał do Los Angeles za mną. Albo za ludźmi, którzy mnie ścigają. Nic nas nie łączy, Peter. Naprawdę - powiedziała, patrząc w jego oczy - obawiam się tylko, że przez mój komunikator zostałam namierzona. I chyba na ciebie też sprowadziłam niebezpieczeństwo. Naprawdę nie chciałam cię narażać. Nie powinnam była do ciebie przyjeżdżać - powiedziała i opuściła głowę. Peter do niej podszedł i ją objął.

- Gdzie jest mój motocykl? - zapytała.

- U mnie w garażu - popatrzył jej w oczy.

- Musimy uciekać. Musimy uciekać, zanim nie będzie... - urwała. Jej intuicja wydała nagłe ostrzeżenie. Popatrzyła na duże okno wychodzące a dachy innych domów. Jej wzmacniacz wzorku natychmiast przybliżył widok; kilkaset metrów dalej, na dachu jednego z sąsiednich budynków. Zakłęła - padnij - powiedziała szybko i położyła się na podłogę, ciągnąc Petera za sobą.

- Co ty rob... - przerwał mu trzask rozbijanej szyby. Vixen leżała już na podłodze z pistoletem w dłoni. To było tak bardzo typowe dla odwetowej akcji agentów ZAR-u. Najpierw atak snajpera. Potem odczekanie kilka chwil dla upewnienia się i ewentualne wejście oddziałów specjalnych policji, rzucanych jak mięso armatnie. Zaczęła czołgać się w stronę okna.

- Peter, chodź za mną - szepnęła, nawet na niego nie patrząc. Przeczłogała się ledwie metr - Peter, chodź za... - odwróciła się i znieruchomiała. Peter leżał na brzuchu, z twarzą zwróconą w przeciwną stronę. Spod jej głowy wpływała gęsta, czerwona ciecz. Krwotok nie mógł być wywołany upadkiem. W żadnym wypadku. Podczołogała się do niego i odwróciła jego głowę. Nie żył. Ale stwierdziła, że przynajmniej się nie męczył; pocisk trafił go tuż nad okiem i nie wyszedł z drugiej strony, natychmiast pozbawiając życia.

Cyfrowa luneta doskonale przybliżyła obraz. Teraz agent spokojnie obserwował całe okno. Swoją wzmacniacz wzorku, występujący pod postacią dużych okularów na stałe wszczepionych w miejsce oczu, przykładał do okularu lunety. Był pewny, że w kogoś trafił, widział w termowizyjnej kamerze, jak ktoś wyraźnie dostał w głowę. Niestety, nie był w stanie rozpoznać, kogo, ale miał szczerze nadzieję, że była to Vixen. Zerknął na moment na zegar, wyświetlany na ekranie lunety. Za kilka sekund do pomieszczenia mieli wejść policjanci. Ktoś położył się obok niego; popatrzył na bok.

- Zdjąłem go, agencie Smith - powiedział spokojnie snajper - mężczyzna nie żyje - agent Smith skinął głową.

- Obserwuj dalej - powiedział - za kilka sekund wchodzą i nie chcę tam żadnych martwych glin. Zastrzel ją, jak tylko będziesz miał okazję - dodał. Drugi agent znów spojrzął przez okular lunetki. Zobaczył Vixen stojącą w oknie, z dwoma pistoletami wymierzonymi w nich. Zaklął głośno i sięgnął do spustu broni, ale w okularze zobaczył już błyski wysokiej temperatury, gdy Vixen nacisnęła spust kilkakrotnie. Agent gwałtownie zerwał się z dachu, ale wtedy kule go sięgnęły. Cztery pociski, po dwa z każdego pistoletu przeszły przez jego klatkę piersiową na wylot, rzucając go na plecy. Agent John wyciągnął broń i spojrzął przed siebie; teraz dopiero zaczął żałować, że tak uparcie bronił się przed wszczepami. Vixen po prostu nie widział, była za daleko. Ale był przekonany, że ona jego doskonale.

Vixen stanęła na krawędzi okna. Popatrzyła w dół. Pub zajmował parter i jedno piętro, jego sala była dwupoziomowa; mieszkanie Petera było na drugim piętrze. Widziała, jak do dyskoteki wbiegają policjanci. Po nią. Miała założony plecak, a pistolety były w kaburach pod ramionami. Wiedziała, że

szelki utrzymają broń na miejscu. Zapięła kurtkę i popatrzyła gniewnie na dach, gdzie widziała samotną postać. Agent John. Westchnęła cicho i wybiła się mocno z krawędzi. Tylko dzięki nanobotom, jakie wzmacniały jej mięśnie, przeleciała niemal trzy metry w powietrzu i upadła na dach sąsiedniego piętrowego budynku. Przeturlała się, tracąc energię upadku i zaczęła biec. Z krawędzi dachu wybiła się mocno w kierunku kolejnego, wyższego budynku. Paznokcie bez trudu pokonały tynk i Vixen zawisała na nich. Szybko podciągnęła się i wskoczyła na kolejny, płaski dach. Popatrzyła na chwilę na już teraz mniej odległą postać. Zaczęła biec. Biegła coraz szybciej, raz po raz przeskakując nad wąskimi uliczkami, jakie biegnęły między wysokimi, starymi budynkami.

John westchnął, gdy na dach, na jakim stał, wskoczyła Vixen. Popatrzył na okno, z którego wyskoczyła, a z którego teraz wychylali się policjanci.

- Nie sądziłem, że tak szybko się tutaj dostaniesz - powiedział spokojnie agent. Wzruszyła ramionami i spokojnie wyciągnęła oba pistolety z kabur, jednak na razie trzymała je skierowane w dół. Zerknęła na mężczyznę przy snajperskim karabinie i splunęła w jego stronę, po czym popatrzyła na Johna.

- Dlaczego nie uciekłeś? - zapytała. Wzruszył ramionami.

- Może nie mogłem - powiedział - co teraz zrobisz? - zaraz tutaj będzie policja. A nad dachem zaraz znajdzie się ścigacz ZAR-u. Już tutaj leci.

- Więc chyba muszę się pospieszyć - uniosła pistolety celując w niego.

- Nie, poczekaj! - powiedział, usiłując jakby zasłonić się rękami przed nią - poczekaj!

- Na co? - burknęła.

- Wszystko poszło nie tak. Nie miałas zginąć, a pewnie myślisz, że miałem cię usunąć. Moim zadaniem było ściągnięcie cię z powrotem na Ziemię. ZAR cię potrzebuje, twój kontrakt jeszcze się nie zakończył - prchnęła gniewnie.

- Kontrakt wygaś wraz z ostatnim zadaniem w Nowym Yorku. Co poszło nie tak? - zapytała, nadal w niego celując - po co te wszystkie ofiary? Po co zabiłeś Maxa, Nicole i Petera? - agent John uśmiechnął się nieznacznie.

- Złapana i oskarżona o podwójne morderstwo nie miałabyś szans i musiałabyś pójść nam na rękę. Ale ty uciekaś a potem zastrzeliłaś dwóch agentów.

- Oba w obronie własnej - powiedziała - a teraz ty właśnie doprowadziłeś do tego, że bez żadnych skrupułów mogę cię zastrzelić.

- Poczekaj, ścigacz ZAR-u...

- Nie obchodzi mnie to - przerwała mu - straciłam wszystko, co było dla mnie ważne. Najpierw przyjaciół, potem... - urwała na chwilę, gdy emocje zaczynały brać nad nią górę - zresztą, głównie to wszystko obchodzi - warknęła - wszystko, co miałeś mi do powiedzenia? - zapytała gniewnie. Nagle nad dach budynku nadleciał wreszcie ścigacz. Vixen tylko przełotnie na niego zerknęła. To był typowy ścigacz „Black Hawk” którego nazwa wzięła się z kształtu podobnego do tej archaicznej już maszyny - wojskowego śmigłowca Black Hawk.

Oczywiście, ścigacz unosił się na czterech dyszach grawitacyjnych, niemal bez dźwięku. Zamiast tylnego wirnika miał dwie dysze kierunkowe. Zawisł nieruchomo ledwie dwa metry od krawędzi dachu. Boczne drzwi były otwarte, w nich widać było komandosy ZAR-u trzymającego na stałe zamontowany karabin maszynowy oraz dwóch agentów. John uśmiechnął się.

- Już po tobie, Vixen - powiedział z uśmiechem - nie ośmieliś się mnie zastrzelić. Chyba, że naprawdę masz nierówno pod sufitem - Vixen roześmiała się.

- A żebyś wiedział - powiedziała - jestem szalona - dodała - ale nie tym razem - wsunęła oba pistolety do kabur i popatrzyła na śmigłowca. W drzwiach pokazał się Mike. John popatrzył na niego.

- Co do...?

- John, ty miałeś autoryzację szefostwa ZAR-u na działania tutaj, czy zrobiłeś to wszystko na własną rękę? - zapytała. John popatrzył na nią wściekłym wzorkiem.

- Nie miałas odwagi...

- Ja nie - przerwała mu - ale Mike, owszem. Powiedzieć ci, jak było? - zapytała i nie czekając na jego odpowiedź, mówiła dalej - po twojej akcji w mojej agencji Mike wrócił do Nowego Yorku. Myślałeś, że masz już go z głowy, a on skontaktował się z ZAR-em w Waszyngtonie. Okazało się, że tam nikt nie



wiedział o twojej akcji tutaj, a na Ziemi tym bardziej. Podobno pojechałeś na urlop. Po co byłam ci potrzebna? Zresztą, tego się dowiedzą. W każdym razie Mike powiedział, co mi tutaj narobiłeś i po ciebie przylecieli agenci ZAR-u - w chwili, gdy mówiła te słowa, ścigacz ZAR-u nadleciał nad budynek. Zawisł niespełna metr nad dachem i wyskoczyło z niego dwóch agentów oraz Mike. Agenci podeszli do Johna, ale ten patrzył tylko na Vixen. Przegrał.

- Agencie John, jesteś aresztowany - powiedział jeden z mężczyzn i wyciągnął jego broń. W tym momencie John odepchnął obu agentów i rzucił się do krawędzi dachu. Nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, zniknął, rzucając się w dół. Vixen była pewna że cztery piętra zupełnie wystarczyły. Agenci, nawet nie patrząc na Vixen, wrócili do ścigacza.

Vixen weszła do agencji wraz z Mike'm. Rozejrzała się po wnętrzu, ale nigdzie nie dojrzała ani śladu świadczącego o tym, co tutaj się wydarzyło. Znowu było czysto, ładnie i schludnie. Vixen powiesiła kurtkę na wieszaku, uprzednio zdejmując plecak. Kask położyła na półce obok drzwi. Z plecaka wyciągnęła niewielki przedmiot. Podeszła do biurka i postawiła na nim niewielką, płaską ramkę, co kilka sekund zmieniającą zdjęcia. Ustawiła ją tak, by móc ją widzieć zza komputera po czym wycofała się i usiadła na sofie. Mike usiadł na przeciwko niej.

- Co teraz zrobisz, Vixen? - zapytał. Odpowiedział jej uśmiech.

- Pewnie pociągnę sama tą agencję - westchnęła - a potem może znajdę kogoś do pomocy.

- Zmienisz nazwę? - zapytał. Pokręciła głową i popatrzyła raz jeszcze na zdjęcie.

- Nie, zostanie Nico & Max. To byli moi przyjaciele - powiedziała. Mike wstał.

- Czas na mnie - popatrzyła na niego i skinęła głową.

- Wracasz do Nowego Yorku?

- Tak - powiedział i zrobił dwa kroki w stronę drzwi, ale odwrócił się do niej - Vixen, ja...

- Potrzebuję czasu - powiedziała Vixen i popatrzyła w jego oczy. Nagle poczuła, że chciałaby się do kogoś przytulić - ale myślę, że pomoc doświadczonego policjanta, nawet pochodzącego z Nowego Yorku, byłaby nieodzowna - dodała. Mike popatrzył na nią, zaskoczony. Milczał chwilę, jakby trawiając jej słowa.

- Załatwię swoje sprawy i przyjadę, Vixen. Dwa, góra trzy tygodnie - powiedział. Skinęła głową i patrzyła, jak wychodzi. Po co właściwie to powiedziała? Zdawała sobie sprawę, że teraz do powrotu Mike'a będzie ze sobą walczyć, by nie rzucić się znów w ucieczkę. Ale wiedziała, że tym razem nie ucieknie. Poczekaj na niego.

**Marcin „MarcinD” Drózd**

*Opowiadanie zostało wyróżnione w konkursie SBS#2*

## Wataha *El Lobo Muchomalo*

UWAGA! PONIŻSZE OPOWIADANIE NIE JEST WYRAZEM OPINII AUTORA NA TEMAT WOJNY W CZECZENII ANI STRON W NIM UCZESTNICZĄCYCH.

*„Przyjaciół z dalekiego kraju jest jak wznoszona twierdza.”*  
**Przysłowie czeczeńskie**

*„Nie wierz uśmiechowi wroga.”*  
**Przysłowie rosyjskie**

Dopiero teraz, gdy zaczął wstawać świt, zrobiło się naprawdę zimno. Mgła unosiła się powoli, odsłaniając szarobure wzgórza. Nikolaj starał się opanować drżenie całego ciała. Od dwóch godzin razem ze swym obserwatorem Aleksiejem leżał w po- żółkłej trawie porastającej zbocze. Około stu metrów w dół, u podnóża wzniesienia, biegła kręta, wąska droga.

Na drodze stały dwa wojskowe samochody, a wewnątrz i wokół nich leżało ośmiu martwych rosyjskich żołnierzy. Oglądając zwłoki pod osłoną ciemności uznali, że strzały musiały paść z przeciwnej strony wąwozu. Nierówne, pokryte niezliczonymi zagłębieniami i kępami roślinności wzgórze mogłoby dać ukrycie batalionowi piechoty. Oni spodziewali się dziesięciu, może piętnastu ludzi, w tym co najmniej jednego strzelca wyborowego. Mimo oficjalnie panującego pokoju grupka czeczeńskich bojowników ponawiała ataki na siły rosyjskie. Wiele wskazywa- ło na to, że za każdym razem byli to ci sami ludzie.

Nikolaj spodziewał się, że partyzanci przyjdą w nocy lub nad ranem, zabiorą zabitym broń i podłożą miny-pułapki pod ich ciała. Zazwyczaj tak robili. Tym razem jednak nic takiego się nie stało. Wstał świt, a Czeczeńcy nie pojawili się w okolicy. Mało prawdopodobnym było, by przyszli tu za dnia. Zasadzka nie powiodła się.

Przyłożył lornetkę do oczu i po raz ostatni przeczesał wzrokiem powierzchnię wzgórz. Coś błyszczało w trawie, w połowie wysokości wzniesienia. Odłożył lornetkę, wziął w dłonie karabin i spojrzał przez celownik optyczny. Błyszczący punkt wyglądał jak źle zamaskowana luneta karabinu snajperskiego. Przyjrzał się uważnie. Po chwili lekki uśmiech pojawił się na jego twarzy. Stara sztuczka. Sam ją zastosował, przygotowując kilka stanowisk pozornych. Kawałek szkła umyślnie źle ukryty w zaroślach. Stanowiło to abecadło każdego snajpera, który chciał przeżyć więcej niż jedną walkę.

- Falszywe stanowisko, oś sektora, dwunasta, pięćset
- powiedział szeptem do małego mikrofonu zamontowanego przy jego ustach.

- Widzę - odpowiedział Aleksiej, leżący pięćdziesiąt metrów na prawo od Nikolaja.

Choć jeszcze właściwie nic się nie zdarzyło, Nikolaj podjął już decyzję o przerwaniu misji. Wrogi strzelec wyborowy musiał wiedzieć, a przynajmniej podejrzewać, że tutaj są, choć jeszcze nie wykrył ich stanowisk. Stracili przewagę, jaką dawa- ło im zaskoczenie. Wobec takiego rozwoju wypadków kontynu- owanie operacji stanowiło zbyt duże ryzyko.

Nie mogli teraz jednak po prostu wstać i sobie pójść. Ktoś wypatrywał ich tak samo, jak oni wypatrywali jego. Każdy nieprzemyślany ruch mógł oznaczać śmierć.

- Jedna czwarta w lewo, godzina jedenasta, czterysta, kępa drzew - zakomunikował Aleksiej.

Nikolaj spojrzał przez lunetę w podanym kierunku. Wypatrzenie celu w tak monotonnym krajobrazie nie było łatwe. W końcu go dostrzegł. Czeczeniec krył się za pnem sporej sosny. Widać było tylko jego głowę w czarnej czapce i ręce trzymające ręczny karabinek maszynowy RPK. Wyglądało na to, że czeczeński snajper nie przyszedł sam.

Po kilkunastu minutach dostrzegł jeszcze kilku kry- jących się ludzi. Wszyscy oprócz karabinków Kałasznikowa nosili przewieszzone przez ramię granatniki przeciwpancerne. Z tej odległości nie potrafił określić ich typu, ale zwykle był to RPG - 22, tak zwana „Mucha”. Nikolaj szukał przede wszystkim strzelca wyborowego. Po kilku minutach usłyszał strzał.

Pocisk uderzył w ziemię jakieś sto metrów powyżej miejsca, gdzie leżał. Czeczeniec ostrzelał jedno ze stanowisk pozornych. Po jednym wystrzale niezwykle trudno było określić pozycję strzelca. Nikolaj stwierdził jednak, że snajper musiał znajdować się blisko szczytu wzgórza, sporo powyżej miejsca, gdzie Rosjanin dostrzegł błyszczący punkt.

Rozległo się długie terkotanie karabinu maszynowego. Po chwili dołączyło do niego kilka kolejnych. Pociski padały jak na razie dość daleko od pozycji Rosjan. Nikolaj widział wy- raźnie ziemię tryskającą w miejscach, w które uderzały kule. Słyszał wyraźny gwizd, kiedy przelatywały mu nad głową.

Szybko namierzył pierwszego strzelca. Czeczeniec uzbrojony w RPK wciąż nie zmienił pozycji. Za pomocą miarki umieszczonej na soczewce celownika obliczył odległość. Czte- rysta pięćdziesiąt metrów. Ustawił lunetę na czwartą nastawę. Wymierzył nieco powyżej celu, biorąc jedną drugą poprawki na wiatr boczny z prawej strony. Naciśnął spust. Głowa Czeczeń- ca. znikła w zaroślach po niecałej sekundzie.

Aleksiej również prowadził ogień. Szybko spostrzegł, że serie z kaemów układają się coraz bliżej jego pozycji. Kiedy kule padły niecały metr od niego, zerwał się z ziemi i pobiegł w kierunku stanowiska zapasowego. Droga prowadziła przez płytki rów. Potrzebował przebiec tylko kilka metrów otwartej przestrzeni, żeby do niego wskoczyć.

Nie zdążył.

Strzał padł, kiedy Rosjanin znajdował się dwa kroki od zagłębienia. Zabójczo celny. Pocisk trafił w tył głowy. Aleksiej bezwładnie wpadł do rowu. Był martwy, zanim upadł na zie- mię.

Nikolaj strzelił jeszcze kilka razy, trafiając co najmniej trzech bojowników. Leżał w jednym miejscu wystarczająco długo, żeby zostać wykrytym i podzielić los Aleksieja. Odczoł- gał się kilka metrów do tyłu, a potem wstał i szybkim skokiem dotarł do pobliskiej kępy drzew. Usłyszał głośny, rozzdzierający huk z prawej strony. W odległości pięćdziesięciu metrów zoba- czył jasnożółty błysk i wielką fontannę wyrzuconej w powie- trze ziemi. Kolejny pocisk eksplodował przed miejscem gdzie leżał. Wciąż zbyt daleko, żeby zrobić mu krzywdę, ale Nikolaj wiedział, że nie pozostało mu wiele czasu. Wstał i, zgięty wpół, pobiegł w górę zbocza.

Następny granat wybuchł przed nim, zasypując Rosja- nina ziemią. Nikolaj zaległ, ale zaraz zerwał się znowu i biegł dalej. Za plecami słyszał serie karabinów maszynowych. Dotarł do podłużnego zagłębienia, głębokiego na niecały metr. Wsko- czył tam, sięgnął ręką do kieszeni swojej kamizelki szturmowej i wyjął jeden z dwóch granatów dymnych, szarych walców oznaczonych czarnym pasem. Odbezpieczył go i rzucił daleko w dół wzgórza. Z głośnym sykiem z granatu zaczął wydobywać się ciemnoszary dym. Nikolaj odczekał kilka sekund, aż prze- stąpił teren przed nim, po czym ruszył dalej. Strzały powoli milkły. Na koniec długą serią odezwał się jeden z karabinów maszynowych. Potem wszystko ucichło.

Dotarł do szczytu wzgórza. Kępy sosen i brzoź rosły tam gęsto, przechodząc stopniowo w zwarty las. W ziemi ziało sporo dziur, przypominających zaniedbane okopy i transzeje. Zatrzymał się, ukląkł i zaczął nasłuchiwać. Panowała idealna cisza, nawet ptaki nie ćwierkały. Pobiegł naprzód, tym razem już nie tak szybko. Rozglądał się wokoło i co jakiś czas zatrzy- mywał się, nasłuchując. Od zapasowego punktu ewakuacji, skąd miał zabrać go śmigłowiec, dzieliło go około pół godziny szybkiego marszu.

Usłyszał cichy trzask. Łamana gałązka.

- Rzuć broń! - zawołał ktoś. Dopiero teraz ich do- strzegł. Trzech Czeczeńców kryło się w krzakach, jakieś dwa- dzieścia metrów przed nim.

- Rzuć broń, bo będziemy strzelać!

Zdążyłby zabić jednego, może dwóch.

Poczuł na plecach ukłucie lufy.

- Rzuć to, świnió - powiedział cichy głos. Powoli upu- ścił karabin na ziemię i uniósł ręce do góry. Trzej bojownicy wybiegli z zarośli. Wszyscy mieli ciemne brody i byli obwieszeni bronią. Jeden z nich złapał karabin Rosjanina i przewiesił sobie przez ramię.

Nikolaj poczuł silne uderzenie w tył głowy. Upadł na ziemię. Czeczeniec, który zaszedł go od tyłu, zaczął kopać go po głowie i tułowiu. Po chwili przyszło ich jeszcze kilku. Jeden z nich dołączył do towarzysza, kopiąc Rosjanina w żebra.

Żołnierz nie mógł zrobić nic, jak tylko zacisnąć zęby, napiąć mięśnie i oczekiwać na ciosy.

- Nie będziesz już więcej strzelał - powiedział ten, który pierwszy zaczął go bić. Wysunął z pochwy długi bagnet, pamiętający chyba drugą wojnę światową. - Dawaj rękę!

- Szamil! - zawołał jeden z pozostałej trójki, starszy od reszty, wysoki i żylasty.

Partyzant z wyraźną niechęcią schował bagnet do pochwy i cofnął się o krok. Stary ukląkł przy Nikolaju.

- Specnaz - powiedział. - Czego tu szukacie?

Rosjanin pokręcił głową.

- Armia regularna. Mieliśmy sprawdzić, czy przeżył ktoś z tych w samochodach.

- Gówno prawda - rzucił Czeczeniec nazwany Szami-lem.

- Gówno prawda - powtórzył stary i trzasnął Nikolaja otwartą ręką w twarz. - Wiemy, że jesteś komandosem. Snajperem. Strzelasz zbyt dobrze, żebyśmy pozwolili ci pożyć długo. Masz jednak wpływ na sposób, w jaki umrzesz. A więc powiedz: co tu robi Specnaz i dlaczego armia rosyjska narusza warunki pokoju?

- Nic o tym nie wiem - odparł. Właściwie była to prawda. Nie miał pojęcia, o czym mówi Czeczeniec, to oni pierwsi przerwali zawieszenie broni. - Nie jestem komandosem. Nawet nie chciałem wstępować do wojska. Zmuszono mnie. Nie chciałem tu by...

Silne kopnięcie w żęby przerwało jego słowa. Poczul w ustach krew i ułamane kawałki zębów. Posypały się kolejne ciosy.

Kiedy skończyli, stary partyzant zapytał:

- Jak masz na imię?

Nie było sensu kłamać ani zgrywać twardziela.

- Nikolaj.

- Nikolaju, wiesz, że to nieważne, czy się teraz przyznasz, czy nie. Zabierzemy cię w takie miejsce, gdzie powiesz wszystko.

Nie odpowiedział. Bojownicy odwrócili go na plecy i związali mu ręce dość cienkim, ale mocnym sznurem. Podnieśli go na nogi i pchnęli naprzód. Jeden z Czeczeńców założył mu na głowę, brudny, przesiąknięty potem worek.

Maszerowali cały dzień. Chociaż Nikolaj miał świetną kondycję i nie sprawiało mu kłopotów dotrzymanie kroku Czeczeńcom, droga dała mu się we znaki. Partyzanci ciągle go popychali i szturchali, kilka razy wyrwali się, potykając o korzenie i nierówności. Za każdym razem zostawał brutalnie postawiony na nogi i zmuszany do dalszego marszu. Po kilku godzinach zatrzymali się. Rosjanin został pchnięty na ziemi. Czeczeńcy rozeszli się, tylko jeden z nich został, aby pilnować więźnia - Nikolaj wyczuwał jego obecność. Po godzinie ktoś zdjął mu worek z głowy i postawił przed nim pół bochenka chleba, kubek z wodą i - ku zaskoczeniu Rosjanina - dwa zachodnie batony czekoladowe. Po posiłku znów założono mu na głowę worek, po czym związano nogi w kostkach i kolanach. Potem już nikt go tego dnia nie niepokoił. Po jakimś czasie żołnierz zasnął, starając się ułożyć we w miarę wygodnej pozycji.

Obudził się. Worek zsunął mu się z głowy. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności. Na ziemi leżało kilkadziesiąt zawiniętych w śpiwory osób. Spali chyba wszyscy, poza dwoma wartownikami. Spał też partyzant, który go pilnował. Nikolaj sprawdził, czy w pętłach na jego nadgarstkach pojawił się jakiś luz. Wciąż były ściśle napięte. Musiał poczekać na inną okazję.

Nad ranem zaczęło padać. Czeczeńcy cicho rozmawiali między sobą. Stary i ten drugi, z najdłuższą brodą. Stary podszedł do grupki trzech partyzantów, i kiwnął głową, aby szli za nim. Dwóch z nich znów zarzuciło Nikolajowi worek na głowę i pociągnęło go za sobą. Ruszyli drogą prowadzącą w górę. Rosjanin słyszał, jak rozmawiali. Rozpoznał głos Szamila. Rosjanin znał trochę czeczeński, ale nie wyłapał żadnych istotnych informacji. Domyślał się jednak, że dokądś go eskortują. Maszerowali długo, zatrzymując się kilkukrotnie. Przez większość czasu droga prowadziła pod górę. Na którymś z postojów Nikolaj został pchnięty na ziemię. Zdjęto mu worek. Ściemniało się. Zapowiadał się dłuższy postój.

Młody, szczupły partyzant stanął przy Nikolaju, z kałasznikowem przewieszonym przez ramię. Nie patrzył na niego. Szamil gdzieś zniknął, Stary grzebał w ciemnozielonym

plecaku, mrucząc do siebie pod nosem. Rosjanin postanowił spróbować przechylić sytuację na swoją korzyść. Przynajmniej odrobinę.

Młody Czeczeniec przyniósł mu srebrną puszkę konserwy i kawałek chleba. Postawił na ziemi kubek z wodą.

- Jak masz na imię? - zapytał go Rosjanin. Słyszał, że nazywają go Tarkhan, ale chciał w jakiś sposób nawiązać rozmowę. Tamten spojrzał na niego, ale nic nie odpowiedział. Na jego twarzy malowała się niepewność.

- Ładny karabin - stwierdził Nikolaj, wskazując broń ruchem głowy.

- Trofiejny - powiedział Czeczeniec, uśmiechając się lekko i niepewnie. Uśmiech znikł z jego twarzy tak szybko jak się pojawił.

Stary zbliżył się i spojrzał z pogardą na Rosjanina.

- Umrzesz, synu psa - powiedział. - Wszyscy umrzecie. Będziecie żałować, że nie daliście nam spokoju.

- Panuje pokój. Nasz rząd zgodził się na zawieszenie broni. Daliśmy wam spokój, a wy tak się odwdzięczacie?

Umilkł, zastanawiając się, czy nie przesadził. Pieprzyć to, pomyślał. Jeśli mają mnie zabić, to i tak to robią.

- My? Napadami? - niemalże wrzasnął stary partyzant. - A kto niby od dwóch miesięcy atakuje cywilów, pali domy i morduje dzieci? Nie mamy prawa się bronić?

- Nie wiem o czym mówisz.

- A ja nie wiem, czemu z tobą rozmawiam. Lepiej stul pysk i śpij, bo może to twoja ostatnia okazja.

Po jakimś czasie wrócił Szamil. Był niespokojny.

Chwilę rozmawiał o czymś z Muhennetem, żywo gestykulując. Twarz starego stężała. Posłał Nikolajowi spojrzenie pełne nienawiści.

Uświadomił sobie, że usnął, kiedy obudziło go kopnięcie w żebra. Świat szarzał.

- Zobacz, co twoi bracia robią z naszym narodem - szepnął Muhennet. Na jego twarzy malowała się zawziętość.

- Zobaczymy, czy nadal będziesz siebie taki pewny.

Czeczeniec zaprowadził go kilkadziesiąt metrów w głąb lasu. Muhennet kazał mu się położyć na ziemi i czołgać się jeszcze kilka metrów do przodu. Nikolaj Dotarli do krawędzi stromego zbocza. Nikolaj spojrzał w dół. W dolinie stało kilkanaście drewnianych chat. Większość z nich płonęła. Ciemny dym unosił się wysoko w niebo. Rosjanin czuł ostry swąd spalenizny. Przed jednym z domostw na ziemi kłęczało kilkunastu ludzi. Wszyscy mieli ręce założone na karki. Były to głównie kobiety, dzieci i starcy. Mężczyźni w sile wieku musieli opuścić wioskę jakiś czas temu. Przy kłęzących cywilach stali ubrani w szaro-zielone mundury żołnierze. Był to chyba cały pluton, musiało ich być co najmniej czterdziestu. Śmiali się i głośno krzyczeli. Po rosyjsku.

Kilkanaście metrów dalej jeden z żołnierzy przyginał swym ciałem krzyczącą, szarpiącą się i wierzgającą nogami dziewczynę. W pewnym momencie wstał, chwycił karabin i strzelił do Czeczenki krótką, serią. Dziewczyna jeszcze dość długo miotła się na ziemi. Znieruchomiała dopiero po kilku minutach.

Jeden z Rosjan wyjął pistolet i zbliżył się do kłęzących ludzi. Pierwsza od prawej znajdowała się dziewczynka, na oko dwunastoletnia. Żołnierz przyłożył jej pistolet do głowy. Rozległ się huk wystrzału. Drobne ciało bezwładnie opadło na pokrytą popiołem ziemię.

Młody partyzant odwrócił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Szamil popatrzył na dowódcę z wyrazem twarzy, który mówił wszystko. Ten jednak pokręcił głową. Z ponurą twarzą i zaciśniętymi ustami przyglądał się scenie.

Rosyjski żołnierz podszedł do kolejnej osoby, starca z siwą brodą. Kiedy przyłożył broń do jego głowy, starzec zerwał się i zaczął biec. Nie przebiegł nawet dwóch metrów.

Jeszcze przez kilka minut słyszeli strzały. Potem już tylko krzyki i śpiewy. A potem zapadła cisza.

Muhennet musiał uwierzyć, że Nikolaj nie ma o niczym pojęcia. Była to zresztą prawda. Najwyraźniej chciał przekonać Rosjanina do swoich racji. Dobry znak, pomyślał żołnierz.

Czeczeńcy musieli być wstrząśnięci tym, co zobaczyli, bo zapomnieli założyć Nikolajowi worek. Wykorzystał to, żeby dokładnie się wszystkim przyjrzeć. Czeczeńców było trzech. Stary, na którego inni mówili Muhennet, musiał tu dowodzić. Był też Szamil i jakiś młody, którego imienia chyba dotąd nie



słyszał. Wszyscy uzbrojeni byli w karabinki Kałasznikowa kalibru 5,54mm. Broń Szamila wyposażona była w granatnik podlufowy. Każdy z nich miał kilka granatów. Młody niósł na ramieniu granatnik przeciwpancerny RPG, ale chyba nie miał do niego żadnych pocisków. Dowódca posiadał też karabin SWD, który zabrał Rosjaninowi. Stary wydawał się doświadczony i rozsądny. Szamil był silny i narwany, i wszystkiego można się było po nim spodziewać. Młody mógł mieć maksymalnie dwiętnaście lat i wyglądał tak, jakby miał się rozpłakać, gdyby ktoś na niego nakrzyczał, ale sumiennie wypełniał rozkazy. Mogło być gorzej. Znajdowali się na leśnej polanie, otoczonej wysokimi sosnami. Nie potrafił określić, gdzie był, ale zdawało mu się, że cały czas szli na południe.

Nikolaj nie raz spotykał się już ze zbrodniami wojennymi. Raz nawet wybił dwa zęby młodemu porucznikowi, stając w obronie katowanego jeńca. Sprawa rozeszła się jednak po kościach, bo członkowie Specnazu byli szanowani przez naczelne dowództwo.

Teraz Nikolaj wiedział już, dlaczego Czeceńcy zaatakowali konwój. Chcieli dopaść zbrodniarzy. Musieli to być jacyś dezterterzy, znajdujący się tu bez wiedzy ludzi na górze. Miał przynajmniej taką nadzieję.

Chaty wciąż dymiły. Na ziemi leżało kilkadziesiąt ciał. Część z nich leżała twarzą do ziemi, ułożona w regularny rząd. Na każdej z głów widniała mała czerwona kropka. Obok drewnianej budy, z łańcuchem wciąż zaczepionym do obrożi, leżał pies. Wokół jego ciała latały muchy.

Przy drewnianym, połamanym płocie, leżał martwy mężczyzna. W plecy miał wbity długi nóż.

Nóż.

Powrócił Szamil, który znów zniknął gdzieś przed świtem. Po raz kolejny rozmawiał o czymś z Muhennetem, podczas gdy młody partyzant miał oko na Rosjanina.

Czeceńcy skończyli rozmowę. Szamil narzucił worek na głowę Nikolaja i znów ruszyli. Nie szli długo, za to bardzo szybko. Teren był tu nierówny i śliski. Nikolaj wyraźnie słyszał szum rzeki i czuł wilgoć w powietrzu. Po około godzinie znów się zatrzymali. Rozległo się szczekanie psów. Musieli znów być w jakiejś wiosce. Nikolaj wyczuł ruch. Ktoś został, żeby go pilnować, ktoś się oddalił. Po chwili dobiegły go podniesione głosy, potem krzyki, lament i nerwowe potoki słów.

A potem strzały. Jęk młodego. Gwizd przelatujących kul. Nikolaj odruchowo padł na ziemię. Związany rękoma udało mu się zderzyć z głową worek. Nadal nie wiedział, co się dzieje, ale strzały musiały padać z lasu, ze strony, z której prawdopodobnie przyszli. Gdzieś po swojej prawej usłyszał długą serię z karabinka, po niej następną. Potem wołanie starszego Czeceńca.

Młody leżał na ziemi i związał się z bólu. Wokół jego ud ciemnoczerwona krew wsiąkała w ziemię. Za pasek zatknięty miał nóż. Nikolaj doczołgał się do niego i spróbował wyjąć nóż z pochwy. Młody jęczał.

Słyszał wrzaski kobiet i mężczyzn, płacz dzieci. W pewnym momencie rozległ się głośny, bojowy okrzyk. To musiał być Szamil. Razem z Muhennetem ostrzelali go krótkimi seriami. Udało mu się wyjąć nóż. Obracając go w dłoni docisnął ostrze do liny i zaczął ją przecinać. Puściła szybko. Zabrał karabin młodego i przerzucił go sobie przez plecy. Potem złapał go lewą dłonią za nadgarstek, prawą rękę włożył między jego nogi i zarzucił go sobie na kark, jednocześnie wstając. Pobiegł w stronę domów. Kule padały blisko niego. Za blisko. Zaciśnął zęby czekając na postrzał.

Dobiegł do najbliższego budynku i wpadł do środka. Pod przeciwległą ścianą na ziemi kuliło się dwóch mężczyzn, kobieta i kilkoro dzieci. Patrzyli na niego przerażonym wzrokiem.

Wyrzwał przez okno. Napastnicy wychynęli z lasu i zaczęli wchodzić pomiędzy domy. Było ich kilkadziesiąt. Gdzieś z prawej strony wciąż dobiegały odgłosy strzałów Muhenneta i Szamila. Nikolaj ruchem głowy wskazał Czeceńcom rannego partyzanta. Mężczyźni zbliżyli się ostrożnie, cały czas go obserwując.

Szyby poszły w drobny mak. Czeceńcy przywarli płasko do podłogi. Dzieci zaczęły płakać. Staną kilka metrów od okna, nie na wprost niego, ale obok i zaczął strzelać. Żołnierze Specnazu przechodzili ostry trening strzelecki. Normą było wystrzeliwanie stu pięćdziesięciu pocisków każdego dnia. Kiedy został skierowany na kurs snajperski, nacisk na celne

strzelanie stał się jeszcze większy. Potrafił świetnie strzelać z każdej pozycji, ale prawdziwa walka to co innego niż trening na strzelniczy.

Teraz kilku żołnierzy leżało już bez ruchu na ziemi. Lecz oni także wiedzieli, gdzie się ukrywa i ostrzał wciąż się wzmacniał. W pewnym momencie ocenił, że amunicja w magazynku jest na wyczerpaniu. Ukłąkł i zaczął przeszukiwać oporządzenie młodego bojownika. Czeceńcy prowizorycznie opatrzyli jego ranę, ale przewiązany kawałek materiału szybko przesiąkała krwią. Machnął ręką, nakazując Czeceńcom uciekać.

Coś głucho łupnęło o podłogę. Owalny, ciemnoszary przedmiot.

Granat. Dwa metry od niego.

Nie było czasu na nic. Złapał Tarkhana za ubranie i razem z nim wyskoczył na zewnątrz. Eksplozja targnęła budynkiem. Drzwi wyleciały z zawiasów, wszystkie okna posypały się w kawałki. Fala podmuchowa rzuciła Nikolaja kilka metrów w przód. Upadł ciężko na ziemię, przygnieciony ciałem Tarkhana. Czeceńiec chyba stracił przytomność. Z wnętrza wydobywał się szaroniebieski dym. Wrócił do budynku. Znalazł tylko pięć zmasakrowanych, rozczłonkowanych ciał. Wnętrze domu miało być schronieniem, a okazało się śmiertelną pułapką. Złapał karabin, który na szczęście nie był uszkodzony i wrócił na zewnątrz.

Z prawej strony nadbiegało trzech dezterterów. Spostrzegli go i zatrzymali się, żeby wycelować. Nikolaj ukłąkł i strzelił kilka razy. Jeden z żołnierzy upadł, drugi zgiał się wpół, ale zdołał ukryć się za jednym z domów. Trzeci wystrzelił krótką serię i uciekł. Pobiegł po kolegów.

Nie było czasu do stracenia. Nikolaj po raz kolejny zarzucił sobie Tarkhana na plecy i ruszył w stronę ściany lasu, porastającego stok wzgórza. Za plecami słyszał terkotanie karabinów i nawoływanie. Kule gwizdały nad jego głową. Z rannym na plecach biegł zbyt wolno, żeby udało mu się uciec. Zatrzymał się i położył na ziemi, kładąc obok siebie Tarkhana. Wycelował do pierwszego nadbiegającego żołnierza i położył go trzema strzałami. Z oporządzenia młodego wyjął dwa granaty zaczepne i jeden dymny. Kolejno wyciągał zawleczone i rzucał granaty przed siebie. Rozległy się eksplozje, a szary dym zaczął spowijać wieś. Ostrzał osłabł, ale wystarczyło, żeby dezterterzy przeszli przez zasłonę. Wtedy byłby koniec. Znów zerwał się, złapał młodego i pobiegł w stronę lasu. Z tamtego też kierunku usłyszał długą serię z kałasznikowa. Kilka pocisków spadło między domy, eksplodując z rozzwierającym hukiem. Dezterterzy przestali strzelać. Nikolaj dobiegł do linii drzew i zaczął wspinać się na wzgórze. Było ciężko, ale wiara, że jest o krok od ocalenia dodawała mu sił.

Wiatr szumił w koronach sosen. Niebo pociemniało i zbierało się na deszcz. Nikolaj dopiero teraz zobaczył, że jest ranny. Wcześniej, dzięki adrenalinie, nie odczuwał bólu i nie zdawał sobie sprawy z postrzałów. Jedna z kul przeszła przez jego ramię, ale na szczęście nie uszkodziła kości. Stracił połowę prawego ucha. Kilka centymetrów dalej i zostałby w wiosce na zawsze. W tylnej części lewego uda miał długą szarpaną ranę. Krwawiła dosyć obficie, zanim Czeceńcom udało się ją zatamować.

Tarkhan podczas ucieczki został postrzelony w bark i plecy, w okolice płuc. Jego stan był ciężki. Wymagał natychmiastowej interwencji lekarza. Partyzanci opatrzyli jego rany, ale oczywistym było, że bez fachowej pomocy niedługo umrze.

Muhennet spojrzał na Rosjanina.

- Dziękuję.

Nikolaj milczał długo.

- Teraz wiem z kim walczyć - powiedział w końcu.

- To dezterterzy, nie armia rosyjska. Nie działają z niczyjego rozkazu. Proponuję układ.

- Układ?

- Pomogę wam - powiedział.

Czeceńcy spojrzeli po sobie.

Klinga noża lśniła w świetle księżyca. Rosyjski dezterter chyba nic nie spostrzegł. W mroku widniała jego ciemna sylwetka i czerwone światełko papierosa. Nucił coś pod nosem.

Nikolaj spojrzał w lewo. Szamil uważnie go obserwował. Wciąż mu nie ufał. Wokół cykad odgrywały swój nocny

koncert.

Specnazowiec ostrożnie, centymetr po centymetrze, podniósł się na kolana, potem wstał, ale cały czas pozostawał pochylony. Ruszył w kierunku żołnierza. Podbiegł do niego, złapał od tyłu ręką za głowę zamykając mu usta. Przyłożył nóż do jego szyi i ciął głęboko, niemalże odcinając głowę od tułowia - jedyny sposób, żeby wróg umarł od razu i nie narobił hałasu. Krew spłynęła po rękach Nikolaja.

Dwadzieścia metrów na lewo Szamil zrobił to samo z innym wartownikiem. Dezerter jęknął co prawda cicho, ale chyba nikt go nie usłyszał. Obóz pogrążony był we śnie wokół tryskającego płomieniami ogniska.

Nikolaj schował nóż do pochwy i wziął do rąk przewieszony przez plecy karabinek Kałasznikowa z zamontowanym na lufie tłumikiem. Szamil poszedł w jego ślady. Obaj zaczęli powoli zbliżać się do obozu. Ostrożnie, krok za krokiem, co chwila zatrzymując się i nasłuchując. Znajdowali się jakieś pięćdziesiąt metrów od ogniska, gdy z prawej strony usłyszeli szamotaninę i przekleństwa. Zamarli. Rosjanie przy ognisku nadal spali. Kiedy odgłosy ucichły bojownicy ruszyli dalej.

Zatrzymali się dwadzieścia metrów od ogniska. Ogień rzucał blask na śpiących Rosjan. Wszyscy leżeli w śpiworach pod gołym niebem,, nie postavili namiotów ani szałasów. Kolejne trzy pary partyzantów zbliżyły się do ogniska z trzech różnych stron. Wszyscy zalegli na ziemi. Nikolaj przyłożył kałasznikowa do ramienia i zgrał przyrządy celownicze na głowie najbliższego dezertera, leżącego na plecach poza linią światła, bijącego od ogniska. Potem nacisnął spust.

Wyciszona broń wydała z siebie tylko odgłos uderzającej iglicy i wypychanego z lufy powietrza. Trysnęła krew. Nikolaj strzelał dalej, a w ślad za nim inni. Kule dziurawiły ciała dezerterów. Niektórzy z nich zdołali wstać, a nawet złapać za broń, ale zaraz ginęli przeszyci dziesiątkami pocisków. Zaledwie kilku udało się otworzyć ogień. Bezskutecznie.

Jednostronna walka trwała zaskakująco długo. Jednak po kilku minutach żaden z dezerterów się nie ruszał. Cześćcy, weszli pomiędzy bezwładne ciała i dobijali rannych i tych, którzy tylko udawali martwych. Nikolaj poszedł z nimi. Pierwszemu rannemu żołnierzowi strzelił między oczy. Poczul na sobie wzrok Szamila.

- Tak każe się dezerterów w Rosji - powiedział nie patrząc w jego stronę.

- Myślisz, że dobrze zrobiliśmy? - zapytał Muhennet, patrząc na Nikolaja idącego drogą wijącą się u stóp wzgórza. Był już ponad pół kilometra od nich.

- Nie nam oceniać. Skoro dowództwo tak zdecydowało... - odparł Szamil.

Muhennet uśmiechnął się.

- A tak według ciebie?

- Razem unicestwiliśmy pluton wroga. Sami pewnie nie dalibyśmy rady. Próbował uratować Tarkhana, chociaż mu nie wyszło. Ale mimo wszystko nie powinniśmy go wypuszczać. Ale z drugiej strony...

- No?

- Może sprawiedliwość to nie wszystko.

### ***El Lobo Muchomalo***

*Opowiadanie brało udział w konkursie SBS#2*

## Ostatni Heretyk

Janusz Anderson

Przybyli o świcie. Czyli wtedy, kiedy śniło mu się najlepiej, najgłębiej. Spał jak kłoda. Kiedy brutalnie wywlekli go z łóżka i rzucili nim o ścianę, nawet nie zareagował, nie był w stanie, chociażby słownie. Bycie nagle wyrwanym z krainy sennych marzeń zawsze dezorientuje. Zwłaszcza jego. Czy to już jawa, czy też jeszcze ułuda? Czyżby to znów ten sam, powtarzający się od lat koszmar? A jednak nie, odczuł to aż nazbyt ewidentnie, gdy wlekli go po schodach. Próbował coś wybełkotać, lecz szybko zarobił w głowę, co momentalnie ostudziło jego zapędy ku podjęciu jakiegokolwiek próby nawiązania konwersacji. Znalazł się na zewnątrz bezceremonialnie wrzucili go do bagażnika stojącego nieopodal samochodu. Spróbował jeszcze wychylić głowę, co poskutkowało tym, iż natychmiast został znokautowany twardą pięścią jednego ze swych oprawców. Ostatnią myślą, która przemknęła mu przez umysł nim zapadł w ciemność było to, że ci ludzie nawet worek kartofli potraktowaliby lepiej.

\*\*\*

- Gdzie ja jestem? Czyj sobie na to zasłużyłem?

Zamiast odpowiedzi otrzymał pogardliwe milczenie. Jego gospodarz wędrował po salonie, sącząc kolorowego drinka, jakby od niechcenia. Odziany był w szaty niezwykle wręcz eleganckie, takie, jakich ze świecą by szukać na wystawach sklepowych. Jego twarz wyrażała zdegustowanie i postępujące zniecierpliwienie.

- Kim pan jest? Co ma oznaczać ta farsa? - Porwany pozwolił sobie teraz na pewnego rodzaju poufalość, lecz to, co się wydarzyło po jego uprowadzeniu wskazywało, że tego typu zachowanie nie powinno zrodzić jakichś niebываłych konsekwencji.

Otóż, po przewiezieniu go do jakiegoś budynku, ci sami mężczyźni, którzy wcześniej potraktowali go tak niemile, nagle stali się może nie tyle jakoś szczególnie przyjaźni, czy skorzy do kooperacji, co bardziej cywilizowani w sposobie obchodzenia się ze swym więźniem. Zaczęli od wręczenia mu odzieży i obuwia, a także szczoteczki do zębów wraz z pastą, po czym tak wyekwipowanego zaprowadzili do łazienki. I nawet nie wyznaczili mu żadnego terminu, po upływie którego, gdyby nie wyszedł na żądanie czy też bez niego, naraziłby się znów na ich rąk. Następnie, po tej niespodziewanej porannej toalecie, pozwolili mu zjeść śniadanie, i to nie byle jakie - takich cudów na patyku to on nigdy nie miał w swej wiecznej pustej lodówce. Herbata także nie przypominała zaś, zarówno w smaku jak i wyglądzie, tej lury, którą pił na co dzień. A gdy już był umyty, ubrany, najedzony i napity, przywieziono go przed oblicze tego oto człowieka, przechadzającego się od kilkunastu minut bez słowa w te i we w te i jakby intensywnie nad czymś myślącego. Czasem ów jegomość przystawał i spoglądał na wszechobecne w tymże pomieszczeniu obrazy świętych, papieży i państwowych dygnitarzy, zupełnie jakby w myślach prosił ich o radę, czy też - sądząc po często pojawiającym się na jego twarzy i skrzętnie skrywanym wyrazie zakłopotania, troski, a może nawet poczucia winy - o przebaczenie za coś, co dopiero miał zamiar uczynić. Sam był z pewnością niezwykle liczącą się osobą, świadczyła o tym - oprócz niesamowitego ubioru, rzecz jasna - chociażby gracia, z jaką się poruszał.

- Jesteś skazany. Jesteś uwięziony - odezwał się wreszcie ważny mężczyzna, a jego grobowy głos potrafił wywołać ciarki na plecach.

- Co?! Przecież nie było rozprawy sądowej, nawet nie znam zarzutów! - zaoponował ostro uprowadzony.

Tamten niespodziewanie uśmiechnął się, jakby wyjaśniał czteroletniemu dziecku najbardziej oczywiste prawdy rządzące światem.

- Zdecydowałem się pominąć te nudne i jakżeż nieistotne momenty i przejść od razu do punktu „zet”.

- Tak nie można! Żądam adwokata!

- Jak sobie życzysz. Będziesz miał uczciwy proces... i otrzymasz surowy wyrok. Wytrzeszczył oczy, ten, który z góry winny był zarzucanych mu czynów.

- To niezgodne z prawem!

Tajemniczy gospodarz pokręcił głową, niedowierzając naiwności swego rozmówcy.

- Że co, proszę? Niezgodne z prawem? To niby co tu teraz robisz? Prawo to ja. A adwokaci i inni „obrońcy” postępują tak, jak im rozkażę.

- Przecież nie zrobiłem nic złego!

- To żaden problem.

\*\*\*

Zawsze sądził, że pewnego dnia wpadnie za sprawą swych czarnorynkowych machinacji, tj. zakupu i sprzedaży rzeczy, które absolutnie dozwolone nie były. Asortyment oferowanych przez niego produktów był niezwykle szeroki: poczynając od spirytusu, poprzez prezerwatywy i świerszczyki, a kończąc na najbardziej znienawidzonej przez władzę formie sztuki, czyli powieści, czy też ogólniej rzecz ujmując - książce jako takiej. Podeszli wiekiem dealerzy tłumaczyli mu, że po likwidacji telewizji, radia i komputerów (nie bardzo rozumiał, co oznaczają te pojęcia, a z wyjaśnień starców jak zwykle niewiele wynikało, chociaż widząc państwowe holoprojektory mógł mieć pewne wyobrażenie o tych rzeczach) te podniszczone, opasłe tomszyczka są jedyną pozostałością uprzedniego, znienawidzonego systemu. Oczywiście nadal istniało coś takiego jak obowiązkowe pozycje szkolne, ale...

Cóż za ironia losu - dosłownie stawał na głowie, aby reżim nie przyłapał go na tego typu machlojkach, a ich to tak naprawdę zupełnie nic nie obchodziło. Najwyraźniej cały czas mieli go na oku z zupełnie innego powodu. Wszystko wskazywało na to, że jego jedyną zbrodnią, ale za to będącą szczególną, najcięższą kategorią występku, była...

\*\*\*

- Wiarozbrodnia? Młody człowieku, gdybym miał brać to pod uwagę, już dawno powinien być zostać stracony, gdzieś tak ze sto razy.

Aresztowany rozłożył szeroko ręce w geście bezradności.

- Więc czego pan chce ode mnie?! - wykrzyknął, a w oczach miał niemalże łzy. - Niech się pan zlituje!

Tamten podszedł doń i zlustrował go bezlitośnie wzrokiem.

- Jeżeli chcesz odpowiedzi, wpierw okaż mi należyty szacunek.

- Nie bardzo rozumiem - wybąkał zdziwiony więzień.

- Powinienem być się domyślić, że tak będzie. Nie uczęszczałeś na comiesięczne, państwowe, obowiązkowe msze święte. Nie czytasz też zapewne prasy zalecanej. - Postawił akcent na ostatni wyraz, jakby istniała jakaś inna, pozaplanowa lektura. - Bardzo niedobrze.

- Najmocniej przepraszam. Praca na półtora etatu w fabryce, a także inne zajęcia nie pozostawiły mi zbyt wiele czasu na...

- Inne zajęcia? Takie jak nielegalny handel, do tego w niedziele i święta? Jesteś pchłą, ohydny robakiem, który nie szanuje żadnych świętości. Brzydzisz mnie.

Więzień westchnął głęboko i zaczął się ekskuzować:

- To nie tak... - wybełkotał. - Nie robiłem tego dla mojego widzimisię. Potrzebowałem pieniędzy... mnóstwa pieniędzy. Nadal ich potrzebuję. Uzbierałem zaledwie maleńką sumkę. Czy to o to chodzi? Mogę wszystkie oddać! I tak do końca życia nie zgromadzę tyle, co trzeba...

- Jakiś ty prostacki. A miałem o tobie lepsze zdanie. Chyba, że tylko udajesz?

- Ja naprawdę...

- Dość. - Wciąż jeszcze nieznamy człowiek, będąc dość mocno zniesmaczonym, machnął niedbale ręką. - Jestem kardynałem i ministrem tolerancji, drugą osobą w tym państwie. Czy teraz zdajesz sobie sprawę ze swego położenia?

- A niech to, nie poznałem pana w tym... cywilnym ubraniu. Najmocniej przepraszam!

- Nie zawsze noszę służbowy habit. Prawdę mówiąc, częściej chadzam ubrany tak jak w tym momencie. Lecz w gazetach i po zakończonych mszach można mnie było nieraz zobaczyć odzianego w ten sposób. Jak już mówiłem, nigdy byłem na bieżąco. Kompromitujesz się na każdym kroku.

- A więc jestem w Ministerstwie Tolerancji! - Zmie-



szał się nieco tym faktem zatrzymany, kwitując milczeniem poprzedni wątek. – Lecz dlaczego nie w lochach?

– Nie ma sensu dalej tać przed tobą prawdy. Znalesz się tu, bo jesteś mi do czegoś potrzebny.

Na twarz obwinionego wystąpiło teraz totalne osłupienie; nietrudno było mu się dziwić.

– Ja?! Komuś pańskiego pokroju?! Niby po co?!

– Nadasz się, mam nadzieję, do pewnej rzeczy, dla której byłoby najlepiej, gdybyś wykonał ją ty.

– A jeżeli się nie zgodzę, to co? Zabijecie mnie?

Kardynał nie mógł się nadziwić tej niezwyklej wprost jego zdaniem infantylności swego rozmówcy.

– Głupis? – zakpił. – Przecież potrzebuję cię, co bym z tego miał, gdybym się ciebie pozbył?

W tym momencie skazaniec popadł w zadumę, po czym wyrwawszy się z osłupienia skonstatował w jego mniemaniu rzecz oczywistą, i wykrzyknął oburzony:

– Nie ważcie się tknąć mojej matki!

Wicepremier roześmiał się naprawdę szczerze, prawie że na cały salon.

– Po co mielibyśmy to robić? Przecież ona niedługo i tak umrze.

\*\*\*

To miało miejsce parę lat temu. To się stało nagle. To było nieprzewidywalne. Nie dało się tego uniknąć. A może i się dało? Często się nad tym zastanawiał; doświadczał wówczas wyrzutów sumienia. Z powodu tego, co powiedział w szkole. Gdyby siedział był wtedy cicho, do niczego by pewnie nie doszło... Ale nie, on jak zwykle musiał wtrącić swoje trzy grosze. Wydawało mu się chyba, że jest ostatnim sprawiedliwym, czy coś w tym guście. No więc bezczelnie spytał się przy wszystkich prowadzącego lekcję, jak to jest, iż co roku omawiane są te same lektury, tj. Bogurodzica, Biblia, psalterze, kroniki kościelne, et cetera; a jakby tego było mało, chciał się jeszcze dowiedzieć, dlaczego przedmiotem zainteresowania jest tylko i wyłącznie literatura polska – oczywiście (tu nie mając najmniejszych choćby wątpliwości...) łącznie z Pismem Świętym, wszak sam Wielki Edukator stwierdził, iż Biblię spisali starożytni Sarmaci – skoro na świecie jest tyle innych państw. Rzecz logiczna, że tamci zza granicy też muszą mieć jakichś swoich pisarzy. Którzy z pewnością nie podejmują w swej twórczości tylko i wyłącznie tematyki maryjnej – to chyba oczywiste? Dla niego była to jasna sprawa, zwłaszcza że on sam napisał kiedyś swój własny tekst. Było to opowiadanie, które można by nazwać wymyślną fantazją, czy też może lepiej fantastyką – taki ukuł sobie termin – a które przedstawiało wizję Polski zupełnie innej od tej rzeczywistej, realnej; Polski będącej państwem życzliwym, gdzie wszystkie religie – wedle tego wyobrażenia – są traktowane jednakowo, gdzie można czytać książki, jakie się tylko komu żywnie podoba, a krajem opiekują się – tak, opiekują, a nie dyrygują – zawodowi politycy, którzy skupiają się na poprawie doli ludzi biednych i nieszczęśliwych, takich jak on sam. Tak więc, by potwierdzić swą teorię o istnieniu literatury innej niż ta przymusowa, czy też ogólnie „uduchowionej”, razu pewnego przyniósł to swoje „dzieło” na lekcję języka polskiego i pokazał ów kawałek księdzu. Duchowny drżącymi dłońmi chwycił rękopis, a wtedy, po pobieżnym przekartkowaniu i ogólnikowym zapoznaniu się z treścią, czy kleryka zaiskrzyły czystą, niekontrolowaną nienawiścią; ten państwowy urzędnik nie bardzo wiedział, co wprawdzie zrobić: czy natychmiast, publicznie spalić wszeteczne kartki, czy też oćwiczyć kijem zwyrodniałego heretyka. A może jedno i drugie? Wybrał pierwszą opcję i tylko i wyłącznie ją, jako że była to już klasa maturalna i najzwyczajniej w świecie zniewieściały ksiądz nie dałby rady zrobić fizycznej krzywdy nawet nastolatkowi – to nie podstawówka, gdzie każdemu dzieciakowi można wlać do woli, nie wspominając już nawet o tym, co było prawie że pewne, iż ten innowierca na pewno by się postawił. Ale są sposoby na sposoby. Przynajmniej w rozumowaniu sług Pana najwyższego.

– Żeby tak twoją matkę piekło pochłonęło. Tak mi dopomóż Bóg.

Oczywiście po wypowiedzeniu tejże kwestii, mającej być czymś w rodzaju rzucenia kłątwy, pobiegł ów duszpasterz prędko na skargę do dyrektora. Wyrzucono go ze szkoły. Heretyka, rzecz jasna. Ten nawet nie zwrócił na to uwagi – który to

już raz, kiedy skądś się go pozbyli? Najgorsze miało nastąpić niedługo potem. W chwili, gdy wrócił do domu. Do swego obłęsnego mieszkania. Do niemalże antycznego wieżowca, który już dawno powinien był się rozpaść, a mimo to nadal stał niewzruszenie. Co ciekawe, nienawiść włodarzy kraju do poprzedniego – a jeszcze większa do przedpoprzedniego – systemu jakoś nie przeszkadzała im w afirmacji faktu, iż znaczna część narodu mieszka w tego typu budowlach z wielkiej płyty, w każdej chwili w ich mniemaniu gotowych się zawalić. Nie istniały absolutnie żadne plany wybudowania nowych siedlisk dla milionów żyjących w warunkach skrajnej nędzy Polaków. A wracając do tematu – po powrocie do swego miejsca zamieszkania zastała go... aż ciężko mu nawet o tym myśleć... zastała go tragedia, coś co zgodnie ze zdrowym rozsądkiem nie powinno było się wydarzyć owego feralnego dnia, a co w zgodzie z przesadami było jak najbardziej na miejscu – jeżeli przyjąć, że kłątwy księży sprawdzają się i mają rację bytu.

Jego matka. Leżała bez ruchu, nieprzytomna, półżywa. Wiedział, że to nie było przedawkowanie. Tyle lat brała, więc zdawał sobie sprawę, że to nie to. Narkotyzowała się z powodu depresji – między innymi – która zaczęła się parę dekad temu, gdy jako bardzo młoda dziewczyna była naocznym świadkiem likwidowania, wymazywania jej religii z powierzczeni przez państwo polskie. Przez jakiś czas ona i jej współwyznawcy spotykali się potajemnie, lecz w końcu służby bezpieczeństwa zdruzgotały ich raz na zawsze. Wszak każdy wie, że nie ma to jak życzliwi sąsiedzi.

On nigdy nie rozumiał jej i w ogóle tego typu ludzi. Na cóż przeciwstawiali się władzom, ryzykując wszystko, łącznie z istnieniem?! Jego rodzicielka była jedną z nielicznych osób, które ocalały z pogromu. Często kłócił się z nią o jej wiarę. Według niego, to wszystko w ogóle nie miało żadnego, najmniejszego nawet sensu. Śmieszyło go to. Jak można było w tamtych ciężkich czasach, choć wcale nie lepszych niż obecne, zajmować się takimi narażającymi własne życie na niebezpieczeństwo głupotami?!

Lecz teraz to nie miało żadnego znaczenia. Jego mama znajdowała się w stanie budzącym rozpacz i zgrozę. Nie było telefonów, a żaden z sąsiadów nie lubił różnowierców, tak więc nie pozostawało mu nic innego, jak pobic naprędce do szpitala i błagać lekarzy o łaskę. Co go wielce zadziwiło, tamci zareagowali dość naprędce. Więc udało mu się. Czy aby na pewno? Czasem sobie myślał, że równie dobrze mógłby w ogóle wtedy nie reagować. Wylew do mózgu uczynił z jego matki, jedynej istoty, która chyba go kochała i którą on też chyba kochał, uczynił z niej warzywo, twór teoretycznie żywy, lecz tak naprawdę umarły – przecież nie dość, że nie mogła chociażby poruszyć ręką, to jeszcze nie była nawet tego faktu świadoma.

Nie było na to rady. Znaczący się istniały leki neurologiczne na tę przypadłość, a także różnego rodzaju terapie, które mogłyby nieco poprawić sytuację, ale niby z czego on miałby za to zapłacić?! Zacząć kraść?! Ciekawe tylko, gdzie i kogo?! Tę biedotę szerzącą się dokoła? Z czego?! Poza tym – co w związku z powyższym stanowiło paradoks – za złodziejstwo, za przywłaszczenie sobie choćby kromki chleba, groziło obcięcie ręki. A z jedną dłonią to on by raczej dla swej matki niezbyt wiele zrobił. Pozostało tylko uczciwie, ciężko pracować w fabryce, zasłużyć za grosze i mieć nadzieję, że kiedyś będzie lepiej, i od czasu do czasu dorobić na czarnym rynku. Istniała jedynie nadzieja, że nastaną lepsze dni, że pewnego dnia otworzą się wrota niewyobrażalnych możliwości. Tak jak w tym momencie, w którym siedział w Ministerstwie Tolerancji.

\*\*\*

Prawdą było to, co przed chwilą powiedział drugi kardynał Rzeczypospolitej. Najbliższa sercu skazańca osoba nie miała przed sobą świetlanej przyszłości. Delikatnie mówiąc.

– Więc czym zamierzacie mnie sterroryzować? – Porwany oschle bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Sterroryzować?! – Zdumiał się kapłan, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Ty nic nie pojmujesz. Ja chcę ci pomóc, pragnę ci ulżyć.

To było nieprawdopodobne! Po tylu latach reperkusji i prześladowań, przedstawiciel władz nagle wyciąga do niego pomocną dłoń! A przynajmniej tak twierdził. Musiało się w tym coś kryć, jakaś straszliwa cena, którą trzeba będzie zapłacić za być może otrzymaną w przyszłości wspaniałomyślność.

- Cóż to za pomoc? I co będę musiał za nią dać wam od siebie?

- Bystrzak. Wiesz, co i jak.

- Niech pan po prostu odpowie – rzekł z wyraźnym grymasem niechęci.

Wicenaczelný duszpasterz nie przejął się ani trochę, chociaż znużony był nieco ciągłym powątpiewaniem swego gościa.

- Proszę bardzo. – Tu chwila niezwykle teatralnego, wymownego milczenia. – Dzięki mnie twoja matka znów będzie zdrowa.

Zaskoczyło go to, ale tylko na chwilę.

- Bzdura – rzucił niedbale. – Nie wierzę w to.

- Przeniesiemy ją do najlepszej prywatnej kliniki na Białorusi. Jak zapewne wiesz, pewnie słyszałeś plotki – które w tym przypadku są prawdziwe – że tamtejszy poziom medycyny znacznie przewyższa nasz. Opłacimy medykamenty i rehabilitację. Jakby tego było mało, będziesz tam mógł pozostać ze swoją mamą. Na zawsze. Panuje tam coś, co ty nazwałbyś zapewne... wolnością. To chyba wiele znaczy dla twojej rodziny, prawda?

Umyślnie użył słowa „rodzina”, i on dobrze o tym wiedział.

- O co panu chodzi?! – Nie krył swych uczuć.

- Chyba nie chcesz stracić swej matki, zwłaszcza że po odejściu twojego brata i siostry została ci tylko ona?

\*\*\*

Zdarzyło się to na kilka lat przed początkiem choroby jego rodzicielki. Jechał ze swym sporo młodszym bratem oraz siostrzyczką kolejką miejską. Odwoził ich do szkoły, gdyż przed zaledwie paroma tygodniami jego rodzina przeprowadziła się do innej dzielnicy niż ta, w której znajdowała się placówka edukacyjna jego młodszego rodzeństwa.

Sama przeprowadzka była pośrednim wynikiem wprowadzenia w życie nowych reform, nazwanych przez Partię „szeroko zakrojonym programem lojalnościowym”, a przez zwykłych ludzi bardziej życiowo: „płaszcz się i bierz”. Chodziło o to, że obywatele znajdujący się wysoko w rankingu poszczególnych gałęzi administracji mogli liczyć na różnego rodzaju dobrą materialną, i nie tylko. Natomiast ludzie z jakichś względów nie cieszący się – subtelnie rzecz ujmując – poważaniem systemu byli wciągani na tak zwaną „czarną listę”, co oznaczało dla nich nieprzyjemne konsekwencje.

Jak na przykład w przypadku jego rodziny. Zostali wyeksmitowani ze swego i tak przecież lichego mieszkanka w zaniedbanym, czteropiętrowym bloku. Za resztkę oszczędności zdołali wynająć pokój na zatęchłym, brudnym poddaszu jednego z najstarszych w mieście wysokośćowców z wielkiej płyty. Pociągało to za sobą oczywiście masę różnorodnych problemów, chociażby owo dojeżdżanie do szkoły, której ni w ząb nie można było zmienić; no, chyba że dyrekcja sobie tego życzyła, czyli innymi słowy – pragnęła pozbycia się delikwenta, ale oczywiście w przypadku jego rodziny w tym momencie to nie wchodziło w rachubę.

Wagon jak zwykle zatłoczony był do granic możliwości, podobnie jak wszystkie inne jego odpowiedniki w każdym pociągu w mieście i w kraju. Duchota odbierała chęć do wszystkiego, a współpasażerowie popatrywali na siebie niczym zdziczałe wilki, gotowe w każdej chwili rzucić się na siebie i przegryźć aortę swym rywalom. Zresztą, co tu dużo mówić – tak było wszędzie, czy to w ciągnących się dziesiątkami metrów kolejkach do sklepów, czy to na dworcach, czy też w urzędach, nie wspominając nawet o kościołach, w których uiszczano się opłaty za różne podstawowe usługi; po prostu wszędzie.

Wtem nastała chwila grozy, którą zapamięta do końca swego życia. Ni stąd, ni zowąd, nastąpił przepiętny wybuch. Wszyscy runęli na podłogę, a pociąg wypadł z torów i przetoczył się kilkadziesiąt metrów, taranując wszystko na swej drodze. Wielu zginęło od razu, inni byli ranni, a nieliczni tylko wyszli bez szwanku z tej diabelskiej przejażdżki. Stracił przytomność. Gdy się wreszcie ocknął, wokół krzatali się już sanitariusze. Nigdzie za to nie widział tych, za których był odpowiedzialny. Pytał się o nich medyków, ale ci zajęci byli pomaganiem innym ofiarom. Jeżeli żyją, to są już pewnie w bezpiecznym miejscu, tłumaczyli. Jego zaś wzięli na nosze i wynieśli z wraku, ku pobliskiemu naprędce zbudowanemu sa-

nitarnemu miasteczku namiotowemu. Musiało ono powstać, bo wożenie poszkodowanych kilkoma karetkami do nielicznych, przepełnionych szpitali miało się za celem.

Jeszcze tego wieczoru, gdy był już w domu (jego obrażenia nie okazały się być na tyle poważne, by go dłużej przetrzymywać) przyszli do niego. Jeden z członków ekipy przeszukującej wrak, oraz, a jakżeby inaczej, ksiądz. Ten pierwszy bez ceregieli oświadczył, że odnaleziono zwłoki chłopca i dziewczynki będących krewnymi tu mieszkających, wskazywały na to legitymacje znalezione przy denatach. Po wiedziawszy to ratownik usunął się, dając pole do popisu ojcu duchownemu. Ów nakreślił wpierv znak krzyża w powietrzu, po czym wygłosił kazanie, o tym jak Bóg wezwał owe dziecięcia przed swe oblicze, lecz aby malce trafiły do nieba, konieczne jest opłacenie składki pogrzebowej, co należy uczynić w tempie niezwłocznym u swego proboszcza. W przeciwnym razie ich dusze trafią do piekła, podobnie jak dusze ich podłych, chciwych krewniaków.

Lecz matki tych dzieci już to nie obchodziło, albo raczej jej percepcja po prostu przestała przetwarzać – po dotarciu informacji o śmierci ukochanych syna i córki – jakiegokolwiek inne treści. Od tego momentu zamknęła się w sobie; nie popadła w depresję, nie, to za mało powiedziane, zresztą od dawna już w niej była. Stała się mentalnym warzywem, i to na kilka lat przed tym, nim stała się nim także z neurologicznego punktu widzenia.

Także od tego czasu zaczęły się ich, a raczej jego – bo matkę już nic nie interesowało – głębokie finansowe problemy. Jakby mało było afery ze zmianą lokum, to jeszcze koszty wyprawienia pogrzebu okazały się horrendalne, co wpędziło go w dług. Właśnie wtedy i z tego powodu uwikłał się w sprawę półświatka.

\*\*\*

- Więc co mam dla pana zrobić? – Był już całkowicie pogodzony ze swą beznadziejną sytuacją.

Pierwszy minister uśmiechnął się tylko, w ten swój charakterystyczny sposób, jak drapieżca osaczający ofiarę. Odrzekł z naciskiem, bez cienia zawahania.

- Zabijesz prymasa Rzeczypospolitej.

\*\*\*

Polskie ulice były obecnie bardziej niebezpieczne niż kiedykolwiek. Ludzie ginęli nagminnie. Ojczyznę nawiedziła plaga, z jaką ta nigdy wcześniej się nie zetknęła. Wszystkiemu winni byli innowiercy z Anarchistycznych Ludowych Legionów Anty Heretyckich. Partia wielokrotnie zwracała obywatelom uwagę na przewrotną, szatańską i imperialistyczną nazwę owej pozał się Boże „organizacji”. Przewrotną – bo skrót był znienawidzonym przez wszystkich słowem ALLAH. Szatańską – gdyż nazwa zdawała się sugerować, że to ci terroryści wyznawali wiarę jedyłą i prawdziwą, nazywając katolicyzm herezją! Wreszcie imperialistyczną – to oczywiście, pomijając nawet to, iż ci głupcy popełnili dwa błędy w pisowni, a więc te obce szumowiny nie potrafiły posługiwać się poprawnie pięknym językiem polskim, a wszystkie wątpliwości rozwiewało podane na tacy imię ich fałszywego boga – Allah to patron zgnilego, imperialistycznego Zachodu.

Ich podłe zamachy, ich akty przemocy mocno dawały się we znaki społeczeństwu. On często poprzez szybę robotniczego autobusu widział budynki i całe osiedla otoczone kordonem czarnych oddziałów prewencji. Znak, że oto służby porządkowe pacyfikują kolejne hordy morderczych terrorystów. Swoją drogą, nie ma co ukrywać, ci ekstremiści byli bardzo na rękę systemowi; dzięki nim mogły mieć miejsce bezkarne i – jakżeby inaczej – uzasadnione sytuacją nieoczekiwane rewizje mieszkań i przesłuchania obywateli, którzy często gęsto przepadali na dobre, jak kamień w wodzie, po takich akcjach. Znaczny udział miała w tym Gwardia Nadziei – tajne służby bezpieczeństwa piątej Rzeczypospolitej.

Poza dywersją anarchiści parali się rozprowadzaniem mefu – najmocniej uzależniającego narkotyku wszechczasów. W milicyjnych kuluarach mówiło się, że tak naprawdę to rząd go dystrybuował; nie ma wszakże lepszego sposobu na ucieszenie i uspokojenie tłuszczy, niż rzucenie jej ulubionego dragu, lecz nie wiadomo, czy była to prawda – ci, którzy tak twierdzili,

natychmiast dostawali „przeniesienie” do innego miasta.

Właśnie w tym specyfiku znajdowała pocieszenie jego matka. Milczało to akceptowało. Znacznie zwiększyła dawki po utracie dzieci. Nigdy nie czynił jej wyrzutów, zresztą, odkąd zamknęła się w sobie, pewnie i tak by się z nią nie porozumiał. Sam nie brał. Na jego głowie było życie i pomyślność jego rodzicielki – jedynej istoty, jaka mu pozostała po śmierci rodzeństwa. Jedynej, od czasu gdy jego przyjaciel sprzedał go na milicji współ z jego niedoszlą narzeczoną. Nigdy ich jakoś specjalnie za to nie winił – zrobili to pewnie dla pieniędzy, poza tym każdy kapował na każdego. Co ciekawe, sprawa rozeszła się po kościołach – przybyli do jego mieszkania egzorcyciści nie stwierdzili objawów odstępstwa. Zaś jego byli towarzysze zniknęli, tak po prostu – dopiero w końcowej fazie swego życia pojął, dlaczego tak się stało.

\*\*\*

- Że co, proszę? – Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.  
- Głuchyś? – Zirykował się kardynał. – Pozbędziesz się „pierwszego”. Już czas najwyższy, aby stery objął ktoś kompetentny.  
- Czy to jakiś test?  
- Dość głupawych pytań! Zrobisz to, czy nie?  
- Ale... dlaczego ja?  
- To już nie twoja sprawa – twardo uciał kapłan. – Od myślenia to ja tutaj jestem. Ty masz tylko wykonać czarną robotę. Niemający wyboru zamyślił się na chwilę.  
- A jeżeli się nie zgodzę? – zapytał nieśmiało przerywając milczenie.  
- Wtedy wyjdiesz stąd i nigdy więcej się nie spotkamy. Zmarujesz swą życiową szansę.  
- Nie boi się pan, że komuś o tym powiem?  
- Daj spokój! – Wiceduszpasterz mas machnął ręką i w swym zwyczaju naprawdę szczerze się roześmiał. – Zakładając, że w ogóle ktoś cię wysłucha, to niby dlaczego miałaby taka osoba uwierzyć w tak nieprawdopodobną historię?  
- No właśnie. – Przyszły skrytobójca złapał go za słowo, a właściwie za całe zdanie. – Zakładam, że poinformuje pan społeczeństwo o moim występku, gdy będzie już po wszystkim. Kto uwierzy, że taki nieudacznik jak ja przeprowadził skuteczny zamach na najważniejszą osobę w państwie? Minister pokiwał głową z nieukrywaniem podziwem.  
- Trafna uwaga – przyznał. – Tyle tylko, że do tej pory w szkołach na całym świecie dzieciaki dowiadują się, że Kennedy’ego zastrzelił Lee Harvey Oswald. I poza bandą głupców, doszukujących się wszędzie drugiego dna, nikt normalny tego nie kwestionuje. Wiem, że o tym czytałeś. Nie zaprzeczaj. Jak sam widzisz, liczą się fakty dokonane, a nie twierdzenia dorosłych detektywów nie mające podstaw.  
Miał rację; zapędził skazańca w kozi róg, a ten zdał sobie sprawę, że ów człowiek ma nad nim przewagę na każdym polu. Nie pozostało mu nic innego, niż współpraca z uzurpatorem.  
- To kiedy zaczynamy?

\*\*\*

Przez następne tygodnie trenowany był przez najlepszych agentów Gwardii Nadziei. Trenowano go oczywiście w zakresie posługiwania się karabinami długodystansowymi, snajperskimi; po trosze także inną bronią palną. Zbyt dobrze mu szło, przez co wyraźnie nie chciano przekazać mu zbyt wiele ogólnej wiedzy i tylko i wyłącznie na jego ostre żądanie przeszkolono go pobieżnie w posługiwaniu się granatami – na inne ćwiczenia instruktorzy kategorycznie się nie zgadzali, jakby bojąc się stworzenia militarnego Frankensteina.

\*\*\*

Był teraz częstym gościem w państwowej klinice. Czasem przychodził tam nawet kilka razy dziennie. Żaden inny pacjent nie miał tyle odwiedzin, co ta kobieta, u której zjawiał się ten przerażający i tajemniczy człowiek. Personel nigdy nie słyszał, czego dotyczył jego ten sam monolog, wygłaszany każdego dnia. A może nie zawsze mówił to samo? Raczej to pierwsze; ból i smutek w jego oczach, popuszczane ukradkiem łzy, wyraz twarzy upiora, wszystko to świadczyło o niesamowitym brzemieniu ciążyącym na młodych barkach, które można było zdjąć

na chwilę tylko poprzez zwierzenie.

\*\*\*

Podczas ćwiczeń często zastanawiał się, jaki w tym wszystkim jest sens, co tak naprawdę planuje minister kardynał. Wreszcie pewnego dnia stanął przed obliczem tego, który decydował o jego losie.

- Jestem gotów – oznajmił.  
- Gotów na co? – odparł pierwszy po prymasie, kartkując jakieś dokumenty.  
- No jak to? Na zlikwidowanie celu, oczywiście.  
Sługa boży przybrał srogi wyraz.  
- Nie tak szybko. Wpierw musisz udowodnić swoją wartość.  
- Nie rozumiem... Nie tak się umawialiśmy!  
Kapłan odłożył papiery i zdjął okulary, po czym wbił swój ostry wzrok w skazańca.  
- Co ty sobie myślisz? Że pozwolę amatorowi zagrać o najwyższą stawkę? Na razie pozbędziesz się „paru” płotek. Niekiedy będziesz musiał zrobić to w nieco bardziej klasycznym stylu, wiesz o co mi chodzi? Nie ma dla nich miejsca w nowym systemie i muszą zniknąć. Czy to jasne?  
Będący narzędziem w rękach władzy posłał mu swe nienawistne spojrzenie, w pewnym sensie równie śmiertelne, co jego kule. Dowodzący nim natychmiast to spostrzegł.  
- Niepotrzebnie się denerwujesz. Jestem człowiekiem honoru. Za każdy obiekt, którego się pozbędziesz, twoja matka dostanie lekarstwa z naszych rządowych magazynów. Rozmawiałem z lekarzami. Jeżeli ma dożyć tego wyjazdu na Białoruś, musi dostawać te preparaty. Rozumiemy się?  
Zaciśnięte mocno pięści i milczenie potwierdzały, że ugoda została osiągnięta.

\*\*\*

- Wybacz mi, mam... Ale... Wydaje ci się, że to takie proste. Pociągnąć za spust, i po krzyku. Lecz te jęki, te błagania, przekleństwa, kłatwy i zaklęcia, te spojrzenia pełne pierwotnego strachu... Oni chodzą za mną, mam... Prześladują mnie na każdym kroku. Są w oknach, drzewach, na dachach i w tunelach. Wołają mnie. Wzywają do siebie. Nie dają mi żyć. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam... To wszystko dla ciebie, mam! I nawet jeżeli się nie uda, wszystko pójdzie nie tak, to przynajmniej będę wiedział, że zrobiłem dla ciebie wszystko. I spokojnie sobie skonać.

\*\*\*

Oczywiście przez cały ten czas stawał się w fabryce i pracował tak jak zwykle, na sto jeden procent swych możliwości. Takie było zalecenie ministra, że niby nie powinien zwracać na siebie uwagi i inne takie. Robił więc, co do niego należało. Jadąc teraz proletariackim busem zupełnie inaczej patrzył na świat. Dopiero w tym momencie zrozumiał, jaka siła tkwi w hasłach wypisanych przez rządzących na ścianach budynków.

## WYBÓR PARTII twoim WYBOREM WYBOREM PARTII twój WYBÓR

Nigdy nawet w najczarniejszych koszmarach sobie nie imaginował, jakież to prorocze i prawdziwie życiowe słowa! Całe jego życie, wiele na to wskazywało, to tylko plastelina w dłoniach tych na górze. Miał ku temu coraz mniej wątpliwości, zbyt wiele było zbiegów okoliczności w jego przeżyciach, doznaniach. Zawsze miał siebie za charakternego typu i człowieka poczwiergo. Istotnie, był nimi, ale tylko dlatego, bo ONI mu na to pozwalali. Gdyby tylko chcieli, już dawno nie byłoby go na tym świecie, i nikt nawet nie uroniłby najmniejszej choćby łezki.

Spoglądał właśnie na przeolbrzymie malowidło ściennie ilustrujące prymasa – pierwszego sekretarza i premiera - prezydenta. Już nie przerażały go jego świdrujące oczy. Wkrótce ten człowiek zginie za jego sprawą. W tej samej chwili uświadomił sobie, jak niewiele warta jest jednostka. Pierwszego zastąpi wkrótce drugi, a bardzo prawdopodobne, że tego ostatniego wyeliminuje trzeci, i tak dalej. Nie wspominając już nawet o nim samym, pionku w grze sił nieludzkich – nieludzkich, bo masa to zaprzeczenie człowieczeństwa.



**JEDNOŚCI TWORZYWEM**  
**jednostka**  
**jednostkę**  
**TWORZY JEDNOŚĆ**

Tak więc to także była prawda. Kardynał, prymas, zwykli ludzie czy członkowie Partii. Oni wszyscy byli tylko częścią systemu, trybikami w urządzeniu, które można bez trudu wymienić bez szkody dla całej machinerii.

Zdając sobie sprawę z beznadziejności sytuacji zdawał się być bliski załamania. Jak można walczyć z Partią, skoro ta walczy sama ze sobą? Wbrew pozorom nie jest to nielogiczne stwierdzenie. Nadszarpniętemu, chyłkącemu się ku upadkowi, dekadentickiemu monolitowi łatwiej zaszkodzić niż kilku elementom jedności, wierzącym w słuszność całości.

\*\*\*

Przyszły „najpierwszy” wreszcie wezwał go przed swe oblicze. Narzędzie wiedziało, co to oznacza.

- Złowiłeś tyle płotek, że zapełniłyby całe akwarium – rzekł ten z wyżyn bez ogródek. – Nadszedł czas na grubą rybę.

- Jestem do pańskiej dyspozycji.

- Dobrze. Jak zapewne styszałeś, pojutrze odbędzie się kongres Partii, połączony z mszą świętą w intencji prymasa, jego zdrowia i pomyślności. Cóż za ironia losu, że właśnie w takim dniu, kiedy zostanie zatwierdzone jego dalsze kierownictwo państwem, kiedy przywódca Polski po raz pierwszy od naprawdę wielu lat dostanie w swe ręce możliwość wydawania dekretów z mocą ustawy, że w tym dniu prymas inter pares zejdzie z tego świata. I kto zajmie jego miejsce? Jego największy wróg! Przejmę wszystko to, na co ten głupiec pracował przez lata!

- Nie zdawałem sobie sprawy, że ta sprawa ma tyle aspektów...

- Och, nie zwracaj sobie tym głowy – odrzekł uspokajająco minister. – Taka jest polityka. Wciąż nowe prawa i zasady.

Nic godnego twojej uwagi. Skup się na zadaniu. Pamiętaj, że wybawienie twojej matki jest już bardzo blisko.

Wiedział o tym aż nadto dobrze. Presja była jednak zbyt wielka.

- Nie wiem, czy dam radę...

- No co ty, daj spokój. – O dziwo kardynał w ogóle się na niego nie wściekał. – Pamiętaj, że trzy czwarte służb specjalnych będących na zjeździe jest na moje skinięcie. To będzie łatwiejsze niż twoje dotychczasowe zlecenia.

- Dlaczego w takim razie to ja mam to zrobić? Wciąż tego nie rozumiem.

- Już ci mówiłem, że od myślenia to ja tutaj jestem. W ogóle się nad tym nie zastanawiaj.

Wyglądało na to, że ta wypowiedź nieco go uspokoiła, lecz zawahał się przez chwilę.

- W porządku... – rzekł wreszcie niepewnie. – A więc do zobaczenia po wszystkim. Muszę iść się przygotować.

- Nie tak szybko. Widzimy się jutro.

- Jak to?

- Nagramy film, w którym wyjaśnisz, dlaczego to robisz. Wyświetlimy go na ogromnym holoprojektorze znajdującym się na Placu Watykańskim, tak gdzie odbędzie się zjazd.

- Mam się przyznać do naszego układu?

- Nie, no co ty! – Roześmiał się minister kardynał, tym razem zupełnie nienaturalnie. – Powiesz, że reprezentujesz ALLAH, że oni chcą przejąć władzę w kraju i wprowadzić prawo koraniczne, i inne tego typu bzdety. Chyba to rozumiesz?

- Eee... Oczywiście.

\*\*\*

To był ten dzień. Dzień próby, można by rzec. Wymiotował już od rana. Czuł się fatalnie, wszystko go bolało, a w nocy miał dziwne sny. Zżerał go stres, sprawa go wyraźnie przerastała. Ale przecież musiał to zrobić. W południe na dachu szkieletu drapacza chmur niedaleko Placu przygotował sobie wszystko jak należy. Otrzymał jasne instrukcje: pod koniec filmu, który zniecka wyświetli się na holoprojektorze, i zapewne wprawi w zdumienie uczestników zjazdu i publiczność, gdy jego postać przemawiająca z ekranu będzie już mówić rzeczy nieistotne, właśnie wtedy ma pociągnąć za spust i tym samym przyczynić się do otwarcia kolejnego rozdziału w historii tego udręczone-

go kraju. Lecz zanim to nastąpi, mógł zrobić tylko jedną rzecz.

\*\*\*

- Mamo... To właśnie dzisiaj... Wiem, co sobie myślisz... Twoja religia nie pochwała morderstwa, nawet najgorszego bandyty i nawet w obronie własnej... Nie płacz, mamo! Tobie będzie dobrze, ty nic nie zawiniłaś. To ja będę się smażył w piekle po wsze czasy. Słuchaj... dzisiaj wieczorem mam nagrany pewną akcję. A kiedy to zrobię... Będzie po wszystkim, obiecuję ci. Wyjedźmy stąd raz na zawsze, przysięgam. Tym razem to mi Bóg pomoże.

\*\*\*

Wybiła ta godzina, godzina wyzwolenia. Trzeba było tylko wziąć sprawy w swoje ręce. A raczej snajperski karabin kalibru 7.62 mm i nacisnąć co trzeba w odpowiednim momencie. Po raz pierwszy w swym nędznym życiu dzierzył prawdziwą władzę. Nikt go teraz nie ograniczał. Mógł teraz uwolnić świat od każdego głupiego fanatyka. No, w każdym razie od wielu takich, nim by go złapali. Lecz on był skupiony tylko na jednym. Na jednym jedynym priorytecie i tym samym na jednym jedynym człowieku. No, kiedy się zacznie ten chory film... Może za chwilę... O... nie, jeszcze nie... Zaraz... Teraz... nie... Tak! Jego własna postać na ekranie holoprojektora!

- Obywatele! – zagrzmiął jego głos. – Przemawia do was przedstawiciel Wolnej Polski! Nadszedł już czas, aby katolicyści ciemniacy ustąpili pod naporem prawdziwych patriotów! Chwalcie Allaha! To on wyzwoli nasz kraj i wprowadzi nas w krąg naszej pradawnej kultury islamskiej! Aby wypełnić wolę Pana, musimy usunąć bałwochwalcę, zwałęgo się bluźnierczo prymasem...

Reszty nie usłyszał, bo przeciągłe buczenie publiczności zagłuszyło przekaz. To był znak. Przymierzył. Miał teraz na dłoni wszystkich, decydował właśnie o życiu i śmierci. Stres, zamiast galopować jak oszalały, nagle zmniejszył się: mimo ponaglenia grupki esbeków, prymas nie wiedzieć czemu nie kwapił się do ucieczki. Sekunda... Namierzyć... Dokładnie... Tak... Teraz do brze... Boże, czy w tym momencie?! Najwyżej będzie poprawka... Drżą ręce... Celownik biega jak szalony... I... Lekki odrzut... Tak! Jeszcze parę razy, tak na szybko, dla pewności... Panika wśród tłumu... Musiało się udać... Przecież raz w głowę... i kilka strzałów w klatkę! A teraz... prędko! Byłe dalej stąd!

\*\*\*

Spotkali się w umówionym miejscu. Od razu zorientował się, że coś jest nie tak. Gwardziści zachowywali się inaczej niż zazwyczaj, byli podenerwowani. Początkowo się tym nie przejął, twardo parł przed siebie. Gdy zbliżył się do przyszłego prymasa, tamci stali się jeszcze bardziej niespokojni, zaczęli się jakby przygotowywać do czegoś, jakby do starcia, tak mu się przynajmniej wydawało.

- No proszę, udało ci się, jestem pod wrażeniem – rzekł jutrzejszy pierwszy sekretarz Polski. – Składam gratulacje.

Ten, który zmienił historię, podziękował skinieniem głowy, jednocześnie cały czas wodząc oczyma dokoła.

- Coś nie tak? – Prawie były kardynał minister zauważył jego podejrzliwość. – Zamartwiasz się?

- Dobrze pan wie, o co chodzi.

- Ach, tak. Umowa?

- Właśnie.

Niemal świeżo upieczony przywódca narodu zapalił papierosa, on także wyraźnie się denerwował, nawet jego wyniszczał stres.

- To już nasze ostatnie spotkanie – wycodził po chwili. – Szczegóły omówię z tobą moi ludzie.

Nim egzekutor zdołał skonstruować jakikolwiek słowny protest, tamten podjął próbę opuszczenia sali, lecz zniecka wyciągnięta broń tego pierwszego zatrzymała wcale nie pewnego w tym momencie swej przyszłości generalissimusa.

- O co ci chodzi, człowieku?! – Ów wystraszył się po raz pierwszy od wielu lat.

- Chcę wiedzieć „dlaczego”. Dlaczego to ja musiałem to zrobić i dlaczego chcesz się mnie teraz pozbyć!

- Jesteś mądrzejszy, niż myślałem, przewidziałeś to... Celujesz w moją głowę?!

- Twoi ludzie dobrze mnie wyszkolili. Dlaczego ja, a nie oni?! Mów!

- Dlaczego sądzisz, że coś ci powiem? Bo mi zagroziłeś? Myślisz, że masz przewagę?

- Nie. Powiesz mi, co chcę wiedzieć, bo czarne charaktery w finale zawsze wszystko długo i dokładnie tłumaczą. Tak było we wszystkich powieściach, jakie przeczytałem. A każda fikcja oparta jest na życiu.

- Nie jestem żadnym...

- Mów! - Zdecydowanym ruchem dobył drugiego pistoletu i przycelował w serce.

Zagrożony postrzałem westchnął, a właściwie jęknął. Skinieciem dał swoim ludziom znak, aby opuścili salę. Ociągając się, niechętnie, w końcu to zrobili. Gdy było pewne, że nic nie usłyszą, przemówił niedbale.

- Obserwowaliśmy was od urodzenia.

- Jakich „nas”?! Moją rodzinę?!

- Nie do końca. Chodzi mi o dzieci różnowierców. Ciekawiło nas, jaką przyjmiecie postawę wobec własnego dziedzictwa i warunków, w jakich przyszło wam żyć.

- Nie rozumiem.

- Nie wątpię. Przedmiotem naszych badań było to, czy niewierzący mogą zaadaptować się do życia w naszym państwie.

- I?

- I?! Jeszcze pytasz?! Powinieneś być się domyślić. Jesteś skazą, we wzorze naszego wymarzonego społeczeństwa. Jesteś ostatnim wolnomyślicym... typem w tym kraju. Od początku sprawiałeś problemy. Taki ktoś jak ty nie ma prawa żyć, jesteś żywym dowodem niepowodzenia naszych ideałów. I właśnie dlatego to ty musiałeś zabić prymasa. Bo, jak sam stwierdziłeś, i miałeś rację, w każdym dobrym kłamstwie musi kryć się spory ładunek prawdy. Bo tego dinozaura musiał pozbyć się prawdziwy heretyk, a ty jesteś ostatni. Ty i on to dwie strony tej samej monety, która dawno temu wyszła z obiegu. Każda dobra rewolucja pożera nie tylko wrogów, ale i własne dzieci. Dlatego on musiał zginąć. Dlatego to ty musiałeś go zabić. Tak chciał Bóg, historia i opatrność.

- Żarty sobie ze mnie stroisz?! A co z ALLAH – em?!

Wciąż niepewny swego przetrwania na wpół kardynał - minister, na wpół premier- prymas zdobył się na wysiłek utrzymania kamiennego wyrazu twarzy i odrzekł:

- Skąd wiesz, czy ALLAH nie jest tylko i wyłącznie jednym z naszych narzędzi, zupełnie jak ty? A może ich w ogóle nie ma, a za wszystkimi zamachami stoją moi ludzie? Niestety, już nigdy się tego nie dowiesz.

- Ty chory...

- Daruj sobie. To już koniec. Chcesz mnie zabić? A może wolisz, by twa matka nie cierpiała katuszy?

Zrozumiał sugestię aż nazbyt dobrze. Wycofał się naprędce i ostrożnie, po czym korzystając z granatów dymnych wymknął się niepostrzeżenie z budynku ministerstwa; jak najprędzej pobiegł do kliniki mając nadzieję, iż tamtejszy personel jeszcze nie otrzymał informacji, że jego osoba traktowana jest obecnie jak wróg publiczny.

\*\*\*

- Mamo... Już się nie boję. Już wiem, co to wszystko znaczyło. Oni mnie nie potępiali... Oni... Ujrzałem to dzisiejszej nocy, lecz pojąłem dopiero teraz... Przyśnił mi się, był taki piękny... To był anioł, mamo, prawdziwy anioł od prawdziwego Pana! Mówił, że skończyło się nasze cierpienie, że nie będzie żadnych zmartwień, że wreszcie będziemy bezpieczni, w niebie... Nie płacz, mamo, ani się nie denerwuj... Ja ci pomogę... Tylko tak osiągniesz zbawienie... Oni by cię zamęczyli... To nie będzie boleć... stanie się tak szybko, że nawet się nie zorientujesz... To jest 9 mm, szybkie i skuteczne.... I wiesz co, mamo?! Ja chyba też skorzystam... Po prostu wybac.

\*\*\*

W sztabie wyborczym nowego prymasa panowała atmosfera triumfu. Mimo iż wyniki wyborów były z góry ustalone, to przecież nie każdy o tym wiedział, zwłaszcza obywatele, no i jak by nie było - to zawsze sukces. W najmniej spodziewanym momencie przywódca Gwardii Nadziei zadał nowemu głównodowodzącemu pytanie, które od dawna go dręczyło.

- Panie mój... Kim on naprawdę był?

- Kto? - Udał niewiedzę pierwszy z pierwszych.

- Panie, dobrze wiesz, kto - zniecierpliwiał się dowódca, lecz

okazał tylko cząstkę swego zirygowania.

- Ach, on?

- Tak, on. Powiesz mi chociaż, jak się nazywał?

Prymas Polski, pierwszy sekretarz, naczelny dowódca i premier/prezydent pewnego kraju nad Wisłą odparł po chwili zawahania:

- To był... Ostatni heretyk.

**Janusz Anderson**

*Opowiadanie brało udział w konkursie SBS#2*

# Modlitwa do Czarnego Świątełka

Dae

*„Aniele Boży, stróžu mój,  
Ty zawsze przy mnie stój.  
Rano, wieczór, we dnie, w nocy,  
Bądź mi zawsze do pomocy.  
Broń mnie od wszystkiego złego  
I zaprowadź do żywota wiecznego...”*

Ostry błysk przeszył niebo piorunem. Potłukł je, połamał. Zniszczył niebo. Tylko przez chwilę pokazał, jak bardzo jest nietrwałe. Jest pęknięte. Zaraz wyda odgłos bólu. Taki głośny huk. Niebo nie krzyczy, niebo grzmi. Ale to prawie to samo, tylko ma większe rozmiary. Człowiek krzyczy, kiedy jest słaby. Wzywa pomocy. Poddaje się. Niebo, nawet jeśli wzywa pomocy, to nie oczekuje jej od człowieka, który z problemami zwraca się w jego stronę. Człowiek jest słaby. Za słaby. Niebo wylewało z siebie deszcz. Mówi się, że kiedy pada, niebo płacze. Deszcz jest więc wyrazem bólu. Ale nie ten. Ten nie ukazywał ani nie łagodził bólu, ten bolał. Potężne krople spadały gęsto z wielką szybkością, dając wodny wybuch przy uderzeniu. Niczym małe bomby. Niebo bombardowało ziemię. Nie było niebieskie. Wcale nie było niebieskie. Było ciemne, szare. Ogromnymi chmurami jak najdokładniej zakrywało promienie słoneczne. Wilgoć tworzyła mgłę, wypełniającą pustą przestrzeń między drzewami. Wiatr ostro szarpał liściaste korony drzew, strzepując z nich zebrane tam ilości wody. Wszystko było paskudnie mokre. Powierzchnia ziemi była tak zalana, że tworzyła jedną, wielką, błotnistą kałużę. Drogi zamieniły się w płytkie rzeki, a reszta w jeziora. Trwał niekontrolowany hałas odgłosów. Wśród grzmotów, plusków i szumu wody, szelestu liści i zgrzytu łamanych gałęzi oraz świstu wiatru, dało się odróżnić coś jeszcze. Głośny, niespokojny oddech. Na skraju lasu. Pod potężnych rozmiarów drzewem. Siedziała tuż przy nim, skulona w jego konarach. Cała się trzęsła. Spod przemoczonych długich włosów, po których ściekały wielkie krople deszczu, przerażone wyglądały szeroko rozwarte oczy. Patrzyły ślepo przed siebie, ale nie widziały tego co było przed nimi. Jej spojrzenie jakby promieniało czernią. Odwrócona była w stronę lasu. Przesiąknięte wodą, mocno wybrudzone błotem, z wplątanymi dodatkami w postaci liści i małych gałęzi, ubranie ciężko wisało na jej kulącym się ciele, które wydawało się próbować zająć jak najmniejszą powierzchnię. Bała się. Wyrażnie się bała. Ale nie krzyczała. Starła się być cicho, jakby się przed czymś chowała. Czuła „to”. Było tutaj. Próbowwała uciec, ale dopadło ją tu na granicy i nie pozwoliło wyjść. Czuła, jak wolno krąży wokół niej. Jak upaja się jej strachem, jak sobie z niej kpi i jaką to „temu” sprawia przyjemność. Chciała się nie ruszać, ale jej ciało samo się trzęsło. Wystarczyłby jeden wyraźny ruch. Tym jednym ruchem mogła to albo pokonać, albo zostać przez „to” pokonaną. Po jej twarzy ciekła woda, mimo to jej martwo rozwarte oczy nie zamykały się. Żyła. Jeszcze żyła. Ale strach ją paraliżował. Przeszedł ją kolejny zimny dreszcz. Stłumiła odruchowy jęk. Usłyszała usatysfakcjonowany śmiech „tego”. Wiedziała, że nikt jej nie pomoże. Nikt nie był w stanie, nawet jeśli znalazłby się ktoś, kto by chciał. Została sama. Zdana na siebie i skazana na straszną walkę, na którą czuła, że nie wystarcza jej siły. Czuła oddech „tego” na swojej skamieniałej twarzy. Była biała. Całkiem biała. Musiała być biała. Coś wysysało z niej całą energię. „To” chciało ją jej pozbawić. „To” było silne. Ona była człowiekiem, była słaba. Trzęsąc się coraz bardziej, zachwiała się. Obraz zaczął się chwiać, rozmazywać i zanikać. Nie wytrzymała. Ciężkie powieki jej słabych oczu przymknęły się.

+++

Na wprost niej szła wysoka, ciemna postać. Wolnym, ale zdecydowanym ruchem kierowała się dokładnie na nią. Długi płaszcz falował na wietrze. Była noc. Na zachmurzonym niebie

przeblyskiwał jasny księżyc, rzucający blask na bijącą chłodem zakapturzoną postać. Spod wielkiego kaptura wystawały długie ciemne włosy, a zamiast twarzy widać było tylko czarny cień. Przed nią nie było już mokrego lasu, ale suche i mroczne cmentarzysko. Zamiast wielkiego drzewa za jej plecami znalazł się spróchniały drewniany krzyż, a wkoło na zarośniętej zielskim przestrzeni, nieregularnie roztawione były skruszone, popękane, zamazane i obrosnięte mchem, stare, kamienne nagrobki. Ciężkie kroki mrocznej postaci dudniły jej w uszach i napawały przerażeniem. Postać podparła się długim kijem, zakończonym tylko trochę krótszym, lśniącem w blasku księżyca, półkolistym ostrzem.

Spróbowała się cofnąć, ale zamiast tego przyległa plecami do grubej belki. Spojrzała za siebie w górę. Na tle czarnych, niespokojnie sunących po niebie chmur, widniał wielki, ciemny krzyż. Z powrotem spuściła głowę i spojrzała przed siebie. Kostucha stała zaledwie metr od niej. Zatrzymała się. Powoli uniosła w górę wielką kosę. Dziewczyna wstrzymała oddech.

Zimna postać lekkim ruchem odrzuciła kosę. Potem zdjęła z głowy kaptur. Przerażonym oczom ukazała się łagodna twarz młodzieńca z przymkniętymi powiekami i szyderczym uśmiechem.

- Bu!

Dziewczyna drgnęła. On otworzył oczy i jeszcze bardziej się uśmiechając dodał:

- Przestraszyłaś się?

Pogoda się gwałtownie rozjaśniła. Chmury usunęły się na boki. Był śliczny, słoneczny dzień. Zdziwiona dziewczyna siedziała w centrum spokojnego, zadbanego cmentarza. Pachniał zapachem świeżych kwiatów mieszającym się z wonią wypalających się zniczy. Przed nią stał zadowolony przystojny chłopak. Poza nimi nie było tam nikogo.

Chłopak miał długie, ciemne, proste włosy, bladą, niemal siną karnację skóry, długi, ciemny płaszcz i czarne głany. Jego twarz, chociaż sino blada, miała łagodne rysy. Wyjątkowo niezwykle były jego oczy. Były jedynym elementem, który bezpośrednio podsuwał myśl, że jest on nierealny. Całe jego gałki oczne były czarne. To przerażało, ale dodawało takiej głębi spojrzeniu, że kiedy tak przed nią stał, czuła się po prostu naga. Poza tym nadal bił od niego ten chłód, ale już nieco słabszy.

- Kim jesteś? - zapytała niepewnie, starając się utrzymać możliwie jak największy dystans. On w odpowiedzi wysunął rękę w jej stronę.

- Nie wiesz? - spytał nadal się uśmiechając. Zawahała się nieco. Nie wiedziała czy powinna chwycić wyciągniętą w jej stronę bladą dłoń. Ostatecznie słysząc jakąś dziwną sympatię w jego głosie, postanowiła zaryzykować. Jego dłoń okazała się wcale nie być zimna. Była ciepła i przyjemna w dotyku. Pomógł jej wstać i uśmiechnął się do niej, ale już nie szyderczo, tak zwyczajnie, miło, sympatycznie. Stała blisko niego. Twarzą w twarz. Przyglądała mu się uważnie.

- Naprawdę nie wiesz? - dodał widząc niezrozumienie na jej twarzy. - Przypomnij sobie...

Spojrzała prosto w jego czarne oczy. Stała tak patrząc w nie nieruchomo przez dłuższą chwilę. Oboje nawet nie mrugnęli.

+++

Chłodny wiatr owiewał jej rumiane policzki. Rozpięta kurtkę i usiadła. Ciężko sapała. Wejście tu sprawiło jej nie lada wysiłek. Ostatni raz próbowała złapać oddech.

Miała z tego miejsca doskonały widok. Z jednej strony przedmieście i dalej jakaś część miasta, a z drugiej już tylko pola i pojedyncze domy. Wydawały się takie małe z tej wysokości. Jakieś 20 metrów pod nią był dach fabryki. Prawdopodobnie elektrociepłowni, nie pytała wchodząc. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, pracownik przy bramie odszedł właśnie do budynku obok zaparzyć kawę. Nikt jej nie zatrzymał. Co chwilę kręcił się ktoś przy budynkach, ale nikt nie zwrócił uwagi na wspinającą się po drabinie dziewczynę. Dziwne. A może... Nieważne. Było gorąco. Nieprzyjemne ciepło biło od blaszanych ścian komina. Dobrze, że była jesień. Zimą pewnie ostrzej by grzała. Chociaż, z drugiej strony, na zewnątrz byłoby zimniej. Może nie stanowiłoby to więc takiej różnicy. Dochodził do niej zapach spalin. Lekka chmura dymu wylatywała tuż ponad nią. Dłuższe czekanie nie miało sensu.



W tych warunkach jej organizm raczej się nie uspokoi. Wstała. Przeszła na drugą stronę kulistej platformy. W tej chwili miała pod sobą betonowy parking. Wyobrażała sobie, jak nieprzyjemne będzie uderzenie o niego. Ale to potrwa tylko chwilę. Jak skoczy głową w dół, to pierwszy roztrzaska się jej mózg, zaraz po czaszce i wtedy już nie poczuje więcej bólu. Niezgrabnie usiadła na barierce. Trochę ironiczne, że starała się najpierw wygodnie usiąść, a nie potknąć się i spaść przez przypadek. Rezultat byłby w sumie taki sam, tylko jakoś tak... mniej nastrojowo.

Westchnęła. Spojrzała w górę na zachmurzone, zanieczyszczone niebo. „Nie umieram z bólu, tylko od niechcenia.”- pomyślała, jakby przed kimś się jeszcze tłumacząc. Spuściła wzrok, żeby swobodnie zamknąć powieki.

Ale coś ją zatrzymało. Przez myśl przeleciał jej okrzyk: „Stój! Zaczekaj!”. Otworzyła gwałtownie oczy.

Na środku parkingu stał jeden z pracowników. W pobrudzonych, zielonych, roboczych spodniach. Młody, pewnie 20-kilku letni. Z głową podniesioną do góry i wbitym w nią spojrzeniem. Obejrzała się niespokojnie. Zaczęła się wiercić. Nie wiedziała, czy lepiej jak najszybciej skoczyć czy czekać... aż sobie pójdzie? Widząc jej zachowanie, podbiegł pod sam komin.

- Jeśli skoczysz! - krzyczał do niej równie zdesperowanym głosem, jaki ona by teraz miała, gdyby zechciała coś powiedzieć. - ...Jeśli skoczysz, to spadniesz na mnie i zabijesz nie tylko siebie, ale i mnie!

- Czego chcesz?! Odsuń się! - odwrzasnęła mu rozpaczliwie. To było nie fair z jego strony. To był szantaż.

- Zejdź! Chcę być z tobą! Ja chcę żyć!

- Co?! - zaskoczenie samo wyrzuciło jej z piersi to pytanie.

- Zejdź! Proszę...

Nie podobało jej się to. Cholernie jej się to nie podobało. Z trudem zeszła z poręczy i w złości zaczęła schodzić na dół. Każda kolejna szczebelka musiała poczuć na sobie jej gniew. A miało być już dobrze. A miało być tak pięknie. Skąd ten palant się w ogóle wziął? Zgrywa bohatera i czepia się obcych ludzi, psując im życie.

Zeszła wreszcie. Miała ochotę mu nieźle wygarnąć. Rozejrzała się nerwowo. Plac był pusty. Nie rozumiała.

Z fabryki wyszedł jakiś grubszy, starszy pan, też w roboczym ubranku.

- Przepraszam, przed chwilą był tu taki młody chłopak, jeden z pracowników. Nie widział pan może dokąd poszedł?

- Nie przypominam sobie, żeby ktoś taki tu pracował. Dziecko, widzisz, ta fabryka upada, już od dawna brakuje tu młodych... A poza tym, kto cię tu wpuścił? No już, zmykaj, jeszcze zrobisz sobie krzywdę!

To był dziwny dzień.

+++

W końcu ocknęła się.

- ...To...ty...- wypowiedziała wolno, jakby do siebie. Zachwiała się. Odruchowo się od niego odsunęła. Nadal się odsuwała idąc tyłem i co chwilę nerwowo zerkając za siebie. Opierała się rękami na krzyżach i tablicach nagrobków. On zadowolony wolno szedł za nią.

- Dlaczego się boisz?

- Nie zbliżaj się. - wypowiedziała ciężko oddychając i nie przestając się cofać. Zatrzymał się posłusznie i dalej śledził ją wzrokiem. Widząc to, odeszła jeszcze kawałek i czując, że jest w bezpiecznej odległości, stanęła za jednym z grobów.

- Kim jesteś i o co w tym wszystkim chodzi? - zapytała ponownie i bardzo stanowczo.

- Uparta dziewczynka. - zaśmiał się. - Nieważne, kim ja jestem. Ważne, kim ty jesteś.

- Wiem, kim jestem. - odpowiedziała gorzko.

On na to westchnął z niezrozumiałą dla niej lekkością.

- Widzisz, więc wszystko jasne.

Stał nieruchomo, odwrócony w jej stronę, z uśmiechem na ustach. Jasne to w tej chwili stało się dla niej, że w ten sposób się z nim nie dogada. Zadawanie kolejnych pytań chyba nie miało sensu. Próbowала sama coś wywnioskować. Przyglądała mu się w tym celu uważnie. Zastygnięty w całkowitym bezruchu wydawał się być sztuczny. Szczególnie jego oczy. W ich czerni odbijały się światełka kolorowych zniczy i skrawki białego, słonecznego światła. Wyglądały, jakby były

szklane, jak jakieś lusterka, skojarzyły jej się nawet z obiektywami kamer. Trudno było stwierdzić, w którą stronę tak naprawdę patrzył i czy w ogóle ją teraz widział.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zaskoczył ją nagłym pytaniem.

- Nie... nic... - zmieszała się. - Masz... dziwne oczy.

Dumny półuśmieszek zarysował mu się na twarzy. Tak naturalnie spokojnie przymknął powieki, a kiedy je otworzył... jego oczy wyglądały już całkiem zwyczajnie. Zdziwiła się jeszcze bardziej. On roześmiał się rozbawiony.

- Taka tania sztuczka. Znam lepsze, ale tą lubię, bo robi świetne wrażenie. Podoba ci się? - nie wiedziała co odpowiedzieć.

- Może później nauczę cię podobnej...

- Czego ty ode mnie chcesz? - przerwała mu zabawę, widząc, że coraz bardziej odchodzi od tego, co ją interesowało.

Spowaźniał niezadowolony. Przez chwilę jakby układał sobie w głowie przemówienie, ale w końcu powiedział tylko:

- Miałś marne perspektywy na nieżycie.

Oburzenie i sprzeciw przyozdobiły jej oblicze. On kpiąco przytakiwał głową. Rytm z jakim to robił, wprawił ją w stan kolejnego odpływu świadomości do wspomnień...

+++

Siedziała zgarbiona przy stole. Jedną ręką podparła głowę z wyraźnie obojętnym wyrazem twarzy. W drugiej dłoni trzymała niezgrabnie łyżkę poruszającą się na terenie miski z jedzeniem.

- Zimna, rozpaćkana kaszka, polana sokiem z jagód wygląda jak szczątki czyjegoś mózgu. - gorzko komentowała swój posiłek.

Przy tych słowach jej siostra zatrzymała się naprzeciw stołu i spojrzała na nią z obrzydzeniem.

- Mamo...! - uznała, że niecodzienny nastrój młodszej wymaga, co najmniej, konsultacji z opiekunem prawnym.

- Wyjątkowo niesmacznie... - kontynuowała rozważania nie zwracając na nią uwagi.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Nagle przerwał tak sympatyczną rodzinną sytuację. Lokatorki w milczeniu ruszyły się do zmiany swojego położenia. Dźwiękiem zarysowały się kroki po schodach osoby pierwszej. Osoba druga podążyła w stronę drzwi frontowych. Trzecia osoba cisnęła łyżką o stół i wstała. Skierowała się schodami na górę. Minęła się na nich z matką.

- Nie idziesz do szkoły?

Zatrzymała się. Chwila zastanowienia w milczeniu.

- Nie! - odpowiedziała wreszcie, po czym trzasnęła drzwiami własnego pokoju od wewnątrz.

Potem nie pozostało jej już wiele oprócz rozłożenia się wygodnie na łóżku, jako etapu wstępnego do rozpoczęcia „sufitowania”. Tylko jak tu zebrać myśli, czy może raczej się ich pozbyć, kiedy zza ściany dobiegają jednoznacznie puste dźwięki.

Muzyka to bardzo obszerne pojęcie, skoro nawet to się do niej zalicza. Bez większych rozważań nad problemem zamachnęła się i kopnęła w ścianę.

- Czego?! - usłyszała oburzony głos po drugiej stronie.

W odpowiedzi wałęsała tylko znowu w ścianę, jeszcze mocniej.

- Ścisz to. - odezwał się inny głos.

- A ty co? Dlaczego stajesz po jej stronie? - naskoczyła na niego z wyrzutem.

- Nie stoję po niczyjej stronie. Ścisz, nie lubię tej piosenki.

Nieprzyjemne dźwięki ucichły. Teraz wyraźnie słyszała ich rozmowę. Właściwie, nie miała wcale ochoty tego słuchać, ale brakowało jej głośniejszych myśli, żeby to zagłuszyć.

- Po co jej bronisz? Kiedy ty się wreszcie nauczysz, że wojny między rodzeństwem trwały od zawsze i w tym wypadku raczej trwać będą? Wypadałoby chyba, żebyś był bardziej po mojej stronie.

- Już ci mówiłem, że nie jestem po żadnej stronie. Nie mam zamiaru brać udziału w tej, jak ty to nazywasz, wojnie.

- Moje relacje z nią zawsze tak wyglądały. Z przykrością stwierdzam, że są częścią mojego życia. Musisz do tego przywyknąć, jeśli nadal chcesz dzielić je ze mną. A może ty mnie już nie kochasz?

- Daj spokój, Wiki. Przesadzasz.

Uśmiechnęła się zmieniając nastrój.

- Przesadzają, to twoi kumple, po piwie... - zaśmiała się wyrażnie odchodząc od tematu. - Ciekawe, co ty byś robił po takiej ilości... Ha! Jeszcze byśmy musieli ślub przyspieszyć... - żartowała ironicznie, zarazem próbując zaczepnie sprowokować sytuację.

- Może dlatego wolę nie pić... - odpowiedział jej równie ironicznie.

- To było chamskie. - gwałtownie zmieniła ton, teraz był on pełen oburzenia. Stukanie obcasów wskazało, że odsunęła się na drugi koniec pokoju.

- Przepraszam... - powiedział łagodnie, widząc zapewne, że wcale nie potraktowała tego jak żart.

Nastąpiła cisza. Łóżko zrobiło się dziwnie niewygodne. Nie lubiła nadmiaru słów, ale to przedłużające się za ścianą milczenie zaczęło ją przerażać. Gwałtownie wstała. Jakiś pomysł zaświtał jej w głowie. Wyszła z pokoju. Po drodze mijała wejście do pokoju siostry. Drzwi były otwarte. Mimowolnie przez nie zerknęła. Wiktoria siedziała przed komputerem, z słuchawkami na uszach, odwrócona tyłem zarówno do wyjścia, jak do niego. On zwyczajnie siedział w fotelu, bawiąc się piłką do koszykówki i czekając aż jej przejdzie.

Kiedy zatrzymała się na korytarzu, zauważył ją. Spojrzał na nią z gorzkim, pobłażliwym półuśmiechem, mającym wyrażać jego stosunek do zachowania narzeczonej. Nienawidziła tego spojrzenia. Może dlatego, że nie potrafiła go niczym określić. W każdym razie, wiedziała, że to przecież tego spojrzenia nie chciała więcej oglądać. Nie odpowiedziała mu żadnym uśmiechem ani gestem. Z zimną obojętnością poszła dalej.

Na dole znów minęła mamę.

- Dokąd idziesz?

Podobna chwila zastanowienia jak poprzednia.

- Do szkoły. - trzasnęła drzwiami wyjściowymi.

+++

Schylił się spokojnie nad pomnikiem. Zgrabnym ruchem wyciągnął z kamiennego wazonu białą chryzantemę. Uniósł ją na wysokość swojej twarzy. Przymknął oczy i z rozkosznym westchnieniem wciągnął nozdrzami jej woń. Przyglądała mu się uważnie. Zza bujnego kwiatu wysłał jej zalotne spojrzenie. Zdziwiła się. Nie wiedziała, jak powinna to odebrać. Z dziecinnyim uśmiechem zrobił krok w jej stronę. Wyciągnął prostą rękę z kwiatkiem przed siebie. Bawił się w bycie dzieckiem. Ona zerknęła na niego pytająco. Po chwili przybrał karykaturalnie oburzony wyraz twarzy. Zrobił uparcie kolejny krok i jeszcze wyraźniejszym gestem zasugerował, że ma wziąć tego kwiatka. Niechcąc by zbliżał się jeszcze bardziej, w akcie obrony, niepewnie chwyciła za łodygę. Natychmiastowo odskoczył tanecznym krokiem w tył i śmiał się naturalnie, jak na dziecko przystało. Wreszcie i ona pozwoliła się rozbawić. Kącił jej ust uniósł się lekko.

- Co trzymasz w ręce? - spytał zatrzymując się nagle.

Wolno spóściła wzrok, by jeszcze raz zerknąć na uroczą, bujnie ozdobioną białymi płatkami, chryzantemę. Z odruchem podobnym do strzepywania z siebie robaka, wyrzuciła to, co zobaczyła. Śnieżnobiałe płatki opadły niemal całkowicie, a te, które zostały, miały odcień zgnitej żółci.

Odwrócił się do niej już na poważnie. Przekrzywił głowę na bok i ścisnął usta z politowaniem.

- Widzisz, jedno spojrzenie...

- Co?

- Tak łatwo dałaś się oszukać jednemu spojrzeniu. - westchnął.

- Wy, ludzie... Nie rozumiem was.

Na równo zagrabionej ścieżce znów leżała śliczna biała chryzantema.

- O co ci chodzi?

- O niego! - spojrzał przenikliwie w jej oczy. - Jestem zazdrosny...

- Co?

- Nieważne. - skierował dumny wzrok w jakieś odległe miejsce na krajoobrazie. - I tak należysz do mnie...

+++

Tak... Z każdym krokiem, do szkoły było coraz dalej. Co prawda, wsiadła do autobusu i odjechała. Tylko, tak jakoś, w drugą stronę. Opuściła pojazd, kiedy wzrok zerkającego na nią co chwilę kierowcy zastanawiającego się widocznie, dlaczego nie

kupiła biletu, zaczął jej przeszkadzać. Znalazła się w jakiejś małej... miejscowości?... daleko poza miastem. Miejscowości... Może trzy domy rozstawione w odległości kilometra od siebie i przydrożny zajazd „Alinka”. Tak... Miejscowości. Aczkolwiek, zajazd wydał się dość interesujący. Wstąpiła tam na chwilę. Siedziała zadowolona przy piwie. Jakim naturalnym ludzkim odruchem jest topienie wszelkich psychicznych dolegliwości w alkoholu. Brakowało tylko mądrego barmana, który spyta o co chodzi, wysłucha, doradzi i postawi na koszt firmy. Nie, tu nie ma o czym mówić. Jedna wielka pustka w środku. Trzeba ją tylko dobrze przepłukać i czymś wypełnić. Wzięła następny łyk piwa. Skrzywiła się. Przecież ona nigdy nie lubiła piwa. Naprawdę, ohydne, jak można coś takiego pić? Przechyliła szklankę przykładając ją do ust. Dalej oglądała półkę z trunkami alkoholowymi.

Przy barze usiadł chłopak. Miał jego widok z profilu, ale nie mogła się oprzeć uczuciu, że skądś go zna. Długie, ciemne, związane włosy. Czarny sweter, jeansy, glany. Te ciemne, długie włosy... Przyglądała mu się z zastanowieniem., nie krępując się w ogóle. Zdążył kupić piwo. Nawet się obejrzał. Uśmiechnął się tylko widząc, że na niego patrzy, wziął butelkę i wyszedł na zewnątrz.

Wodziła za nim wzrokiem, kiedy wychodził. Zatrzymała się na drzwiach, może przez 10 sekund. Potem machnęła na obsługę, kupiła flaszkę i wyszła szybkim krokiem. Nie było go jednak już nigdzie widać. A już chciała go zahaczyć. Wyszła z doła, a na powierzchni nie było nikogo. No cóż, stąd nie można było pójść w wiele miejsc. Droga prowadziła tylko w dwie strony. Ruszyła wzdłuż niej w stronę lasu.

+++

No i stała tak, z niezrozumieniem w swojej postawie, odnoszącym się do jego postawy. Kimkolwiek był - był dziwny. Tak najprościej można to opisać. Jak? Skąd? Po co? Dlaczego? - proste pytania. Bez odpowiedzi. Więc pytania kolejne: Po co pytać? Co zrobić? Poczekać, co będzie dalej.

Oczekiwała strwożona na jego słowa. Ale on nic nie mówił. Sympatyczny, w tej chwili, nieznajomy stał cicho, jakby zauroczony jej widokiem. Niebieskie oczka błyszczały radośnie. Był taki... ludzki. Uroczy chłopiec w uroczej sytuacji. Jak mogłaby nie dać się tym poruszyć? Takie przyjemne ciepło wlewało się w jej wnętrze, szturchało serduszek do szybszego i ufniejszego bicia, po czym zatrzymywało się na gałkach ocznych, odpowiadając podobnym błyskiem, jaki został wysłany. Taka sytuacja robiła zamęt w jej świadomości. Nieważne było to, jak bardzo podłe było życie, nieważne było to, że nic nie rozumie. To było miłe i o tym chciała teraz myśleć. Jednych takie chwile peszą, innych prowokują, dla niej wystarczyłoby, żeby trwały wiecznie. Cmentarz - co to ma do rzeczy? Miłość? - a czego ta tu chce? Nie. To po prostu było przyjemne i zasługiwało na chwilę uwagi.

Niewyraźne zarysy szeptów, słów krążyły wokół jej głowy. Psuły dobry klimat, więc niechętnie ich słuchała. A było ich coraz więcej i coraz głośniejszych, i wyraźniejszych. „Myśl...” - mówiły jedne. „Pamiętaj...” - przypominały inne. „Przypomnij sobie...” - naciskały następne. Namnożyło się ich wokoło. Zasłoniły uroczy widok. Pociągnęły myśli poza strefę przyjemności.

+++

Biała linia pod jej stopami nabierała szarawego odcienia. Wcześniej wydawało się, że jest przerywana, ale teraz nie miała już co do tego pewności. Stawiała dokładnie jedną nogę za drugą. Ale ta dziwna kreska chwiała się na boki i idąc w linii prostej nie można było na nią trafić. Usłyszała jakiś stłumiony, zdeformowany dźwięk. Doszła do wniosku, że dochodzi zza jej pleców. W chwili odwracania się coś ją minęło z dużą szybkością. Zachwiała się na boki odruchowo. Zatrzymała się i stanęła rozkładając ręce. Próbowiła się uspokoić i złapać równowagę. Odwróciła głowę w stronę odjeżdżającego pojazdu. Dopiero po chwili jednak zza rozmazanego obrazu wyłoniło się mrugnięcie dwóch czerwonych świateł. Uniósła rękę do góry i wlepiła wzrok w etykietę trzymanej butelki. Coraz bardziej wytężyła spojrzenie, aż dostrzegła liczbę 40. uśmiechnęła się do siebie i spróbowała powiedzieć - Kocham to opóźnienie reakcji o 40%... - spróbowała, bo sama nie była w stanie usłyszeć

swoich słów na tyle, by je zrozumieć.

Szła dalej nucąc wesoło pod nosem jakąś układaną na miejscu melodyjkę. Linia zaczęła jej się dwoić w oczach. Znowu usłyszała zbliżający się od tyłu samochód. Ostry ruch był tego dnia. Ten hałas mijających ją co jakiś czas pojazdów, z jednej i z drugiej strony, nie należał do przyjemnych. Tego na dobitkę, właściciel, jako wzorowy kierowca, postanowił użyć na jej widok klaksonu. Nagły głośny dźwięk przestraszył ją zarazem i zabolął. Z wyrażającym cierpienie jękiem złapała się za głowę zatykając uszy. Przy następnym kroku omal się nie przewróciła. Wypadła na drugą stronę jezdni. Kiedy spróbowała otworzyć zaciśnięte z bólu powieki, oślepiło ją jasne światło reflektorów, zbliżających się dokładnie w jej stronę. Znow zamknęła oddechowo oczy. Usłyszała tylko stłumiony pisk opon, potem odgłos mocnego uderzenia i tuczających się szyb.

Powoli dopuszczając do świadomości to, co się stało, otwierała oczy. Niedaleko niej, kawałek poza drogą, stał zatrzymany na drzewie, nieco zdeformowany pojazd. Ostrożnie zbliżyła się do niego i zajrzała przez pusty otwór okienny. Oparty z głową na kierownicy kierowca leżał nieruchomo. Nie widziała jego twarzy. Widziała tylko plamę krwi na przedniej szybie. Szyba była stłuczona na drugiej połowie. Wystawało przez nią, leżące na masce białego samochodu, drugie ciało. Dziewczyna wyglądała na kilkunastoletnią, na pewno młodszą od niej. Przy jej potłuczonej twarzy, zakrytej do połowy potarganymi, jasnymi włosami, układała się niezgrabnie czarno-biała arafatka. Jej widok wydawałby się może niegroźny, gdyby nie czerwona barwa, której coraz więcej nabierały zarówno włosy, jak i arafatka. Lekki czerwony strumień puścił się po białej masce. Wraz z upadkiem na trawę pierwszej czerwonej kropelki, z dłoni wypadła jej butelka i rozbiła się o kamień, rozlewając resztki ukochanego napoju.

+++

- Uuu... A to co? Coś ci mina zrzedła... - podsumował ironiczną uwagą z tradycyjnym uśmieszkiem.

Faktycznie, nie wyglądała najlepiej. Cały ciężar ciała podtrzymywały ręce, wyprostowane, zaciśnięte kurczowo na granitowej płycie. Włosy beładnie zwisały w dół. Przysłaniały ciężko sapiące usta i na czerwono podkrążone oczy. Jej sylwetka ugięła się niezgrabnie.

Był zarzeczony takim widokiem. Wolno ruszył z miejsca. W ciszy zatoczył wielki okrąg wokół niej. Nawet nie zareagowała. Za bardzo przejmowały ją inne myśli. Krażył więc dalej i czekał aż zwróci na niego uwagę. Zaczął coś nucić pod nosem. Potem coraz głośniej. Równolegle, coraz bardziej zmniejszał odległość. W pewnym momencie spośród nuconych dźwięków ujawniły się słowa: „Nie fajnie jej z tym, nie pytaj, czy jej fajnie...” Powtarzane wciąż te same słowa towarzyszyły mu w dalszym spacerku. Im głośniej śpiewał, tym bardziej zaczynała się wiercić. Miał wyjątkowo głęboki głos, który wyjątkowo dźwięczał jej w uszach. Próbowала się go pozbyć, kręciła się w koło, zatykała uszy, łapała się za głowę, ale nadal miała mocno zaciśnięte oczy. Jej zachowanie zaczynało jej samej przypominać konfrontację z jednym samochodem, a potem drugim...

- Zamknij się! - wrzasnęła wreszcie, otwierając oczy.

Stał tuż obok niej i wrednie się uśmiechał, dodając tym grozy swoim oczętom, które znow stały się czarne.

+++

Zdołowane kroki dźwigały ciężar własnych czynów. Potykała się o kostkę brukową, jakby stała się jeszcze bardziej nierówna niż zwykle. Miasto, wraz z zanikiem oświetlenia z zewnątrz, wytwarzało coraz więcej własnego światła. Stara kamienica. Ciągająca się w przód ulica. Pod latarniami cienie rozchodzących się ludzi. Czym zawiniła tak bardzo? W tej chwili jej istnienie zdawało się być jakimś błędem systemu. Gdyby wtedy umarła, nie zakłóciłaby porządku świata. Jak to wszystko się stało? Jak do tego doszło? Całą winę rzuciła na nieznajomego, który ją powstrzymał. To on był temu winny. On, którego nigdzie nie było.

Usłyszała znajomo brzmiące dźwięki. Na krawężniku siedziała dziewczyna z gitarą. Ubrana na czarno, z czarnymi włosami, chowała się w cieniu. Tylko ciche brzdękanie zdradzało jej obecność. Śpiewała niemal szeptem słowa, które jednak dało się rozpoznać: „Mimo że zgubiłem się, mimo że zabrnąłem w

mrok, wymieszałem z błotem krew, ocaleję mimo to... Trzeba uprzytomnić sobie, że nawet kiedy wszystko straci sens, znajdziesz przestrzeń gdzie... wielka wiara tłumi lęk...”

Zatrzymała się przy niej na chwilę, żeby posłuchać. Dzięki temu naszła ją ochota na coś innego niż bezsensowne błąkanie się po mieście. Kiedy dziewczyna zwróciła na nią uwagę, ta zaproponowała jej dwie stowy za gitarę. Nieznajomej wydała się to korzystna propozycja, więc się zgodziła. W tym świecie wszystko można kupić za pieniądze. Ale tylko w tym świecie. Trzeba tylko coś z niego chcieć.

Po niedługim czasie została sama. Podniosła nowo zakupioną zabawkę i usiadła z nią w bardziej oświetlonym miejscu. Oparła się plecami o słup latarni. Zatopiła we własnych myślach. Znow przypomniała sobie widok ciemnowłosego chłopaka. Na chodniku dostrzegła zielony kapslesek od Tymbarka. Pamiętała, że jej znajome używały takich do wróżenia sobie. Z kąpiącym uśmiechem sięgnęła po niego ręką. Na odrocie widniał napis: „Tutaj jestem.” Odnosząc te słowa do poprzednich myśli, ze złością wyrzuciła śmieć na ulicę. Szarpnęła gwałtownie w struny i głośnymi, szybkimi dźwiękami wyrzucała z siebie swój gniew. Potem przeszła już łagodniej do konkretnej piosenki. Kontynuowała tę niedawno usłyszaną, którą instrument zdążył już poznać. Między nią a poprzednią czarną właścicielką gitary, były dwie zasadnicze różnice: tamtą było ledwie słychać i widać, tą, i jedno i drugie, bardzo wyraźnie.

Grała w kółko jeden i ten sam kawałek, chociaż za każdym razem trochę inaczej. Nie próbowała się wysilać na poszukiwanie nowych melodii. Tym bardziej, że ten tekst wydał jej się w tej chwili bardzo bliski. Muzyka zawsze miała dla niej nieprzeciętny wymiar. Posiadała moc, którą potrafiła się dzielić z ludźmi. W tej chwili naprawdę zapragnęła ocaleć. Wreszcie zdała sobie sprawę, że jednak chciała żyć. Oszukiwała siebie, żeby jak najmniej bolało. Ale teraz, kiedy coś ją uratowało i kiedy wszystko zaczęło się komplikować, w głębi siebie poczuła chęć bycia wreszcie szczęśliwą. I teraz bardzo by jej się to przydało dla zachowania równowagi.

Wreszcie zaczęły z niej wychodzić inne, własne słowa: - Czas ukorzenia. Ile masz jeszcze do zbawienia? Tylko Bóg jeden wie. - Potem zaczęła wykrzykiwać, głośno akompaniując, pojedyncze zdania. - Bóg policz ci! Bóg wybacz ci! Bóg wynagrodzi ci! Bóg zapłaci ci! Bóg pozwoli ci odejść... - Ostatnie zdanie zagłuszył nadjeżdżający samochód. Zatrzymał się naprzeciwko, na poboczu. Wtedy rozpoznała w nim radio-wóz. Zmieniła melodię na dużo łagodniejszą. Gorkim tonem śpiewała dalej: - Element upokorzenia. - Z auta wysiadło, jak w każdym filmie, dwóch policjantów. - Jak wiele masz do zbawienia? - Spuściła wzrok, kiedy do niej podchodzili. - „Pani nazwisko?” Nie zwracając na nich uwagi śpiewała dalej. - Tylko Bóg jeden wie. - Spojrzeli na siebie zażenowani. Dalej pytali o dowód, dokumenty, ale ona zamiast odpowiedzieć, znow zaczęła głośno wykrzykiwać: - Bóg kocha cię! Bóg potępi cię! Bóg ukara cię! Bóg przygarnie cię! Bóg pozwoli ci odejść... - „Nie tym razem.” Policjanci zgodnie, biorąc pod uwagę zarówno jej zachowanie, jak i stojącą obok, częściowo opróżnioną butelkę, postanowili zabrać ją na posterunek. Albo lepiej na izbę wytrzeźwień.

+++

- I co teraz? - zapytał żartobliwym tonem.

Jednak wołała, kiedy miał czarne oczy. Bez nich nie był tak niezwykajny. Zwyczajnemu człowiekowi nie dała by się tak traktować. Zwyczajni ludzie źle się jej kojarzyli. Uczucie, które przeszywało ją od stóp do głowy, kiedy z takiego bliska widziała te dwa magiczne, nierealne punkty. To uczucie, które sprawiło, że musi wdychać więcej powietrza niż zwykle. To nieopisane właściwie uczucie, zaczynało jej się podobać.

- „Człowiekiem jestem i nic, co ludzkie nie jest mi obce.” Powiedział jeden z tych wielu samotnych, opuszczonych durniów, którzy po wypiciu czegoś mocniejszego, zaczęli myśleć w dziwny sposób, po czym inni durnie, nazwali to filozofią.

- Dlaczego tak mówisz? - spytała łagodnie, jakby całkiem zapomniła, o tym, gdzie jest, z kim jest i jak się tu znalazła.

- Bo to prawda. Rozwodzą się nad receptami na szczęście, a rozumowanie większości ludzi można zamknąć w jednej sentencji.

- Jakiej?



- Na doła, jak ty to nazywasz, są dwa sposoby: alkohol i, w twoim przypadku, facet.  
Spochmurniała. Znow przywołał jej nie mile wspomnienia.  
- A jeśli to przez faceta? - spojrzała na niego z wyrzutem.  
- To inny facet. - odpowiedział obojętnie.

+++

Nowo postawiony budynek policji miał sprawiać przyjazne wrażenie. No cóż, jakieś wrażenie zrobiło na niej na pewno, kiedy z delikatnie ciemnej nocy świata zewnętrznego, gwałtownie wprowadzono ją do rozświetlonego pomieszczenia. Trudno powiedzieć, czy tylko przez to osłepienie, czy faktycznie recepcja przypominała hotelową. Żadnych krat z jej perspektywy raczej nie można było dostrzec, a była już prawie trzeźwa. Zza szklanych drzwi weszła znajomo wyglądająca sylwetka. Na szczęście, nie udało im się jej ominąć.

- Hej, stary, o co chodzi? - przybysz zza szklanych drzwi zagadnął jednego z prowadzących ją mundurowych.

- Zakłócanie ciszy nocnej. - odparł dumnie.

- W stanie nietrzeźwym. - dodał drugi.

Chłopak popatrzył na nią przestraszonym, a zarazem trochę zdeзорizowanym wzrokiem. Poprosił jednego z tamtych na stronę. Drugi czekał pilnując jej zniecierpliwiony. Tamci rozmawiali prawie szeptem. Dało się zauważyć, że ktoś tu kogoś do czegoś namawia. Hmm... Łapówki w strukturach wewnętrznych? A jednak, obeszło się bez - przekonał go. Wrócili. Tamten z uśmiechem sugerował koledze, że powinni zająć się czymś innym. Ten jednak, przez nagłe zaćmienie umysłowe, upierał się, że nie wie, o co mu chodzi. Szklane drzwi otworzyły się po raz drugi.

- Co się tutaj dzieje, panowie? - spytał basem wyraźnie starszy mężczyzna.

- Nic takiego. - odezwał się „przekupiony”. - Szwagierka przyszła odwiedzić młodszego aspiranta.

- Szwagierka... - zastanowił się chwilę, do czego by się tu przy-czepić. - Na służbie?

- Nie, nie. Właśnie kończę, komendancie. - odpowiedział po-śpiesznie młody.

- A, to w porządku.

Rozeszli się w spokoju. Tak skończyła się jej jedyna wizyta na policji.

+++

Zachłanność z jaką chwilami zerkał w jej stronę, skłaniała ją do zmiany swojego stosunku. Już wcześniej obrała strategię bycia miłej, ba, może nawet więcej. Na facetów to zawsze działa. Poza tym, ten był w sumie niczego sobie. W pewniejszej sytuacji, z przyjemnością by się nim pomanipulowało. W końcu, właśnie to kobiety potrafią robić najlepiej. Posłuchać, popatrzeć, omotać, zabrać to, co się chce i bezkarnie porzucić. Ciężko jest być kobietą.

Jeszcze ciężiej jest być kobietą, która ma serce. Chwilowe nastroje sprawiają pozory. Życie ciągnie się dalej, nastroje się zmieniają.

Wyciągnąć od niego informacje? Tak. Takim kosztem? Nie.

Lepiej nie. Już nie. To było zwykłe nieporozumienie. Nie chciała mieć więcej ofiar na sumieniu. Mimo że w tym przypadku, to ona była jego ofiarą. Tylko jeszcze o tym nie wiedziała.

+++

Adam bez słowa wprowadził ją do swojego mieszkania. Chwi-łowo bardziej dręczył go cały ten przekręt niż to, co się z nią działo. Kawalerka wydawała się być całkiem przytulna, pomi-mo średnio utrzymanego porządku. Wskazał jej na kanapę, po czym sam udał się w kierunku kuchni.

- Kawę, herbatę?

- Nie, dzięki.

Coś w nich drgnęło. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to były pierwsze słowa, jakie ze sobą zamienili od tamtego przy-padkowego spotkania. Zastanawiając się nad tym wrócił do pokoju. Siedziała obojętnie gapiąc się na reklamy. Usiadł obok. Wyłączył telewizor z zamiarem rozpoczęcia rozmowy. Nazwano go w końcu jej szwagrem, choć w praktyce jeszcze nim nie był. Teoretycznie należałoby więc łagodnie wypytać, co się stało i spróbować pomóc, czy chociaż doradzić. Spojrzał na nią

w tej wierze, by coś powiedzieć, ale zamilkł. Jej wyraz twarzy nie przypominał załamanego, zrozpaczonego, czy ogólnie potrzebującego pomocy. Było w niej może jakieś zrezygnowa-nie, obojętność, ale przede wszystkim, to głębokie spojrzenie w jego oczy. Próbowала tym powiedzieć mu więcej niż potrafiła ująć w słowa. Odwrócił się wolno z niepewnością. Chwycił pilot i z powrotem włączył telewizor. Uśmiechnęła się lekko widząc taką reakcję. Czując, że sytuacja robi się kłopotliwa, wstała. Z braku lepszego pomysłu, zaczęła chodzić po pokoju zwiedza-jąc każdy szczegół. Było zbyt późno, żeby wracać do domu. Na samotne włóczenie się po mieście, też by jej nie pozwolił. Pozostało więc zostać tu te kilka godzin do rana. Zawsze w jego towarzystwie powstawało w niej dziwne napięcie. Patrząc na to, kim jest ogólnie, miała ochotę uciec, ale już patrząc głę-biej, chciała tylko zostać. Zwiedzania nastał kres, kiedy doszła do niewielkiego barku, posiadającego część napędową tego dnia. Z ulgą postawiła na stoliku dwa kieliszki i butelkę wina.

- Napijesz się? - zapytała już otwierając.

Spojrzał na nią nieco zdziwiony, ale bez wyraźnego protestu.

+++

Ciepły wiatr lekko rozwiął ich włosy. Delikatnie unióś dłoni i wolno kierował ją w stronę jej twarzy. Cofnęła się o krok. Z tyłu oparła się na kamiennym nagrobku, który ograniczał jej zręczne wycofanie. Zadrżała, widząc, jak bardzo się zbliża. Z zaciśniętymi ustami, jakby przygotowywała się na jakiś ból, zamknęła oczy.

- Stój. - rozkazała.

Bez większego przejęcia się tym, z jakąś kpina, próbował tym bardziej jej dotknąć.

- Stój! - gwałtownym ruchem odtrąciła jego rękę.

Zaczął się śmiać kpiąco.

- Myślisz, że jesteś silna? Nie... Ty tylko udajesz twardą. Uda-jesz, że nie czujesz, że nie masz serca. Wciąż udajesz. - stała z niezmienną lodowatością. - A wiesz dlaczego? Bo je masz. Bo jesteś słaba. Słaba, mała, bezsilna, bezradna, nic nie zna-cząca i nic nie warta!

Zatrzęsła się przy ostatnich zarzutach. Jak on mógł? Kto mu na to pozwolił? Bezkarnie przebił się przez ten mur, który tak długo tworzyła, pielęgnowała przez całe życie. I znow poczuła się naga, obdarta ze skóry, z jakiegokolwiek osłony. Nie chciała się do tego przyznać, ale wiedziała, że ma rację. A może nie miał, ale tylko mu naiwnie uwierzyła?

- Pomogę ci. - powiedział z niezrozumiałą dla niej dobrocią.

- Teraz? - zaśmiała się ironicznie i wzruszyła ramionami. - Te-raz to już za późno.

- Spójrz na to z innej strony: spadochron nie otworzy się jeśli nie zaczniesz spadać.

Dostrzegł w niej zaciekawienie.

- I poniesie cię tam, gdzie wiatr sobie zażyczy... - dodał ciszej. Nie usłyszała tego.

- Jak?

- Przekonasz się... Niedługo.

Może to tajemniczość jego słów stworzyła jej złudzenie, a może rzeczywiście to widziała. Byli na przytulnym cmentarzu. Rozmowa często odwracała od tego jej uwagę, ale teraz sobie o tym przypominała. Kolorowe lampiony stały na grobach - znicze. W nich zwykle spokojnie płonęły topiące się świece. Teraz, równie spokojnie, płomienie odłączyły się od podstaw i jeszcze spokojniej, bo przecież to naturalna sprawa, uniosły się w górę, by następnie równocześnie się rozwiać. Bez sensu.

+++

Rozmgłone drobinki wody unosiły się na wietrze, tworząc gęstą, białą zasłonę. Ciche trawiaste paski ugiwały się pod ciężarem tych opadający kropel. Ale nie były one teraz ważne, nieważne, bo niewidoczne. Powietrze przy silnych powiewach, tańczyło szaleńczo, opętańczo i hałaśliwie bez skrypułów. Tylko po to, żeby zagłuszyć sobą, choć na chwilę, istnienie reszty świata. Nieopanowana moc pochłaniała wszystko, nie pozostawiając żadnego wolnego, bezpiecznego miejsca. I wtedy szarpała i huśtała, nie tylko żdźbłami trawy, ale całymi drzewami. Ale wiatr czasami zwalniał. Zwalniał tak, że nagie gałęzie tych drzew ledwie się o siebie ocierały.

Ta delikatność, ta wrażliwość, przywoływały na powrót gwałtowność. Wątle korzenie nie wytrzymały. Majestatyczne drzewa runęły obnażając swoją słabość. Niebo nagle ściemniało. Tylko niewyraźne kształty malowały się w pozostałym świetle księżyca. Wielki ciemny obłok, jakiś potężny cień, opadał i ginał gdzieś pośród lasu. A mgła unosiła się coraz wyżej i wyżej...

Otworzyła nieprzytomnie oczy. Pierwsze promienie słońca wdierały się przez okno wprost na nią i kazały się ocknąć. Nie było to jednak miłe przebudzenie. To nie był jej pokój. Nie jej okno wpuszczało światło. Nie jej budzik tykał w tle ciszy. To nie było jej łóżko! Odwróciła się przerażona. Jej obawy okazały się być prawdą. Zszokowana wycofując się spadła z łóżka. W tej chwili zdała sobie sprawę, że jest naga. Rozejrzała się nerwowo. Pośpiesznie pobierała i wciągnęła na siebie swoje rozsypane po pomieszczeniu ciuchy. Nie była wybitnie cicho, ale zdążyła wybiec z mieszkania zanim się obudził.

+++

- Nawet się nie pożegnałaś. Spojrzała na niego zaskoczona. Wyglądało na to, że nie tylko znał jej życiorys, że nie tylko znał ją samą, ale też w tej chwili dokładnie wiedział, o czym myśli. Znów zastanowiła się, kim jest ten prześladowca. Dlaczego miał tak specyficzny wygląd? Właśnie taki, żeby przyciągał jej uwagę. Czarny. Schodząc wzrokiem w dół, po prostej linii ciemnych włosów, wydawało się, że płaszcz jest jej równym przedłużeniem. Nie skórzany, wcale nie. Płaszcz był jakby nie z tej epoki. Jedwabny, ciemno szary, z wielkim kapturem. Sprawiał wrażenie przynależności do jakiegoś średniowiecznego zakonu. Całkiem niedawno tworzył dobry, innego typu kamuflaż. No i glany. Dlaczego właśnie glany? Nie wiem, mógłby mieć trampki, czy coś. Ale nie. Też nosiła glany, dlatego tak ją to kuło w oczy. Ze swoimi była raczej związana. Glany, to coś, co najlepiej trzyma przy ziemi.

Nagle przypomniała sobie, że on wie, o czym ona myśli. Spojrzała niepewnie wyżej. Z trudem próbował powstrzymać parsknięcie śmiechem. Dobra, cięcie. Jeszcze raz.

- Nawet się nie pożegnałaś. - oznajmił poważnie po raz drugi, udając, że tej sytuacji nie było.  
- Zbyt wiele razy się zęgnalam. - odpowiedziała równie poważnie, odchodząc zarazem od tematu.  
- To świadczy o tym, jak bardzo się boisz.  
- Nie boję się śmierci. - oburzyła się.  
Po zastanowieniu dodała:  
- Wiesz o tym.  
- Dobra, masz rację. Żle to ująłem. Nie boisz się śmierci, tylko utraty życia.

Zniesmaczyła się. Przecież on wiedział, jak wygląda jej życie. I czegoś takiego miałaby nie chcieć stracić? Przecież ona tego życia nienawidziła.

- Czujesz to...? - zaczął zachęcająco. - Czujesz...? Ten uśmiech, w który układają się usta, ten dreszcz przechodzący przez każdą, najbardziej skrytą część ciała, ten przyjemny bezdech i rozszerzenie się żrenic... Czujesz to na samo słowo „śmierć“?

Uśmiechnęła się mimowolnie. Sama się zdziwiła.  
- Wiesz, - teraz wyrażał jakąś nieopisaną lekkość. - podjęcie decyzji jest słabością. - przymknął powieki, wystraszając spojrzeniem. - Siłą jest doprowadzenie jej do skutku.  
Poczuła dziwną dla niej skrucę. Nigdy tego nie zrobiła, choć wielokrotnie o tym myślała. Do przodu w swych planach musiała się posuwać stopniowo, by teraz, w tym właśnie momencie, stwierdzić, że niepotrafiłaby tego zrobić.  
- Już ci mówiłem, że jesteś słaba.

+++

Wskaźniki zegara poruszały się ociężale. Czas zawsze płyna innym tempem niż powinien. W tym wypadku, zdecydowanie za wolno. Mechanizm wydał wreszcie głośniejszy dźwięk dostawiania wskazówki. Było równie południe. Wstała z ławki. Szła szybkim i stanowczym krokiem. Mimo że siedziała tam jakieś pół godziny, nagle wyglądała, jakby się spieszyła. Nie

przywykła chodzić wolno - życie nauczyło ją inaczej. Doszła na swój peron czwarty, by tam, w oczekiwaniu na autobus, przesiadzić następne 15 min. Kręciła się wzdłuż niego i rozglądała niecierpliwie na wszystkie strony. Dzięki temu od razu zauważyła postać Adama wychodzącą daleko zza zakrętu. Przeklinając pod nosem siadła nerwowo i naciągnęła kaptur najniżej jak mogła. Wbiła wzrok w ziemię. Modliła się, żeby jej nie zauważył.

W jej celowo zawężonym polu widzenia, pojawiły się znajome już skądś buty. Nie ruszała się nadal mając nadzieję, że przejdzie dalej. Nie zrobił tego. Schylił się i szybkim ruchem ręki ściągnął jej kaptur. Drgnęła. Zaczęła szybciej oddychać. Łagodnym, ale zdecydowanym gestem uniósł jej podbrudek, kierując twarz prosto na siebie. Wstała odruchowo. Z przerażeniem dostrzegła w jego oczach surową powagę, dotyczącą każdej, wykonywanej przez niego czynności.

„Gdzie ten cholerny autobus, powinien już dawno tu być...” - myślała nerwowo. Jak na życzenie zadźwięczał głośnik: „Autobus odjeżdżający z peronu 4 o godz. 12.15 zostanie opóźniony o 15 min. Przepraszamy za problemy.”

Ze strachem, przełykając ślinę, oczekiwała na jego dalsze posunięcie. Wzrok niespodziewanie mu złagodniał. Z jakimś westchnieniem zaczął się jej przyglądać. Delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy. Zamknęła oczy. Czuła na skórze ciepły dotyk jego dłoni.

- Przestań. - powiedziała, wolno odsuwając jego rękę.

- Wiem, że trochę nie tak to wyszło...

- Pamiętasz, co się tam stało? - przerwała nie chcąc dopuścić do tłumaczenia.

- A ty nie? - zdziwił się.

- Trochę... - spóściła wzrok, pamiętała dużo więcej niż trochę. Widział to czego nie mówiła. Wiedział, że nie jest jej z tym łatwo. Objął ją ramieniem i przycisnął do siebie. W pierwszym momencie nie stawiała oporu. Nawet zdawało się, że sama do niego Ignie.

Jakieś dziwne uczucie ją ogarnęło. Dyskretnie spojrzała mu przez ramię. Jej uwagę przykuła osoba stojąca na oddalonym o kilka innych peronie. Ciemnowłosego chłopaka kierował wzrok w ich kierunku. Pamiętała go. Czuła, że patrzy dokładnie w jej oczy. Jakby coś do niej mówił tym spojrzeniem. Jakby o coś ją prosił. Jakby coś jej kazał...

Gwałtownie się wyszarpała.

- Przestań! Nie! Rozumiesz? Nie. - krzyczała rozpaczliwie w stronę Adama.

- Ale... - spróbował się bronić.

- Nie! - przerwała mu znowu. - To był tylko sex. - wypowiedziała gorzko i nadal głośno.

Wszyscy ludzie wokół jednocześnie odwrócili się w ich stronę. Spóźniony autobus stanął wreszcie na peronie. Przestraszyła się zarówno jego tkliwym wzrokiem, jak i tylu spojrzeniami obcych osób na raz. Przez chwilę czuła na swojej dłoni inną, niechętnie wypuszczając ją dłoń. Obróciła się, mimo wszystko. Odchodząc zabaczyła tę dłoń nadal wyciągniętą w jej stronę. Taki gest odprowadzania ręką. Z tym widokiem przed oczami wsiadła do autobusu.

+++

- Znowu coś się stało?

Kiwnęła zażenowana głową z wyraźnym „- Bardzo śmieszne.” w spojrzeniu. Ironia? Sarkazm? Hmm... Życie. Dla niej nie było ono śmieszne. Mogłaby to zmienić? Teoretycznie tak, w praktyce, no cóż, nie udało się. Wiedział o tym dobrze. Ona też wiedziała, że on wie. Z niewiadomych jej przyczyn, wiedział wszystko. Jaki sens miała więc dalsza rozmowa? Ona nie wiedziała wszystkiego.

- A gdybym jednak wtedy odeszła?

- To co?

- No co?

- No nic.

- Jak to nic?

- Zwyczajnie. Świat by się nie zawalił, słońce by nie zgasło, gwiazdy by nie spadły, wiatr wiałby nadal, a ludzie żyliby dalej - nic.

- Więc nic nie znaczę. - powiedziała do siebie z zimnym rozczarowaniem.

- A czego ty się spodziewałaś?

Uśmiechnął się i błysnął czarnymi „szkiełkami”. Schyliła głowę, jako zwyczajny, mały człowiek. Rozmazala sobie obraz przed oczami. Bo po co go widzieć, był tak samo nieważny jak ona. Drobną pyłką na wietrze. Trzcina. Tak, ale trzcina myśląca... Tylko po co? Powinna była to zrozumieć dawno temu. Powinna była przyjąć swój nudny los z pokorą i nie stawiać się zawsze w centrum. Raczej w kącie, w cieniu, zakurzona za pajęczyną. Zależna od woli pajaka.

Nie... To już przesada. To byłoby tym bardziej bez sensu. Może i jest słaba. Może jest nikim. Ale przecież nawet mały człowiek, potrafi wiele zdziałać. Wystarczy, że chce...

- Przeczytaj. - wyrwał ją z zamyślenia.

Wyostriła obraz i dostrzegła wśród drobnych pikseli, wyróżniający się celowo napis. Przeczytała posłusznie. Niewiele to zmieniło.

- Kto to jest?

- Był. - poprawił ją. - Jej historia jest długa, inna od twojej i nie na temat.

- Nie znam jej. - dodała obojętnie.

- O tobie też ktoś tak kiedyś powie.

Miał rację. Więc taki jest koniec? Zapomniana i nieznana. To wszystko? Chciała, żeby ją pamiętali. Nikt jej nie znał za życia, więc chociaż po śmierci ktoś mógłby się zainteresować. No tak, trzeba było tylko zrobić coś, co zwracałoby uwagę. Tylko co...?

Wiatr zmienił kierunek. Powiał mroźnym powietrzem. Coś się zmieniło. Musiało. To trwało zbyt długo. Jakaś czerń opadła z góry. Wmieszała się w przestrzeń, powodując zszarzenie krojobrazu. Suche liście zawirowały tylko po to, by opaść. Światła zgasyły już wcześniej. Słońce nabrało srebrnego koloru szarości. Bładość jego twarzy, z dwiema czarnymi dziurami na sobie, biła po oczach. Nastąpiła grobowa cisza.

+++

Weszła do domu najzwyczajniej w świecie. Dom uchodzi powszechnie za miejsce bezpieczne, izolację od zewnętrznych problemów. Być może tak jest. Wewnątrz tworzą się za to inne problemy. By je porzucić, teoretycznie wystarcząby więc wyjść z domu. Teoria, jak wiadomo, rzadko się sprawdza. Ledwie zdarzyła zdjąć kurtkę, już przywitała ją kochana siostra.

- Co to ma znaczyć?! - wrzasnęła jej prosto w twarz.

Wystarczyłoby jedno nieostrożne słowo, a z pewnością by ją uderzyła. Nie odpowiedziała więc nic. Zdezorientowana, przestraszona i zdziwiona rozglądała się pytająco, być może, przy okazji obmyślając plan ucieczki.

- Nie patrz tak na mnie, jakbyś nie wiedziała, o co chodzi... - syczała niemal przez zaciśnięte zęby. Nawet grubo nałożony puder nie był w stanie ukryć jej czerwieniacej się na twarzy złości. - Ja wiem. Adam był tu rano...

- Ale...

- Milcz! - złapała się wściekła za głowę. Miała ochotę ją zjechać jakimś wywiskiem, ale wszystkie wydawały się jej teraz za słabe, bo już wcześniej je względem niej zużyła. Oddaliła się o krok, a potem znów zniżając ton wysyczała: - Gdybyś nie była moją siostrą, już dawno bym cię zabiła.

Drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie.

- Co tu się dzieje? - spytała matka. - Gdzie byłaś? A ty, czemu tak na nią krzyczysz?

- Dziwisz się? - odezwała się Wiktoria. - Jak ty byś się czuła, gdyby nażeczony z tobą zerwał i powiedział, że woli twoją siostrę?

- To prawda?! - zwróciła się w szoku do oskarżonej. - Jak mogłaś...

- To tłumaczy od razu, gdzie była. - dodała Wiki uśmiechając się mściwie.

Bezbronna przestępczyni kurczyła się pod złowrogimi spojrzeniami, najbliższych jej przecież, osób. Ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem, też próbowała im odkrzyczeć:

- To nie ja! To on! To jego wina! Ja nie chciałam...

- Jakkolwiek byś to wytłumaczyła, - zaczęła zimno matka. - nie zmienia to faktu, że to, co zrobiłaś siostrze jest...

- Przestań mnie pouczać! - wrzasnęła na matkę. - Jakim prawem mnie pouczasz? Jakbyś sama była lepsza.

Matka spoliczkowała ją. Ona jednak nie przestała.

- Przecież mam rację. Kim jest mój ojciec, co? Żonatym face-

tem, z którym się przespałaś, który potem bez skrupółów cię zostawił, nas zostawił! I gdzie jest teraz? Pewnie nawet nie wiesz...

Nie odwrzasnęła jej na to, ani nie uderzyła, jak się spodziewała. Spóściła tylko wzrok i powiedziała gorzko:

- Twój ojciec nie żyje.

- Jak to nie żyje? Takie bajki mogłaś mi kiedyś opowiadać, teraz już za późno! Przecież dobrze wiem, jak to było...

- Zamknij się! - krzyknęła ukazując czerwoną twarz, po której spływały łzy. - On nie żyje! To nie było tak, jak myślisz. Wczoraj miał wypadek samochodowy. Tu, niedaleko, w lesie. Jechał do nas. Chciał cię poznać ze swoją ślubną córką...

Jakoś dziwnie ją zamroczyło. Składała ze sobą fakty. Wszystko się zgadzało, układanka była prosta. Stała tak przez chwilę osłupiała. Trzęsąc się kręciła przecząco głową. Z trudnością próbując normalnie oddychać, wybiegła z domu. Dobrze, że nie zdarzyła wcześniej zdjąć butów.

+++

Nie odsunęła się tym razem. Nie odsunęła się, bo nie mogła. Jego wzrok ją paraliżował. Jakiś straszny lęk przed nim wdarł się w nią z większą mocą niż poprzednio. Jeszcze przed chwilą byłaby skłonna mu zaufać, ale teraz, bała się. Niemal czuła, jak coś wyrastającego z ziemi, oplata się wokół jej nóg. Coraz gęściej, coraz mocniej i coraz wyżej. Chciała się ruszyć, wyrwać, wyplatać z tego czegoś. Nie dała rady. Chciała krzyczeć, ale nie potrafiła wydać z siebie jakiegokolwiek dźwięku.

A on oglądał ją ponętym wzrokiem. Całą. Tak dokładnie. Upajał się jej widokiem. Wdychał jej zapach. Zbilżył się do niej tak, by mogła odczuć na swojej skórze jego chłodny oddech. Dręczył ją tym jak najdłużej, by jak najwyraźniej widział na jej rozchylonych ustach, z jakim trudem łapie powietrze.

- Jestem tu... - szepnął jej do ucha. - Przy tobie... Jak za-

wsze... - okrążał ją blisko, cały czas utrzymując w napięciu, szeptał raz z jednej, raz z drugiej strony, a jego słowa wchodziły do środka jej głowy, zakorzeniały się tam, wypierały wszystkie inne myśli. - Jestem twoim... aniołem stróżem... To ja cię bronię... Przed światem... Słucham cię zawsze... Pomagam ci wybrać... Nie pozwolilibym... żeby przytrafiło ci się coś... czego tak naprawdę nie chcesz... To ja wyznaczam twoją drogę... Bo jesteś moja... Zawsze byłaś... i będziesz... Moja... Do końca... Do końca wszystkiego...

Zamknęła załzawione z bólu oczy. Łzy zdawały się spływać po wewnętrznej stronie skóry. Kruszyły złodowaczone tkanki napiętych przez bezlitosne skurcze mięśni. Jej ciało się rozpadało? Nie widziała, ale mogłaby przysiąc, że jest teraz w stanie się potłuc. Krew - czuła jak wylewa się z niej wszelkimi możliwymi otworami. Padał deszcz, ale wszystkie dostępne zmysły podpowiadały, że to nie woda. Być może skraplała się na nią jej własna krew. Niestworzone zimno rozeszło się po całym jej ciele. Niektórych jego części nie była w stanie już w ogóle czuć. Ból wlewał się w nią, począwszy od miejsca, w którym coś parzącego zimnem dotknęło jej ust. Czuła nimi miękką konsystencję tego czegoś. Czuła, zanim i one zamarzły.

+++

- To tutaj.

Dwóch mężczyzn spojrzelo we wskazanym przez dziewczynę kierunku. Z drzew nadal spływały krople wody - pozostałości po wczorajszym deszczu. Ziemia była strasznie rozmoczona i ich buty zapadały się w błocie. Szczerze nie byli zadowoleni, że akurat dziś wypadła im służba i że akurat oni musieli się wlec w takich warunkach, za szokowaną studentką, przez połowę lasu.

Na skraju lasu, pod potężnych rozmiarów drzewem. Coś było tuż przy nim, schowane w jego konarach. Nie ruszało się. Podeszli bliżej. Było tam mokre, całe w błocie, oparte o pień ciało młodej dziewczyny. Martwe ciało. Spojrzeli na siebie zakłopotani.

- Biegłam tędy, jak codziennie rano i ją zobaczyłam. Wystraszyłam się. Od razu pobiegłam z powrotem i zadzwoniłam po policję. Nie wiedziałam co robić... - mówiła tłumacząc się przerażona blondynka przyodziana w modny dresik. To tłumaczenie zakłopotalo ich jeszcze bardziej. W końcu jeden z nich podszedł i pochylił się nad ciałem. Ostrożnie odgar-  
nął z twarzy mokre włosy. To wywołało krzyk za jego plecami.



Miała szeroko rozwarłe oczy i... całe białe gałki oczne.  
- Z pewnością nie żyje. - skomentował to stojący obok partner.  
Wyciągnął telefon i wezwał kogo trzeba:  
- ...mamy tu ofiarę samobójstwa.  
Drugi policjant spojrzał na niego zaskoczony.  
- Skąd wiesz, że to było samobójstwo?  
- A niby co? - spojrzał z pogardą na ciało. - Rozejrzyj się.  
Przecież nie morderstwo, a tak po prostu ludzie nie giną.  
Nie spodobały mu się słowa kolegi, ale nie chciał mu tego wprost okazywać.  
- Nie widać żadnych poważnych ran...  
- Pewnie wzięła jakieś prochy, co to mało teraz takich?  
- Ale dlaczego? - zapytał smutno.  
- Powód? Jak zawsze: miłość... - wypowiedział ironicznie. -  
Chłopak ją rzucił i już, widzisz. Ta młodzież...  
- Szkoda... - delikatnie przytknął dłonią nieżywe już powieki  
oczu.  
- Nie dotykaj! Muszą i tak zrobić to rutynowe śledztwo i w  
ogóle...

+++

- Żegnaj, kochanie. Naprawdę cię lubiłem. Będzie mi ciebie  
brakowało... Ale nie martw się. Jakoś sobie poradzę...

+++

- Niech aniołowie mają jej duszę w swojej opiece. - odezwała  
się stojąca z tyłu i dotychczas przysłuchująca się rozmowie  
dziewczyna.  
Dopiero teraz sobie o niej przypomnieli.  
- Możesz na razie iść. Jeśli będzie to potrzebne, ktoś skontak-  
tuje się z tobą później.  
Dziewczyna kiwnęła tylko smutno głową, po czym zebrała się  
do odejścia. Ostatni raz spojrzała jeszcze na straszny obraz,  
którym rozpoczęła dzisiejszy dzień. W jej oczach pojawił się  
jakiś dziwny, czarny błysk...  
Odchodziła cicho szepcząc pod nosem:

*„Aniele Boży, stróžu mój,  
Ty zawsze przy mnie stój.  
Rano, wieczór, we dnie, w nocy,  
Bądź mi zawsze do pomocy.  
Broń mnie od wszystkiego złego  
I zaprowadź do żywota wiecznego...”*

Amen.

**Dae**

*Opowiadanie brało udział w konkursie SBS#2*

Dym z ogniska rozpalonego na wilgotnych sosnowych gałązkach mocno gryzł w oczy wywołując pieczenie i łzy.

— Do diabła z taką wieczera! — mruknął Dardin wycierając twarz w swoją długą krasnoludzką brodę.

— Nie przesadzaj, sam chciałeś upiec to jagnię przy ognisku — przypomniał Gorrin chrupiąc zębiskami piszczel owieczki i wysysając z niej szpik.

— Tak, ale nie w takich warunkach, idioto — warknął Dardin zmieniając pozycję, bo od leżenia ścierpły mu nogi.

— Nazwij mnie jeszcze raz idiota, a poczujesz tę drzewo na grzbiecie, kurduplu! — odrzekł barbarzyńca podnosząc nabijaną świekami maczugę.

— Chłopcy uspokójcie się — przerwał pojednawczo Casterdall — bo obu zamienię w moje onucę, a o tym chyba nie marzycie co? — zaśmiał się mag.

— Caster to wcale nie taka zła myśl — powiedziała wylaniając się z mroku Avan'arad — Zresztą Gorrin ma rację, nie przesadzaj mości krasnoludzie, bo gadasz jak baba.

— I kto to mówi wielmożna księżniczko — zripostował Dardin

— Zatyłuj mnie tak jeszcze raz, a wepchnę ci ten sztylet w... oko.

— Uspokójcie się wreszcie — wtrąciła się do tej niezwykle miłej konwersacji Lyndaryia — wkoło ani śladu żywej duszy.

— Świetnie, proszę usiądź — śmiech rozjaśnił rześką twarz maga.

Siedzieli wszyscy przy ognisku — każdy, na czym miał — oświetleni nikłym płomykiem pełgającym po szczapach sosnowych. Gdyby nie to, że z rzadka ktoś chrząknął czy wyciągnął się można by pomyśleć, iż to postacie w posągi zaklęte, a nie koczownicza banda zbójów napadających świątynie, wioski, grabiąca nekropolie oraz miejsca pochówku i utrzymująca się z tego, co zagrabi. Wbrew pozorom nie byli na wskroś źli, ale każdy na swój sposób próbował przeżyć w świecie ogarniętym chaosem i walką. W tej chwili ciszy każdy myślał o tym jak los pokierował jego krokami skłaniając do wstąpienia w szeregi owej szajki.

Pierwszy samotnego życia zakosztował Gorrin. Włóczył się po lasach i gościńcach po tym jak zabił swego dowódcę w wojskowym garnizonie. Poszło o błahostkę — dowódca oszukiwał przy grze w kości. Być może Gorrin dogadałby się z przełożonym, gdyby ten po przyłapaniu na szachrajstwie nie próbował go zabić w przepływie urażonej dumy.

Po tamtym wydarzeniu były żołnierz krył się przed pościgiem, próbując jednocześnie walczyć o byt.

Następnie do Gorrina przyłączył się Dardin, który zwiął od grupy swych pobratymców idących w góry, aby pracować w sztolniach i żupach. Tak to już, bowiem jest w krasnoludzkim rodzie, że każdy, kto jest na tyle silny by udźwignąć kilof oraz machać nim wydajnie zostaje wysiudany z domowych pieleszy w twarde warunki pracy w górach. Dardin, więc po krótkim namyśle odłączył się od znajomych i pragnąc zakosztować wesołego żucia hulaki po niedługiej tułaczce przyłączył się do Gorrina. Od tamtej pory byli nierozłączni, a mimo, że ich sprzeczki stały się już przysłowiowe jeden za drugim, by w ogień skoczył.

Odtąd podróżowali razem, razem też się kryli, gdyż po tym, co zrobili pewnemu możnowładcy, który podczas postoju wysiadł z karety, aby się wyszczać, ścigał ich kwiat rozbójników najętych przez biednego barona w pragnieniu zemsty.

Podczas jednej z takich ucieczek, gdy skryli się w gąszczu przed pogonią usłyszeli jęk. Tak to poznali Casterdalla — maga tułacza, który opuściwszy uczelnię z powodu panującego w niej rygoru ruszył w świat. Daleko jednak nie zaszedł, gdyż będąc kompletnie nie obytym w sprawach przeżycia został potężnie poturbowany przez wilki.

Dwóm rozbójnikom spodobał się młodzieniec, więc po opatrzeniu i wyleczeniu postanowili przyjąć go do siebie, a i on sam chętnie na to przystał widząc, że jego szanse przeżycia wzrosną diametralnie.

Tak, więc grupa wędrownych łupieżców powiększyła się. Kolejnymi rozbójniczkami, które zasiłowały szeregi grupy były Avan'arad i Lyndaryia. Ta pierwsza była elfią księżniczką, ale stanowczo zakazywała komukolwiek o tym mówić. Jej rodziciele, bowiem wybrali córcę męża, który — w ich mniemaniu — sta-

nowił dobrą partię, dla elfiej magnatki. Ta jednak wcale tak nie uważała, więc podczas rodowego polowania na dzikie zwierzęta, które miało poprzedzić ceremonię niechcianych zaślubin, uciekła spod oka pilnującej jej matrony.

W drodze spotkała załamaną sylfidę (sylfidy powstawały z połączenia krwi driad i elfów), która nie mogła się otrząsnąć po stracie rodziny, zamordowanej przez kmieci w odwecie za zabicie pijanego chłopca wracającego z karczmy, który dobierał się z łapami do Lyndaryi. Rzecz jasna jej bracia nie tylko nie puścili tego płazem, ale także zagalopowali się trochę pozbawiając pijaczka życia. Spod ręki mściwych kmiotów z życiem uszła tylko Lyndaryia, której nie było wtedy w domu.

Dziewczyny od razu przypadły sobie do gustu postanawiając włóczyć się od tej pory razem. I właśnie w czasie takiej tułaczki spotkały Gorrina, Dardina i Casterdalla. Z początku trzymały się z boku niepewne zamiarów trzech samotnych mężczyzn.

Nie wiedziały czy nie tułali się on zbyt długo samotnie po lasach i gościńcach. Gdy jednak pewnego razu ci samotni mężczyźni obronili je podczas napaści dziwnej bestii leśnej zwanej marthorem przekonały się do nich. Tym samym skrytali się ich szajka, jakich pełno było w tych stronach i w tych czasach. Jak już się rzekło, czynili rzeczy nie do końca prawe jednak ich nietypowy kodeks moralny, który wypracowali sobie z czasem sprawiał, że nie byli skończonymi mętami jakich mrowie było w tych czasach i tych stronach.

Właśnie spożywali jagnię skradzione pewnemu pasterzowi, jako że ostatnio nie zgrabili niczego, co mogłoby zapewnić im jakąś ciepłą strawę. Siedzieli tak już dobrą godzinę, kiedy ktoś — Casterdall chyba — zaproponował Dardinowi i Gorrinowi opowiedzenie, któregoś z ich pierwszych przygód.

— Ale przecież znacie je wszystkie na pamięć — wzbraniał się niemrawo Dardin.

— Ja tam mogę coś rzec, w końcu spotkanie nasze było co najmniej ciekawe, a jeśli tobie nie chcę się strzepić pyska po próżnicy, to go stul karzełku — zaproponował Gorrin i nim krasnolud zdążył zareagować na obelgę jął snuć opowieść.

\*\*\*

Potężnie zbudowany mężczyzna oparłszy się o pień drzewa szarpał zębami spory barani udziec. Nie piekł jedzenia bał się, bowiem rozpałać ogień. To, że starannie ukrywał ślady, a głosów tropiących go żołnierzy nie słyszał od dawna wcale nie znaczyło, że ich zgubił. Mogli — zwiększwszy dym — odnaleźć go w okamgnieniu i wymierzyć karę z mord i dezercję. Gwoli pewności postanowił, więc pomęczyć się z surowym mięsem.

Właśnie miał zapaść w drzemkę — z ćwiekowaną maczugą tuż pod ręką — gdy z okolicznych krzaków dobiegł go szelest i przekleństwo.

— ... by strzelił, te przekłete ciern... — zdążył wymówić nowoprzybyły, gdy urękawiczona dłoń chwyciła go za gardło. Osobnik, który go złapał przyłożył mu sztylet do krtani i wyszeptał upiornym głosem w ucho:

— A gdzie twoi kompani? Jak daleko za tobą? Długo mnie szukacie?

Duszony mężczyzna zdołał się wyszarpnąć z objęć napastnika i wyjmując zza pasa spory topór wyrzeszczał:

— Odbiło ci! Nikogo nie szukam! Nawet cię nie znam człowieku!

Uciekinier zlustrował w zdumieniu postać stojącą tuż przed nim. Był to krasnolud mający — jak wszystkie krasnoludy — brodę sięgającą pasa i, jak wszystkie krasnoludy — solidnie kutą topór w dłoniach. W tym momencie przypomniało mu się, że w garnizonie, w którym służył do niedawna, nie było żadnego krasnoluda, a trudno było mu uwierzyć, iż żołnierze szukając go przyjmą do pomocy w pogoni obcych.

— Przepraszam bardzo, cny brodaczu. Musiałem pana z kimś pomylić.

Brodacz nie wydawał się usatysfakcjonowany odpowiedzią.

— Pomylić? Czy ja wyglądam na głupiego? — odparł nie chowając ni bronie, ni urazy.

— Jeżeli pan nie odłoży tego żelastwa to nie tylko będzie pan wyglądał na głupiego, ale stanie się takim w rzeczywistości — warknął dezertier

wystraszone krzykami krasnoluda mogącymi ściągnąć mu na kark tropicieli.

Ale krasnolud, jak to krasnolud raz wyjętej bronie nie zwykł chować bez przyczyny.

Człowiek uniósł, więc swoją maczugę i przyjął postawę bojową. Stali tak przez chwilę mierząc się wzrokiem, ale nie wykonując żadnego ruchu. Cisza, jaka zaległa wokoło pozwała usłyszeć bzyczenie muchy. Wreszcie przerwał ją donośne pierdnięcia krasnoluda, który zatykając broń za pas rzekł:

- Pan wybaczy, ale stojąc tu tak, jak nie przymierzając psu jaja wyglądamy niczym idioci.
- Racja – przytaknął żołnierz również chowając maczugę.
- Zwą mnie Dardin – oznajmił krasnolud wyciągając dłoń.
- Gorrin, do niedawna żołnierz garnizonu spod Barrelety – odrzekł mężczyzna potrząsając kończyną Dardina.

\*\*\*

- No, a potem zacząłeś mnie zagadywać – zaśmiał się ironicznie Dardin.
- Gówno prawda brodaczu, bo było dokładnie odwrotnie – zaproponował natychmiast Gorrin
- Spokój! Przywyczailiśmy się, że nigdy nie możecie się zgodzić, co do końca waszej opowieści – uciął Casterdall uprzedzając rękocyny przyjaciół – chciałbym też przypomnieć wam, że nazajutrz wyruszamy na nekropolię Yvestha, więc radziłbym zachować siły na jutro.

Reszta wieczoru upłynęła bandzie na rozmaitych konwersacjach, których lwia część pochłaniały kłótnie Dardina i Gorrina.

\*\*\*

Świt zastał rozbójników śpiących wokoło wygaśniętego ogniska. Jako pierwszy obudził się Dardin, któremu posłanie przemokło rosą. Podniósł się niemrawo i ujrawszy śpiących towarzyszy począł ich budzić nie przejmując się zbyt delikatnością. Szturchnął i potrząsał, aż wreszcie wszyscy – mniej lub bardziej przytomni – poczęli przygotowywać się do drogi. Jako, że mieli w tym wprawę spakowali się szybko i zatarłszy po sobie ślady ruszyli w stronę nekropolii.

\*\*\*

Odór unoszący się w powietrzu mdlił i przyprawiał o zawroty głowy. Smród bił falami od sporej marmurowej budowli znajdującej się na wzniesieniu. Ząb czasu porządnie nadgryzł już ów budynek, ale wciąż widać było po nim, iż po wybudowaniu pysznił się majestatycznym wyglądem i chlubił przepychem. Nie do końca było jasne, dlaczego podzielił los wielu innych nekropoli porozrzucanych po kraju jak kwiaty na łące – stał się podniszczoną rudą zapomnianą, zdawałoby się – przez samych bogów.

Rozbójników, którzy wspinali się na szczyt wzniesienia, w gruncie rzeczy mało to obchodziło. Liczyło się dla nich to, że nekropolia była opuszczona, oraz fakt, iż najprawdopodobniej nikt jej jeszcze nie splądrował – po prostu leżała odłogiem na pustkowiu, gdzie rzadko, kto zapuszczał się z premedytacją.

Dotarłszy do wrót budynku nie zatrzymywali się przystępując natychmiast do realizacji ustalonego z góry planu. Takich napaści mieli za sobą wiele tak, iż każdy doskonale wiedział, co ma czynić i co w jego obowiązku leży. I tak, Dardin i Gorrin jako najwprawniejsi wojownicy szli przodem, Lyndaryia i Avan'arad stanowiły część środkową, a tyły zamykał Casterdall.

Podartymi uprzednio na pasy szmatami owinęli twarze, aby choć prowizorycznie i powierzchownie chronić się przed smrodem. Spory kawał materiału przytroczyli do drewnianej gałęzi, całość zaś natarli żywicą drzewną. Taką to naprędce skleconą pochodnię podpalili za pomocą hubki i krzesiwa, po czym dobywszy broni, przekroczyli próg świątyni. Żrenice – nieprzywykłe chwilowo do ciemności – po wejściu z jasnego ranka w mroczne marmurowe ściany pokazywały rozbójnikom kręte korytarze z gładko ociosanych kamiennych płyt. Na ścianach, w regularnych odstępach zamocowane w metalowych uchwytych przytwierdzonych do ściany, spoczywały pochodnie, teraz, rzecz jasna wygasłe. Widać jednak było okopcone ślady nad nimi z lat dawnej świetności. Drużyna wędrowała powoli, po każdym kroku rozglądając się na boki, aby zauważyć jakiegokolwiek ruch, bądź ewentualne łupy. Nie odzywali się do siebie, wydając z rzadka ciche pomruki

spod cuchnących szmat.

Kroczyli już tak dość długo – złupiwszy do tej pory kilka srebrnych kielichów i złoty pierścień, znalezione w skalnej niszy – kiedy korytarz podobny do setki innych korytarzy, które mijali rozwidlił się w dwie strony. Podczas takich wypraw mieli jedną, żelazną zasadę – nie rozdzielali się. Tak też zrobili i teraz. Po krótkiej naradzie wybrali stronę prawą. Powód był jak zwykle w takim przypadku prozaiczny: stamtąd odór szedł tak przykry, iż mimowolnie powodował odruchy wymiotne, więc założyli, że to tam umiejscowione są grobowce, a co za tym idzie – łupy.

I to był ich pierwszy błąd.

Zrazu tunel nie wyróżniał się niczym od pozostałych zwiedzonych tego dnia oprócz faktu, iż wyraźnie się zwężał – na końcu jego szerokość była tak mała, że dwóch mężczyzn nie mogłoby stać w nim obok siebie. Następnie zaś trafili do małej sali. Jej ściany pokrywał dziwny materiał – błyszczący i falujący pomimo braku jakiegokolwiek ruchu powietrza. Znać jednak było po nim, iż był równie stary, co reszta wystroju nekropolii, na brzegach zasłony szczyrzyły się, bowiem strzępionymi, a tu i ówdzie przez sporą dziurę prześwitywał mur. Z niej zaś mieli tylko dwa drogi – zawracać, albo iść na przód. Żadni zdobywcy parli na przód nie zważając na nic. Kolejnym etapem wędrowki okazały się być schody, w które to przechodził po kilkunastu metrach korytarz. Były one dość strome – na tyle, by jeden nierozważny krok mógł posłać schodzącego wędrowca ze złamanym karkiem w niebyt – a zalegająca je warstwa kurzu liczyła już sobie kilka centymetrów grubości. Fakt, iż nie widniały na niej żadne ślady ludzkiej lub nieludzkiej bytności uspił ich wrodzoną czujność na tyle, ażeby schowali broń i mniej nerwowo napinali mięśnie.

To był ich drugi błąd.

W końcu trafili tam gdzie chcieli – stopnie kończyły się ogromną, kwadratową salą kutą – bez wątpienia rękami niewolników przez lata – w litej skale, której odległa o kilkaset kroków tylna ściana ginęła w półmroku. Byli głęboko pod powierzchnią ziemi, panował tam zaduch, a odór był tak lepki i gęsty, iż zdawało się im, że mają w gardłach brudne worki. I tak pewnie było. Fetor dobywał się z kilkunastu marmurowych sarkofagów leżących rzędami na ziemi, wśród filarów podtrzymujących sklepienie. Niektóre z wiek były położone krzywo lub zgoła obok, jak gdyby kładziono je w wielkim pośpiechu. Na ten widok oczy wędrowców rozbiły. Dardin zaś zarzucając wszelkie normy bezpieczeństwa rozejrzał się wokoło z pazerną miną i niemal krzyknął, głosem odbijającym się krótkim echem wśród ścian:

- No w końcu! Myślałem już, że ten smród mnie wykoń... – nie dane mu było skończyć, gdyż Gorrin wydał ostrzegawczy, uciśzający syk i bacznie rozglądając się, położył dłoń na rękojeści miecza.

- Co się stało? – głos krasnoluda był o wiele cichszy oraz prześnycony lekkim zaniepokojeniem.

- Cśśśśś, wydawało mi, że coś słyszałem. Dźwięk jakowyś – odparł.

Grupa wstrzymała oddechy, czujnie nasłuchując jakichkolwiek odgłosów.

- Przesłyszałeś się – rzekł uspokojony nieco Casterdall po długiej chwili niczym nie zmąconej ciszy – zabierajmy, więc to, co nas tu sprowadziło, ale miejmy oko na wszystko.

Oblegli wokoło pierwszy z sarkofagów zaległy pyłem w takiej ilości, że zakrywał pokrywające wieko płaskorzeźby. Wczepili się palcami w szczelinę, aby je podnieść i szarpnęli razem. Zrazu nie drgnęło, po kilku próbach jednakowoż udało im się ta sztuka – choć nie bez wysiłku i krztuszenia się pyłem. Pochylili się, zaciekawieni zawartością wnętrza.

Od ściany skrytej przed wścibskimi spojrzzeniami w półmroku oderwał się ogromny cień, sunący chwacko w stronę intruzów naruszających jego legowisko. Oślizgłe cielsko wiło się powoli, a w zdeformowanych oczach potwora odbijały się niewyraźnie postacie rozbójników napychających torby. To od jego odwołku bił ten straszliwy fetor otumaniający zmysły. Był niewidoczny w ciemnościach, toczył się bezszelestnie, ponieważ kurz i pył – oznaka starości – zagłuszał wszelkie odgłosy wydatnego cielska.



Wojownicy oddali się już całkowicie plądrowaniu sarkofagów i bezczeszczeniu ukrytych w nich zwłok. Zajęcie to pochłonęło ich bez reszty, dość, że nie pamiętali już zupełnie o przestrodze Casterdalla. Wszelkie pozory prób zachowania bezpieczeństwa zeszły na dalszy plan. Gorrin zaprzestał jednak nagle gromadzenia łupów, wysadzany drogimi kamieniami naszyjnik cisnął bezwładnie do torby spoczywającej u jego boku i wśród kłującego w uszy, pośród zaległej ciszy, zgrzytu metalu, dobył miecza.

- Znowu coś słyszałem, tym razem na pewno! – odparł na nieme pytania towarzyszy zastygłych w zaskoczeniu jego niespodziewanym zachowaniem. Zaczął się powoli obracać i kręcić głową obserwując otoczenie, gdy nagle jego żrenice rozszerzyły się, oczy wyszły z orbit, a na twarzy zawiłał grymas przerażenia.

- Uważaj! Za tobą! – ryknął w stronę Lyndaryi i rzucił się ku niej, nim zdążyła się odwrócić. Na ratunek było już niestety za późno. Stwór górował nad sylfidą i gdy tylko spojrzała za siebie dosięgnął macną jej pierś wbijając w nią jadowy kołec. Usta kobiety wydały bezgłośny jęk bólu, kiedy dopadł do niej Gorrin i odrzuciwszy przyjaciółkę ramieniem poza zasięg bestii, ciął w kończynę potwora. Odpadła obok wijąc się w spazmach mięśni, a z miejsca przecięcia bryzgnęła ropowata ciecz.

- Caster, zabierz ją stąd! Avan'arad, Dardin, do mnie, ale już! – wrzeszczał odparowując cios rozwścieczonej maskary. Krasnolud w biegu wyszarpnął topór zza pasa, zabiegł potwora z drugiej strony, lecz pech chciał, że wadząc stopą o kamień padł o kilka metrów od niego. Stwór w okamgnieniu zaczął sunąć ku bezbronnej ofierze wyciągając macki. Barbarzyńca nie tracąc ni chwili, ni zimnej krwi rąbnął z rozmachem w odsłonięty odwłok przeciwnika, pragnąc ratować przyjaciela. Wynaturzona szkarada popadła w furję. Podniosła się i wznosząc nad wojownikiem szykowała się do ciosu nie mogąc zdecydować się, w którą stronę uderzyć. Dardin zaś wykorzystując okazję zerwał się z podłogi i na czworakach popęzł w stronę zgubionego przy upadku ostrza. W tej samej chwili bestia wybrała ofiarę.

- Cholera jasna, uważaj! – ostrzegł Gorrina, wiedząc, iż nie zdąży. I rzeczywiście – nie zdążyłby gdyby z pomocą nie przyszła Avan'arad i jej celne oko. Trzy opierzone strzały ze świstem pomknęły ku bestii bezbłędnie sięgając celu. Gorrin korzystając z chwilowej dezorientacji przeciwnika zatopił w jego trzewiach brzeszczot, a Dardin, tylko schwycił stylisko w dłoń, zwinął się z nadzwyczajną jak na jego baryłkowatą posturę zręcznością i odrąbał maskarkę kolejne macki.

- Wiejemy, już! – darł się do wyszarpującego miecz Gorrina i napinającej łuk elfki, po czym nie zwracając na nich uwagi pomknął ku schodom prowadzącym na powierzchnię. Gorrin w biegu chwycił straconą w walce torbę z łupami. Kątem oka zauważył, że Avan'arad tężeje na moment, przyciąga cieżwę do twarzy i wstrzymując oddech wypuszcza pocisk. Wszedł po pióra w cielsko bestii. Ścigani jej rykiem wylecieli z krypty jak z procy za majaczącą w oddali na schodach sylwetką Dardina.

\*\*\*

Kiedy wyszli na powierzchnię ujrzeli Casterdalla pochylającego się z troskliwą miną nad Lyndaryią. Sylfida siedziała oparta o drzewo i oburącz trzymała się piersi w czym wydatnie prześzkadzał jej wstrząsający ciałem szloch. Dardin stał zgięty wpół - dysząc ciężko - i wycierał zbroczone ostrze topora w trawę.

- Co to, do diabła było? – zapytał z wyrzutem towarzyszy. - Nie jestem pewien, ale chyba Organtia – odparł spokojnie mag dobywając sztyletu, po czym kładąc dłoń na ramieniu towarzyszki rzekł do niej z troską – Wybacz Lyn, ale nie mam wyboru, muszę to zrobić.

Kobieta pokiwała nerwowo głową zdejmując dłonie z piersi. Dardin zaś wyglądał na przerażonego. Spoglądał, co i rusz to na jedno to na drugie.

- Zaraz, zaraz Caster, co Ty chcesz... co Ty jej robisz? – głos mu drżał biorąc najwidoczniej przykład z kolan.

- Odwróćcie się, bez gadania – mężczyzna nie zwracał większej uwagi na słowa krasnoluda. Następnie zaczął rozcinać bluzkę rozbójnicze. Po chwili jego oczom ukazały się kształtne, alabastrowe piersi, na które z całych sił starał się starał się nie patrzeć, a tuż ponad nimi rana zadana przez kołec bestii. Otwór w ciele pomarszczył się już i szerniał.

- Zaciśnij zęby, to będzie boleć – uprzedził. Następnie ścisnął palcami okolice naktucia. Z otworu popłynęła brunatna zawiesina, z ust Lyn dziki, choć tłumiony kwik – Cholera, to chyba zatrucie – orzekł przemawiając ranę wodą z bukłaka. Potem przyłożył doń kawał szmaty owijając szczelnie prowizoryczny opatrunek jeszcze bardziej prowizorycznym bandażem, na który to składał się zabrany siłą Dardinowi i uprzednio podarty w pasy kubrak. Upewniwszy się, iż całość nie uciska zbyttno ramienia podał poszkodowanej dłoń z pytaniem: „Możesz wstać?”. W kilka chwil później wojowniczka wyprostowała kurczowo na chwiejących się nogach, a oblicze wykrzywił jej wyraz boleści.

Tymczasem Dardin – zniecierpliwiony koniecznością stania tyłem – zaczął dopytywać o sprawę tragedii.

- Ale jak to świństwo tam wlaźło? Przecież było zbyt duże, żeby przecisnąć się korytarzem. Innej drogi nie było!

- Ona się tamtędy nie przeciskała. Nie wiadomo jak rozmnażają ani skąd biorą się Organtie, jasnym jest jednak, że żywią się truchłami. I to niekoniecznie pierwszej świeżości – poinformował rzeczowo Casterdall podając sylfidzie bukłak z wodą.

- No i co z tego, że żrą umarłaków?

- A to, że pewnie dostała się tam jako mały okaz i jadła ciała z sarkofagów. Mimo swej postury była zapewne dość silna, żeby podnieść wieko. Po jakimś czasie urosła na, tyle, że nie mogła wyjść na powierzchnię. Z barku pożywienia hibernowała, a zbudzona twoimi krzykami chciała nas zeżreć.

- Nieważne już teraz jak się tam dostała. Liczy się, że mamy to za sobą. Pytanie tylko, co zrobimy z nią? – elfka przemówiła z troską swoim dźwięcznym głosem wskazując podbródkiem półprzymną sylfidę osuwającą się wzdłuż pnia.

- Mmm... mogę iść sama, ale jeśli zechcecie mnie zostawić to trudno – chora z wymuszonym uśmiechem w końcu włączyła się do debaty. Wiedziała, że nie było nawet o tym mowy, próbowała jedynie żartem dać znać przyjaciółom, iż nic jej nie jest.

- Doskonale. Ruszamy tedy wszyscy do Trellion, łupy czas nam spieniężać – podsumował z drapieżnym błyskiem w oku dalsze plany Gorrin, po czym ruszył szparko w dół wzgórza. Grupa bez cienia wahania uczyniła to samo.

\*\*\*

Pierwszy dzień po wypadku minął im bez większych przeszkód czy trudności. Wprawdzie ze względu na ranę Lyndaryi musieli podróżować o wiele wolniej niż mieli w zwyczaju, a także często robić postoje, mimo to oczekiwali ujrzeć miasto za góra cztery doby.

Drugiego poranka pojawiły się komplikacje. Sylfida z każdą chwilą błądła w oczach i zwalniała kroku. Obserwującemu ją bacznie Casterdallowi grymas wykrzywił twarz. W końcu kobieta mimo początkowego podtrzymywania przez Gorrina i Avan'arad padła na klęczki w pył gościńca – którym podróżowali, aby przyspieszyć wędrówkę – po czym wymiotowała. Niedoszły mag podał jej skórzaną bukłak, a dotykając czoła stwierdził:

- Cholera jasna, to rzeczywiście jest zatrucie

- Więc co zrobimy? Trzeba jej jakoś pomóc – zaniepokoiła się łuczniczka – za trzy godziny zapadnie zmrok.

- A za dwie godziny ona nie będzie w stanie iść – obwieścił mężczyzna grobowym tonem – musimy jak najszybciej gdzieś się rozbić. Zmienię jej opatrunek i poszukam ziół. Wy będziecie polować.

Szczęściem, o kilkaset kroków w głąb przydrożnego zagajnika znaleźli niewielką polanę. Dardin rozpałił ognisko, a wyjąwszy z podręcznych tobołków mały ronderek podgrzewał - na polecenie Casterdalla - wodę, mającą, choć w znikomym stopniu odkazić ranę. Lyndaryia została złożona na mchu, gdzie pod czujnym, barbarzyńskim okiem Gorrina ostrzącego broń leżała w półśnie. Co chwila rzucała się w postaniu i majaczyła, a kiedy w pewnym momencie dezenterowi wydało się, że w końcu usnęła zupełnie, ta niespodziewanie kopnęła go w konwulsji tak mocno, iż ten – wzięty z zaskoczenia – upuścił broń, wzbudzając tym samym szaleńczy rechot Dardina.

- Zamknij się, idioto, bo ja obudzisz – podnosząc miecz, groźnym głosem wojownik dał wyraźny sygnał, iż nie życzy sobie kpin z niego.

- Sam się zamknij – odparł brodacze wracając do pochłaniającego go w zupełności, gotowania wody.  
Z przysłuchiwania się tej niezwykle miłej konwersacji została zwolniona, Avan'arad, która opuściła polanę, polując w okolicy.

\*\*\*

Dardin z celowym rozmachem wbił kulał w żebra Gorrina powodując tym samym natychmiastowe przebudzenie się woja z na wpół dobytą bronią.

- Twoja kolej na wartę, piękniś. Ja idę się wykąpać – oznajmił sennie.

- Ciekawym gdzie – parsknął cicho w obawie przed obudzeniem towarzyszy Gorrin.

- Tak się składa, że podczas czuwania odszedłem się odlać i kawałek na południe stąd odkryłem cudowny strumyk – słodko poinformował zapytany.

- A może to i lepiej, bo brud, co go masz na sobie, waży więcej niż moja zbroja.

- I kto to mówi, śmierzdiu! – zakpił krasnolud, po czym uchyłając się przed łokciem przyjaciela, pobiegł w gęszcz pogwizdując cicho, acz skocznie i wesoło.

Szum płynącego spokojnie prądu rzeki kojąco działał na zmęczone, strudzone i wystawione na szwank ostatnimi wydarzeniami nerwy Dardina. Pływał w odbijającej światło księżycy wodzie, pluskał się, parskał i prychał, kiedy zamaczał nos. Woda kapiała ciurkiem z poskręcanej jak leśne runo brody ilekroć się wynurzył. Słowem – relaksował się za wszystkie czasy.

W pewnym momencie tej niczym nie mąconej i nie zakłócanej żadnymi przykrymi zdarzeniami chwili jego rozbójnicze, sokole i przywykłe do dostrzegania najdrobniejszych szczegółów oczy złowiły delikatny poblask. Tak, nie pomylił się. Spod przybrzeżnej kępy nenufarów biła lekka, świetlista poświata. Zaintrygowany, podpłynął bliżej, aż w końcu dostrzegł to, co chciał zobaczyć. I – trzeba przyznać – był to widok tak pospolity, że wręcz niespodziewany, niezwykle. Pośród grupki kwiatów, ułożony niedostrzegalnymi wiciami, unosił się w pól zanurzony w wodzie przedmiot. Jajo, konkretnie rzecz biorąc. Mężczyzna ostrożnie – w końcu nie, co dzień zdarzało mu się wpadać na świecące jajo wielkości małego arbuza – wyciągnął dłoń, po czym delikatnie położył poznaczoną odciskami rękę na znaleźniku. Piękne, pomyślał. W jego żrenicach odbijała się podobizna jaja. W chwilę potem jego zachwyty przerodził się w żądzę. Wspaniałe... muszę je mieć... Zabieram je ze sobą! Ostanie zdanie wykrzyczał do siebie w umyśle. Nie zwlekając ni chwili, wysuszył się, ubrał, i jak pomyślał, tak zrobił.

\*\*\*

Wydawałoby się, że jasny, pogodny poranek nastraja do debat spokojnych i kulturalnych, poprzeplatanych kurtuazją w najbardziej możliwym do przyjęcia stopniu. Wydawałoby się.

- Nie ma mowy! Nie wyrzucę go! - Dardin reagował na sugestie Casterdalla z zapalczywością wrodzoną krasnoludzkim przodkom i przejętą od nich w genetycznym spadku.

- Wyrzucisz, a jeśli będziesz miał z tym problemy to chętnie ci pomogę – wyszczerzył zęby w triumfalnym uśmiechu Gorrin.

- Ale, niby dlaczego miałbym...

- Bo nie wiemy co mogło złożyć tak wielkie jajo w kępie gnijących badyli. Co zrobisz jak jajo, a raczej jego tymczasowy lokator okaże się czymś pokroju Organtii? Nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko, zwłaszcza w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy! – mag powoli tracił cierpliwość zachwianą uporem – oślim najpewniej – towarzysza.

- Dobra, dobra... wyrzucę je... – wymamrotał w brodę Dardin choć głos miał dziwny, zmieniony. Czuć było, że był wściekły.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza, przerywana jedynie pomrukiwaniem Lyndaryi i westchnieniami Avan'arad. Gorrin i Dardin piorunowali się przez nieznośne długi moment wzrokiem. Widząc, co się święci Casterdall pośpiesznie załagodził sprawę.

- Doskonale, skoro sprawę jaja mamy już przedyskutowaną, możemy przejść do ważniejszych zagadnień.

Jak gdyby na potwierdzenie słów Casterdall Lyndaryia zaszarpała się tak wściekle, że Avan'arad musiał ją przytrzymać.

- Ona nie może się poruszać o własnych siłach. Zamiast iść

do Trellion odbijemy na północny zachód.... – uciszył gestem dłonie próbującego wtrącić swoje trzy grosze Gorrina – Sześć dni drogi stąd mieszka Estalier, znachor o tyleż znany co biegły w swej sztuce leczniczej. Powinien nam pomóc, wyratować z opresji.

- Powinien...? – Gorrina jak zazwyczaj nie opuszczały wątpliwości.

- Ja nie pomogę jej z pewnością, do miasta w żadnym wypadku nie możemy jej w taki stanie zabrać, nie pytani przez nikogo o przyczynę choroby, która, przypominam, wynikła jako następstwo grabienia nekropolii. Nie wspominając o tym, iż na kilku z nas ciąży wyrok śmierci, a Ciebie i Dardina ściga trzy czwarte straży prowincji, więc raczej nie będziemy paradować walnie po ulicach, nieprawdaż? W takiej sytuacji masz lepszy pomysł? Jakikolwiek? Tak myślałem – skwitował krótko widząc odpowiedź wojownika.

- Uspokój się Caster, on chciał tylko rozwiać wątpliwości. Skoro już wiemy gdzie się udamy, powiedz, co zrobimy z samą Lyn, skoro ona, jak sam przyznałeś przed chwilą, nie może palcem sama kiwnąć? – Dardin nie zniósłby jakiegokolwiek debaty bez wystąpienia w niej, choćby szczątkowo.

- I tu właśnie wkraczacie wy...

\*\*\*

Siedzenie w wykrocie – pełnym korzeni kłujących w różnorakie części ciała, mrówek gryzących każdą napotkaną rzecz na swojej drodze i piasku sypiącego się do butów – nie było ulubioną czynnością Dardina. Prawiąc szczerze – nienawidził tego.

- Nienawidzę siedzieć w wykrotach – baryłkowaty gaduła starał się za wszelką cenę nawiązać konwersację, z mizernym skutkiem zresztą.

- Czy ty zawsze zrzędzić musisz? – Gorrin ocenił dłonią oczy wyglądając z wykrotu – Widzę pył, ktoś jedzie!

- To, co? Jak zwykle – ja zatrzymuję, ty zachodzisz od tyłu?

- Jasne, jak za starych, dobrych czasów – wojownik swoim zwyczajem pokazał uzębienie – fakt, że dość nadwerężone – w szerokim uśmiechu.

Kiedy tętent kopyt przybrał na sile, a z kłębu pyłu wzbudzonego końskim cwałem wyłoniły się sylwetki dwóch jeźdźców Dardin przystąpił do dzieła. Wypełzył na drogę, położył się na środku, wpełchnął topór pod brzuch i jął jęczeć. A trzeba zaznaczyć, iż krasnoludy gdy jęczą, to robią to tak zmyslnie i przejmująco, że z oczu lecą łzy współczucia, a dłoń sięga do sakwy po datek na wsparcie.

Nadjeżdżający – a był to drobny mężczyzna z młodym synem – zatrzymali się tedy przed nim i zsiadli z kulbak. Nim zdążyli uklęknąć przy skamłającej na gościńcu krasnoludzkiej postaci, ta zerwała się z toporem w dłoni i zaczęła ryczeć:

- To jest napad! Zachowujcie się rozsądnie, nie wykonujcie gwałtownych ruchów, a nikomu nie stanie się krzywda.

Napadnięty zasłonił syna własnym – choć, jak już się rzekło, niewielkim – ciałem i drżącą ręką sięgnął ku wiszącej u pasa – proporcjonalnie o wiele większej od niego samego – sakwie.

- Nie o to chodzi, cny przyjacielu – uspokoił go Dardin, po czym kiwnął głową ponad nim. Mężczyzna wraz z latoroślą odwrócili się jak na komendę, tylko po to, aby ujrzeć, Gorrina chwytającego powody rumaków.

- Ale.. to.. są nasze...- chłopczyk spoglądał to na ojca, to na Dardina, to na konie nie mogąc najwidoczniej pojąć powagi sytuacji, w której się znaleźli.

- Wybaczcie, ale nam się one bardziej przydadzą. Na osłode macie to – krasnolud umykającym oczom ruchem ręki cisnął osłupiałym wędrowcom złoty, grawerowany pierścień, następnie zaś wskoczył na siodło podanego mu przez Gorrina konia i pogalopował w dal.

- To się nazywa „szybka robota” – Dardin zaczął gada nim ujechali dziesięć kroków.

- Nie da się ukryć. Za to powiem Ci, że mnie zaskoczyłeś.

Ty – wielki, gruby i obleśny skąpiec nie dość, że nie bierzesz ofiarowywanej sakwy, to jeszcze na dokładkę rozdajesz, ot tak sobie, na prawo i lewo, złote pierścienie.

- Nie martw się staruszk. Wyjąłem go z twojej torby, kiedy spałeś – odpowiedział rozkoszując się miną zdębiałego Gorrina, po czym popędzając konia triumfalnym okrzykiem radości popędził w przód ścigany wyzwiskami złości.

\*\*\*

Stuki rozbrzmiewające raz po raz wśród leśnej ciszy wzbudzały chmary ptactwa zrywającego się z krzykiem spośród drzew. - Przywiąż to tu... o, właśnie tak! Teraz przeciagnij... - wydawał polecenia Avan'arad i Casterdallowi Gorrin. - Dawaj szybciej te gałęzie! - ryknął w stronę ściany liści, z której właśnie wychynał spocony krasnolud z kolejnym naręczem dwumetrowych gałęzi o średnicy kciuka. Gałęzie te, powiązane rzemieniami pomiędzy siodłami pary koni utworzyły swego rodzaju legowisko, na którym - wymościwszy je uprzednio szmatami - złożyli Lyndaryię. Casterdall właśnie przemył jej ranę, a założywszy nowy opatrunek poklepał po policzku. Rozbiegane początkowo źrenice rozbójniczek nijak nie mogły utrzymać się na żadnym obiekcie, uciekając w głąb czaszki. Po chwili jednakowoż scentralizowały się na magu. Widać było, iż chora jest potwornie wycieńczona i wyczerpana. Oczy miała podkrążone, powieki na wpółprzymknięte, a skórę jak pergamin. - Posłuchaj, Lyn - zaczął delikatnie i powoli konwersację - będziesz więziona pomiędzy dwoma końmi. Początkowo uprząż może trochę trząść, potem się przyzwyczaisz. Staraj się wypocząć i spać jak najczęściej. Niedługo wyzdrowiejesz, polepszy Ci się - zapewniał ją nieszczercze. Pokiwała potakująco głową na znak, że rozumie, po czym zapadła w sen.

Następnego poranka wyruszyli.

\*\*\*

Przez pierwsze dwa dni podróży chora nie budziła się niemal wcale. Oprócz czuwającej przy niej Avan'arad, nikt nie zwracał nań większej uwagi. Elfka i Casterdall siedzieli na koniach, po obu stronach leżanki. Gorrin szedł spory kawał przed pochodem, Dardin zaś - z własnej woli - podawał tyły. Z oczywistych powodów musieli podróżować bardzo powoli, wręcz wlec się - konie szły stępą, a piesi marszem. Na domiar złego ilekroć prowadzący kolumnę Gorrin lub zamykający ją Dardin zobaczyli na gościńcu podróżnych, grupa zapadała w las. Wiele problemów sprawiło wprowadzenie dwóch objuczonych koni i leżącej pomiędzy nimi rozbójniczki między drzewa, szczęściem jednak, przez pierwsze dwa dni drogi musieli to robić tylko trzy razy, jako że tereny, w których obecnie przebywali należały, z racji położenia i stanu drogi, do rzadko uczęszczanych. Obozowali tylko w nocy, aby ruszając o brzasku przejść jak najwięcej odległość. Jedzeniem zajmowała się w zupełności Avan'arad, która mimo błękitnej krwi i delikatnych, smukłych, właściwych elfom dłoni z łukiem była obeznana lepiej niż niejeden wojownik, dzięki czemu chybiała niezwykle rzadko, wręcz nigdy. Upolowane przez nią pożywienie grzali jedynie przy ognisku, aby nie rozpałać go na długo.

\*\*\*

Najbardziej osobliwą rzeczą ostatnich dni była zauważalna i drastyczna zmiana w zachowaniu Dardina. W podróży zajmował najchętniej tyły, podczas postojów, stroniąc od towarzysstwa odbiegał na bok, częstokroć też przepadał na czas jakowys. Stał się małowimny, cichy, zdawałoby się - wyobcowany. Swojej torby podróżnej zaś nikomu tknąć nie dawał, ba - nawet zbliżyć się zabronił. Trzymał ją cały czas przy sobie, z oka ni chwili nie spuszczał.

Nie uszło to bynajmniej uwadze Casterdalla, który mimo zaprzątniętej głowy jął snuć przypuszczenia. I postanowił działać. Po chwili jednakowoż stwierdził, że rozmowa z krasnoludem może poczekać, ważniejszymi wszak sprawami w tym momencie była opieka nad chorą i kierowanie pochodem. Lyndaryia budziła się podczas podróży kilkakrotnie, głównie po to, by pomamrotać jakieś bełkotliwe słowa do samej siebie, lubo powierzać trochę nogami. Raz jednak otworzyła oczy będąc chwilowo zupełnie nieprzytomna na ciele i duchu. Wypytała elfkę o cel podróży, posiliła się, a następnie straciwszy siły zapadła ponownie w mocny sen.

Gorrin podróż znośił naturalnie. Pogwizdywał od czasu do czasu, opowiadał sprośne żarty i - jak miał w swoim zwyczaju - naśmiewał się i kpił z Dardina. Ogólnie rzecz biorąc bimbował sobie na wszystko. Nie obchodził go, jak zwykle, cel podróży, liczyły się dlań tylko pełny brzuch i trzosik.

Podróż Avan'arad mijała jej na nuceniu elfickich pieśni - od których stronił jak mógł barbarzyńca, nie cierpiący wręcz smętnych historii o poległych bohatersko w walce herosach czy miłości dwojga zakochanych - walkach na zagadki rozgrywanych z Casterdallem, a kończących się dla niej zawsze zwycięsko oraz trzymaniem pieczy nad przyjaciółką. Podczas każdego postoju, w marszu, w chwilach zapadania w lasy była przy sylfidzie, gotowa usłużyć w momencie gdyby ta się obudziła, lub też sama budziła ją nieraz, aby podać jej bukłak. O wodę się nie troszczyli: strumyków, rzek, stawów czy rowów, a także strumyczków, rzeczek, stawików i rowków było wszędzie w brud i pod dostatkiem.

Tak mijała im podróż.

\*\*\*

- Mamo, mam, widziałaś? - zaafierowany chłopczyk wyrzucał z siebie słowa z prędkością niemal uniemożliwiającą zrozumienie.

Kobieta, nie przerywając mieszania chochlą w kotle, podniosła głowę i uśmiechając się do synka pytając:

- A cóżem takiego widzieć miała, co?

- Rycerzy, wojowników... Lasem jechali, dwa konie i leże dla księżniczki, co między nimi spała. A na końcu szedł taki brodaty pan, z brzydką buzią i taaaką wielką torbą - chłopiec z całych sił rozłożył ręce.

- O, to wspaniale - kobiecina miała widać wprawę w wysłuchiwanie rzekomych imaginacji syna.

- Podglądałem ich spomiędzy drzew. Jak myślisz, czy to był jej, to znaczy, tej pani z łoża, orszak?

- Z pewnością... Ani chybi, to był jej orszak.

- Mamuś, a jak myślisz? Czy ta śpiąca królewna by mnie polubiła? - pytał z nadzieją komicznie wybałuszając oczęta.

- Oczywiście, mój mały, przecież królewny i księżniczki kochały wszystkie dzieci - odparła z właściwą sobie niefrasobliwością, myślami będąc już przy płaczącym w rogu chatki niemowlaku oraz wciąż gotującym się obiedzie dla męża.

\*\*\*

- Te... patrzaj! - wieśniak przestał w zadumie dłużyć w nosie, wytarł rękę o - wcale nie bardziej czysty - kubrak, szturchnął hakającego obok kompana i wskazał odległą o paręset kroków drózkę wijącą się wśród drzew.

- Co?...O! - szturchnięty przyłożył rękę do czoła osłaniając oczy - Podróźni! Ale cosik mi się widzi, że nie zwyczajni...

- No pewnie, że cholery, zwykłe nie są. Patrz ino, jakie różne.

Ten z przodu - góra mięśni, w błachę obkuty. Dwaj konni, co i rusz między konie spozierają jakby skarbów stamtąd czekali jakichś, a ten karzeł z wypchaną torbą, to wygląda, że aż strach mówić... Od razu widać, że rabusie - orzekł z pewnością w głosie równej królewskim doradcom.

- Eee, ja tam jakoś nie widzę...

- Boś głupi! Zresztą nie ma, co oczu wybałuszać i mleć ozorem po próżnicy. Moc jeszcze roboty przed nami...

\*\*\*

Spośród mnóstwa rzeczy dziwnych, interesujących, nietypowych i trudnych do zidentyfikowania, których świadkami byli rozbójnicy, chata znachora na tej nietypowej liście znajdowała się w ścisłej czołówce. Nie była, bowiem ani ładna, ani malowniczo położona, ani choćby miło wkomponowana w otaczający ją krajobraz. Co to, to nie! Była za to mała, obskurna i urządzona skromnie - spartacko wręcz. Całe pomieszczenie dzieliło się na dwa zaledwie pokoje, oba zresztą zagracone do szczętu tak, że sprawne poruszanie się w nich przez nieobytych graniczyło niemalże z niemożliwością. Biorąc jednak pod uwagę, co znajdowało się w środku, nie było w tym zupełnie nic dziwnego. I tak: podłogę chaty znachora zaścieniały porozrucane w nieładzie kupki różnorakich liści, ziół korzeni i inszego cholerstwa. Pośród nich - również w stertach - leżały książki, pergaminy zapisane węglem, opasłe woluminy i grube tomiszczka. Jeżeli cyrulik dorobił się kiedykolwiek takiego luksusu jak dywan, to nie było go widać. Resztę wolnej przestrzeni zajmował fotel, tak stary i wytarty jak wszystko wokoło, dziwnie pachnący barłóg leżący w kącie i niewielki stół umiejscowiony obok



tak samo niewielkiego kominka. Pod sufitem zaś - widocznie z braku lepszego miejsca - wisiały rozmaite cuda i dziwy, w lwiej części ususzone, wypatroszone lub oskórowane.

Pośród tego chaosu, stłoczona banda wojów prowadziła szeptaną dysputę, w której co drugiemu słowu towarzyszyła bądź to żywa gestykulacja, bądź też przekleństwo.

- No, ale ileż, do cholery, on może tam z nią siedzieć? - krasnoludowi jak zwykle powstrzymywanie emocji wychodziło równie dobrze jak trollom śpiew.

- Uspokój się Dardin. Skoro powiedział, że nim poda leki musi ją przebadać, to znaczy, że tak musi być - uspokajała go majestatycznym tonem Avan'arad.

- Mnie jednak się zdaje, że kurdupel ma rację. Kto go tam wie, znachora jednego, jak on ją tam bada... - włączył się Gorrin.

- Oj, dalibyście już spokój. Zachowujecie się jak małe dzieci. Mnie również nie uśmiecha się bezczynne oczekiwanie, w momencie, gdy on siedzi z nią za zamkniętymi drzwiami, ale nie mamy wyboru. Raz, że to jak na razie nasza ostatnia szansa, dwa - musimy liczyć się z umiejętnościami Estaliera. Nie da się ukryć, że w swojej dziedzinie jest autorytetem - wyjaśniał wszelkie wątpliwości Casterdall.

- Artortet, artortet, ale ja nadal proponuję wejść tam i...

- tu Dardin zmuszony był przerwać, jako że drzwi od sąsiedniego pomieszczenia otworzył się ze skrzypem, a do środka wszedł niski, zgarbiony i pomarszczony jak, nie przymierzając, kora drzewa starzec. Nie pachniał lepiej od łóżka, a ilość bruzd na jego twarzy mogłaby świadczyć o tym, iż był najpewniej rówieśnikiem świata. Słowem - stary był niemożliwie.

W tej chwili jednakże miał tak zatroskaną minę, że duchowe dywagacje na temat jego wyglądu zeszły w myślach wojowników na dalszy plan. Długo wodził wzrokiem po twarzach rozbójników, ale chwilę zatrzymał się jedynie na krasnoludzie. Następnie spłynęły na jego torbę. Dardin mruknął coś niezrozumiałego, a w wydźwięku wróżącego groźbę, po czym zasłonił sobą tobolek. Estalier zdawał się już jednak tego nie zauważać. Przymknął powieki i zaczął mówić.

- No cóż... Zrobiłem, co mogłem... - głos miał cichy, ale dźwięczny, wyraźny. Dziwnie kontrastujący z wyglądem - Zrobiłem, co mogłem, a mogłem niewiele. Gdyby to był skorpion, wąż czy mał'ceek, uzdrowiłbym ją w przeciągu dwóch godzin. Sęk w tym, że to Organtia, taka jej plugawa mać, była...

Wydźwięk tych słów odbił się ponuro na twarzach słuchaczy.

- Podałem jej odtrutkę. Silną. Niezwykle wręcz. To postawi ją wprawdzie na nogi i zbije gorączkę, ale nie zwalczy zakażenia w zupełności.

- A co się stanie, kiedy już przestanie działać...? - zaniepokoiła się natychmiast elfka.

Spuszczony wzrok starca, martwa, niezręczna cisza oraz westchnienie Casterdalla wystarczyły za odpowiedź w zupełności.

- Więc co, do cholery, mamy zrobić? - Dardin za wszelką cenę starał się ukryć paniczną nutę w głosie, co nie do końca mu się udawało.

- Hmm... w takiej sytuacji, pozostaje wam, jak sądzę, Ogzentar - odpowiedział zapytany zaszepiając się z lekka.

- Ogzentar? Źródło życia? Miejsce, z którego się nie wraca?

I co jeszcze? Może grotę ogrów, albo smocze legowisko... To nam proponujesz, tak? Pewną śmierć? - Casterdall najwidoczniej zapomniał o swoim nabożnym szacunku do znachora.

- Ja wam go nie proponuję, stwierdzam fakt jedynie. To, szczerze mówiąc, jedyne, co możecie dla niej zrobić - sączył słowa powoli, nie zrażony widocznie wcale wybuchem maga.

- Ale nie wiadomo w ogóle, czy Źródło istnieje naprawdę, czy to aby jedynie legenda... - zaoponował już delikatniej Caster.

- A to już nie mój problem...

\*\*\*

Ogzentar, Dolina Ostatniego Tchnienia, leżała w dzień drogi za Trellion'em. Nie cieszyła się dobrą sławą. Prawdę mówiąc, budziła grozę, ścinała krew w żyłach, zapierała dech i wyczyliła inne, rozmaite anomalie z organizmami ludzkimi. Każdy słyszał krążące opowieści o mającej się tam rzekomo znajdować studni życia, źródle odrodzenia - miejscu leczącym wszelkie rany, blizny, choroby i dolegliwości. Nic, więc dziwnego, że ciągnęły doń zastępy reumatyków, gromady starców z hemoroidami, setki kalek i dziesiątki anemiczków. Słowem - tłumy. Ogzentar stracił dobrą sławę dopiero wówczas, gdy żaden ze śmiazków żadnych boskiego płynu nie wrócił. Zaczęto

mówić o czarach jakowych, stworach czyhających podobno na iwniaków wierzących w legendy. Z czasem, więc nazwę doliny poczęto wymawiać ze strachem. Ludzie cichli na wieść o kolejnym straceńcu planującym wyprawę do niej, po czym starali się go za wszelką cenę od podjętej decyzji. Każdy, to twierdził, iż się tam wybiera brany był za głupca i szaleńca. Nie ma się, więc co dziwić, iż przed wyjazdem grupa kłóciła się długo, a ostro. Postanowiwszy w końcu zbadać Ogzentar ustalili, iż decyzję swą trzymać będą w tajemnicy. Przebrawszy się, więc - w końcu poszukiwano ich w niemal w całej prowincji - zrobili niezbędne do podróży zakupy w Trellionie, a skończywszy się sposobie rozpoczęli wędrówkę.

\*\*\*

Odrutka Estaliera, zgodnie z obietnicą, okazała się być mocna i pomocna. Mocna na tyle, by Lyn całkowicie opuściła gorączka i niebezpieczne rozpalenie, a pomocna dość, aby rozbójniczka była w stanie jechać konno, nie spadając przy tym - zbyt często - z kulbaki. Z czasem nabrała sił na tyle, żeby móc porozmawiać z resztą grupy, która opisała jej wypadki ostatnich dni, spędzonych przez Lyn w stanie nieświadomości. Dowiedziawszy się następnie szczegółów obecnego planu, sylfida zrobiła awanturę i poczęła odwozić przyjaciół od niego jak mogła, twierdząc, że nie powinni tak dla niej ryzykować. Na koniec zaś oznajmiła, iż wcale nie jest to konieczne, bo z nią już wszystko w porządku. I byłaby ich może przekonała, gdyby zapewnieniom o powrocie do zdrowia nie przeczył fakt, iż wygłaszając je zwiotczała, a w chwilę później zemdląca. Był to jeden z zapowiedzianych przez Estaliera objawów końca się dobroczynnego wpływu antidotum. Z jego dalszych relacji, że postępujące zakażenie organizmu kobiety, pozbawi ją życia najpóźniej za tydzień.

Od tej pory podróż mieniła się minorowo i nostalgicznie. Dardin, Gorrin, Casterdall i Avan'arad spoglądali smutno po sobie, spuszczali nosy na kwintę i nie odzywali się prawie wcale. Do Ogzentaru, mimo pośpiechu, w jakim się poruszali i tempa, które sobie narzucili, wciąż pozostawało im prawie sześć dni drogi.

Rozpoczął się wyścig z czasem.

\*\*\*

Podróżowali odtąd najszybciej jak mogli, maszerując w morderczym zapędzie, nie zważając na trud i zmęczenie. Postawili wszystko na jedną kartę decydując się na otwartą podróż gościńcem za dnia. Gorrin przestał robić za czujkę, zajmując miejsce w siodle tuż za Lyn, aby podtrzymywać ją w razie gdyby miała zeń spaść.

Chora ponownie zaczęła mówić przez sen, głównie pourywane, ciche słowa. Avan'arad szła na przedzie kolumny uzupełniając ubytek spowodowany przenosinami barbarzyńcy, Casterdall studiował w siodle otrzymane na pamiątkę od znachora pergaminy, Dardin zaś nadal trzymał się za resztą, hołubił swoją torbę i łyskał niespokojnie oczyma.

\*\*\*

W pięć dni później osiągnęli Ogzentar. Teren, który obserwowali wokół siebie zmienił się przez ten czas diametralnie. Pola uprawne pełne pracujących - w końcu były żniwa - ludzi; łąki, przez które nie szło przebrnąć bez oblepienia się nitkami babiego lata czy zielone lasy rozbrzmiewające o każdej porze dnia i nocy ptasimi trelami i śpiewem pozostały jedynie wspomnieniem. Ustały miejsca pokryte żółcią, karłowatą trawą stepom oraz pustym, szarym i splekanym w słońcu jałowym ziemiom. Nie były to miejsca urodzive, tak samo jak porastające je powykrzywiane i uschłe konary nie były drzewami.

Lyndaryia przez ten czas zapadła się w sobie tak mocno, że było to widoczne od pierwszego rzutu okiem, Dardin zdziwiał niemożliwie, co zresztą potęgowało się z każdą chwilą zbliżającą ich do celu, reszcie zaś udzieliła się nerwowka. Byli na skraju wyczerpania fizycznego i psychicznego. Mało spali, cały czas spędzali w drodze, jedli okazyjnie i walczyli o życie bliskiej im osoby. Jechali właśnie doliną, wsłuchując się w stuk końskich kopyt, odbezpieczali i szykowali broń, a przede wszystkim poszukiwali jakichkolwiek śladów wskazujących na

istnienie źródła, bądź też sprawców niewyjaśnionych zaginięć odwiedzających to miejsce ludzi.

\*\*\*

Jechali już przeszło dwie godziny, dwie bite godziny spędzone w ciszy i pętach własnych, często makabrycznych myśli i przewidywań, nim w końcu ją ujrzeli. Świątynię. Ogromna, kamienna budowla górowała nad okolicą, z wzniesienia, na którym stała, a po którym znać było, iż nie wypiętrzyła go natura. Zbiwszy się w ciasną, konną grupkę zbliżyli się jak najciszej, w pełnym skupieniu. Elfka przerzuciła przez ramię łuk, kołczan pełen strzał obijał się o jej udo. Gorrin z racji na konieczność podtrzymywania ledwo, ledwo trzymającej się na nogach sylfidy dobył sztyletu. Casterdall uzbroił się w krótki nóż, będący jego jedyną bronią, a Dardin, z widoczną niechęcią zarzucił ostrożnie torbę, na plecy i ujął krzywe, wygięte stylisko topora.

Spod podnóża pagórka do bram frontowych świątyni wiodły ogromne, wykonane ze zmyślnie poukładanych, wielkich kamieni, schody. Człowiek, któremu polecono wykonanie ich wywiązał się z powierzonych zadania nad zwyczaj zrecznie. Trzeba się było dobrze przyjrzeć nim zauważyło się cieniutkie, delikatne linie oznaczające spawy – połączenia kamiennych bloków. Były tak szerokie, iż mogłoby, w razie konieczności wjechać całą piątką obok siebie na wierzchowcach. Gdyby takowe, rzecz jasna, mieli. U początku stopni stały po obu ich stronach dwie, trzymetrowej wielkości, kamienne harpie. Gdyby nie fakt, iż były posagami, bez najmniejszego problemu można, by było wziąć omyłkowo za żywe. Każdy detal, bowiem, każde, choćby najmniejsze piórko, mięsień czy łuska były odwzorowane tak cudnie i realistycznie, iż w niczym nie ustępowały prawdziwym. Kamienne bestie miały twardy wzrok, ujęte były w pozę symbolizującej natychmiastową gotowość do ataku, ogony zawinięte w poskręcane, węzowe splety, wypiętą pierś i rozłożone skrzydła. Usta rozłożone w niemym, kamiennym krzyku. Człek, który je rzeźbił był nie lada mistrzem, zaś roboty miał od groma.

Gorrin, przerzuciwszy Lyndaryię przez ramię, aby uzyskać większy zakres ruchów. Chwycił pewnie nóż, po czym idąc za przykładem Casterdalla przywiązał konie do pobliskiego drzewa, gdzie drugi z wierzchowców skubał drobną trawę i targał łbem pochrapując przy tym ciężko jak gdyby nie podobało mu się to miejsce. Gorrinowi zresztą również. Skończywszy wiązanie ruszył w stronę przyjaciół, którzy zdążyli się już lekko wysforować.

Reszta grupy czekała u podnóża schodów. Podchodząc spostrzegł, że w coś się wpatrują. Natrętnie i długo. Rzeczą absorbującą uwagę Casterdalla i stojących za nim Dardina oraz Avan'arad okazała się być perłowo biała tablica wpojona w kamienną posadzkę pomiędzy harpiami. Wryty nań napis głosił, jak przeczytał im mag: „Niech nieczyste serce zawróci, albowiem tylko prawi mogą minąć nieruchomych strażników”. - Co to z brednie? – porywczość Dardina po raz kolejny wzięła nad nim górę.

- To nie brednia, a przestroga – zaoponowała Avan'arad.

- Albo zaklęcie... – dodał Casterdall.

- Przestrogi, zaklęcia... – powtórzył krasnolud patrząc z irytacją w niebo – I co jeszcze? Nakaz zdjęcia sandałów? Grafo-mańskie głupoty i tyle! Dupa tam, idziemy! – rozkazał nie wysilając się używaniem wyrafinowanego słownictwa, po czym nie zwracając uwagi na jęki i narzekania, pewnym krokiem przeszedł po tablicy, przesadnie tupiąc stopami, a osiągnąwszy pierwszy stopień odwrócił się, a szczerząc zęby – po raz pierwszy od długiego czasu – rzekł:

- I co? Zabiło mnie czy jak? Chodźcie.

Grupa spoglądała przez chwilę na siebie niepewnie w końcu jednak wzruszyła ramionami i poszła w ślady prowadzycy.

To właśnie wtedy popełnili największy błąd w swej łupieżczej karierze. Kto wie czy nie ostatni?

Bowiem w momencie, gdy zamykający pochód Gorrin, niosący chorą Lyn minął kamienne posagi, depcząc tablice, te z ogromnym rumorem i zgrzytem poczęły pękać. Kruszyć się. Oswobadzać.

Nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń Gorrin poprawił Lyndaryię, leżącą mu na barku, obijał ją pewnie ramieniem, ścisnął kurczowo sztylet i w biegu ryknął:

- Naprzód! Do góry! Biegiem, bo to żyjeeeeeeeee!

Leciał na łeb na szyję wspinając się po stromo wznoszących się stopniach, minął napinającą w biegu łuk elfkę.

Tymczasem „nieruchomi strażnicy” zrzucili wierzchnią, kamienną powłokę pokrywającą ich uśpione ciała i zerwawszy się z cokołów wśród ogłuszających pisków i skrzeków, w którym przebrzmiewało coś jakby ludzkie słowa, wzbiły się w powietrze.

Wojownicy biegli, co sił, jednak oczywistym było, iż lecące ku nim harpie dopadną ich, nim ci zdąży skryć się w świątyni. To było pewne. Jednak znowu, podobnie jak naonczas, w nekropolii Yvestha, sytuację i tyłki musiała ratować Avan'arad. Odwróciła się i prawie bez przystanku wypuściła strzałę ku najbliższej zmurze. Potworem rzuciło do tyłu, rozległ się potępieniący pisk. Wydawało się, że harpia tracąc siłę nośną spadnie. Nie spadła. Kontynuowała pościg. Kiedy jednak następne strzały nauczyły ponownie moresu ją i jej kompankę elfia magnatka, osłaniana przez przyjaciół zdążyła dopaść ogromnych, dwuskrzydłowych drzwi z drzewa, które zdawało się nie mieć spoin. Ukryte były one między sześciorgiem rzeźbionych kolumn. „Błagam, niech te wrota się otworzą”, modlił się do nienazwanych bogów Dardin opierając perkata, poznaną bliznami i odciskami dłoń na prawym skrzydle. Fakt, iż ustąpiło bez szelestu był, co najmniej dziwny, jednak sytuacja, w której się znaleźli nie skłaniała do rozmyślań. Wpadłszy do środka, stanęli jak wryci. Rozglądali się, niemal zapominając o grożącym niebezpieczeństwie, które zostało za nimi. Całą, bowiem świątynię stanowiła jedna, niezwykle przestronna sala, w której trzydzieści wymyślnych filarów przedstawiających przeróżne ważne wydarzenia z życia bóstw łączyło sklepienie z podłogą. Pomieszczenie nie posiadało okien, słońce jednak widocznie nic sobie z tego nie robiło, gdyż jego blask niewiadomym sposobem bez najmniejszego problemu rozświetlał całe wnętrze. Pośrodku pomieszczenia, w miejscu gdzie alabastrowe kafle układały się w wymyślny, kołowy wzór, a do którego prowadził od wejścia długi dywan mieniący się wszystkimi kolorami tęczy wykonany z materiału przypominającego motyle skrzydła, stała kryształowa bryła będąca ponad wszelką wątpliwość ołtarzem. Z jego wnętrza tryskała w górę wąska strużka przezroczystej wody życia, która – opadając – wiła się kaskadami i ściekała po chropowatych ścianach ołtarza, aby w końcu zniknąć w małym otworze wydrążonym w jednej z alabastrowych płyt.

Ze zdumienia wyrwał ich klujący w uszy pisk potworów będących już bram.

- Szybko, ryglujcie drzwi! – ryknął ku oniemiałym towarzyszom barbarzyńca samemu biegnąc z trudem ku zbawienemu dla ciężającej mu Lyn, ołtarzowi. Los chciał, by nigdy go nie osiągnął.

W chwili, kiedy Casterdall i Avan'arad zaparli drzwi ogromną belką leżącą w tym celu nieopodal, Dardin będący najbliższym źródła zaczął szaleć. Doszczętnie. Na oczach zdumionych współtowarzyszy wypuścił z dłoni topór, który spadając wzburzył brzdęk rozlegający się echem po całej świątyni, a samemu chwycił torbę, która ku ich przerażeniu zaczęła się miotać.

Spod drzwi rozległ się głuche łupnięcie – wyglądało na to, że harpie chcąc dołączyć się do zabawy próbują wyłamać drzwi. Jasnym było, iż im się uda. Z torby krasnoluda dobiegł za to chrobot przywołujący na myśl rozbijaną skorupkę jajka. Dardin za wszelką cenę starał się przytrzymać sprzączki, jednak po chwili ze środka rozległ się cichy warkot, zaś to, co się wewnątrz znajdowało, zwyciężyło. Stojący plecami do reszty Dardin zajął od otwieranego wewnętrzną siłą tobołka, wydał jęk rozpacz, wyszeptał; „Bazyliszek”, aby w końcu zeszytnieć na posadzce z oczyma zasłzonymi mgłą, utkwionymi ślepo w nicości. Łup! i drzwi pękły z trzaskiem i łomotem wpuszczając do środka żądne krwi bestie. Gorrin położył, niezbyt delikatnie, zawiadającą mu i wciąż nieprzytomną Lyndaryię na posadzce i dobył miecza. Ręce mu drżały. Avan'arad sięgnęła do kołczanu i wyjętą zeń strzałę lokowała na cięciwie. Mimo właściwego elfom opanowania wyglądała na przerażoną. Jej również drżały, choć nieznacznie, dłonie.

Zaś Casterdall, imponujący dotąd reszcie swoim stoickim spokojem i opanowaniem wypuścił nóż z rozcapierzonych palców i skrywszy nim twarz zaczął... płakać. Dotarł, bowiem do niego bezsens sytuacji. Ujrzawszy to barbarzyńca zaklął plugawie, zważył miecz w dłoni i rzucił się do nierównej walki. Avan'arad również. Walczyli, co sił, jednak żadne z nich nie miało szans w samotnej walce z harpią. Gorrin ciął i rąbał sapiąc głośno, elfka wypuściła już przeszło tuzin strzał. Bestie nie przejmowały się tym zbytnio nie pozostając im dłużne: szarpały i cięły pazurami, siekły i młóciły powietrze łuskowatymi ogonami. Casterdall łkał. Mniej więcej w tym czasie Gorrin stracił głowę. Dosłownie. Harpia wystrzeliwszy uszponioną łapą ku twarzy wojownika, przełamała jego gardę i wbiwszy mu pazury w szczękę, jednym szarpnięciem pozbawiła go czerepu. Na ten widok, elfka cofnęła się w amoku o kilka kroków, mruknęła jakieś elfie słowo, po czym podniósłszy upuszczony przez spanikowanego maga nóż wbiła go sobie szybkim ruchem w piersi. Casterdall nawet tego nie zauważył, Lyn tym bardziej. Ona leżała bez tchu i szans na przeżycie na zimnej posadzce świątyni, on natomiast osunął się na kolana i zakrywając twarz połamami kubraka płakał nadal. Nie przestał nawet, gdy padły nań dwa ciemne cienie zbliżających się bestii...

\*\*\*

Tak oto zginęła piątka wojowniczych złodziei. Nie byli, jak większość, na wskroś źli, ani do końca, jak większość, na bakier z prawem. Nie umarli za karę ani w szczytnym celu. To było ich miejsce i ich czas. Po prostu.

18:54  
10.06.2007 r.

*Tej, która pobiła mnie własną bronią pokazując czym jest skrucha.  
Evolvie.*

**Phantasmagor**



Narkotyki rozszerza moje tętno do granic możliwości. Nogi stają się zbyt miękkie, aby dłużej sprzeciwiać się nieubłaganej, apodyktycznej grawitacji. Moja percepcja uwolniona przez narkotyczny katalizator poddaje się niczym nieskrępowanemu wirowaniu. Przemierzam kosmos, którym jestem ja sam. Upadam bezwładnie - niczym poroniony płód - na kazirodczy, przeraźliwie zimny miejski beton, bo dłuższe przebywanie w tak nienaturalnej, wymuszonej przez ewolucję pozycji stojącej okazuje się być niemożliwe. Cały pulsuję. Rozgwieżdżone niebo kryjące się za tachyonową osłoną metropolii zatracą się w orgiastycznym tańcu. Lecz cała ta euforia, ten pieprzony, wytworzony chemicznie substytut szczęścia okazuje się być tylko blichtrzem przesłaniającym mój ból. Słyszalne odgłosy startujących rządowych odrzutowców powoli ustępują miejsca retrospekcji serwowanej mi przez resztki mojej świadomości... Moje ciało mnie nie słucha. Oto wbrew mej woli, kierowane ostatnim spazmem zmęczonego instynktu ułożyło się w pozycji embrionalnej, by już za chwilę się urodzić, czyli wszystko znów sobie przypomnieć - by wykonać po raz kolejny, do znudzenia powtarzany, rachunek sumienia... Stop. Zaczę od początku. Wiesz, trochę ciężko mi myśleć, ale chcę to wszystko poskładać do kupy... Brakuje mi chyba zwykłej ludzkiej siły, by znów rozdrapać ten ledwie zarosły strup wspomnień. By naciąć go skalpelem przypomnienia... Cofam się w myślach do początków całej tej historii...

-----

To był poranek - mityczna pora dnia, opiewana niejednokrotnie jako zwiastun budzącego się życia, rodzenia się aspiracji, kreacyjnych mocy... Tylko, że dla mnie właśnie ów ból ich zrodzenia jest symbolem naszego trudu. Ta codzienność, ta periodyzacja życia to dla mnie po prostu wymyślna tortura. Zwłaszcza w tej metropolii, gdzie rzeczywistość tak bardzo przypomina twórczość Kafki, a zwykle poranne odgłosy miasta uderzają jak kula wystrzelona z bliska w twarz... Dźwięk alarmu rozlegającego się z przekłętego budzika, upersonifikowanymi rękoma podnosi moje opuchnięte powieki... Wciąż znajdowałem się za zawalonymi resztkami jedzenia biurkiem. Prawie całą noc spędziłem przed ciekłokrystalicznym monitorem mojego komputera. Program, który napisałem ledwie kilka godzin przed deadline'm na pewno zawierał setki bugów... A ja będę musiał teraz świecić oczami przed tymi dupkami z MedLabu i uparcie twierdzić, że „tak miało być”, albo: „ten bug jest mi znany, ale nie wpływa na ogólną funkcjonalność aplikacji”. Zresztą co mnie to obchodzi... I tak utrzymuję się z wykradania informacji wielkim korporacjom na zlecenie innych wielkich korporacji... To całe legalne programowanie to tylko przykrywką dla ewentualnych kontroli podatkowych Rady Dziewięciu. Spójrzmy prawdzie w oczy. Jestem informatyczną prostytutką, zero-jedynkową kurtyzaną, która za pieniądze robi to i tamto. „Daj mi nazwę pliku i wskaż serwer. O nic więcej nie pytaj”. Nikt mnie jeszcze nie zabił chyba tylko dlatego, że bywam przydatny. A na tym chorym świecie to właśnie „przydatność” definiuje twoje człowieczeństwo lub jak to określa Rada Dziewięciu: „poziom społecznej asymilacji”. Nie miałem apetytu i chyba załapałem się na gorączkę. Zmusiłem się do zjedzenia tosta z roztopionym serem i jajecznicy, której wygląd był najtrafniejszą metaforą stanu mego mózgu, poddawanego temperaturowej anomalii serwowanej mu przez moją rozgrzaną do czerwoności czaszkę... Neuronowe białko powoli się ścinało, a ja miałem mało czasu. Spakowałem cały sprzęt do naramiennej torby i ruszyłem w miasto. Zmęczone, opuchnięte ludzkie twarze kontrastowały ze sterylną, poliluretanową wyściółką ścian kompleksu mieszkalnego. Dziwnie się czuję. Brak ostrości obrazu, kłopoty z fonią... W dodatku mój iPod uraczył mnie tym, jakże nielubianym przez nastoletnie onanistki napisem: LOW BATTERY...

Udałem się w kierunku platform parkingowych. Za godzinę miałem prezentację programu w MedLabie, a przecież muszę jeszcze zainstalować się ze sprzętem... Mój pocziwy, wściekloczerwony odrzutowiec marki GMC z roku 2197 zdawał

się oczekiwać na mnie z tą szczególną nadzieją, jaką zwykle posiada kobieta w długoletnich związkach (czyli coś na kształt: „o - jesteś - wreszcie będzie się coś działo po tak długiej przerwie”). Wrzuciłem torbę na siedzenie pasażera, zaprogramowałem trasę przejazdu i z braku sprawnego iPoda włączyłem radio, które grało jakieś marne loopy rodem z taniej policyjnej knajpki... I już miałem startować, gdy wtem na bocznym podgładzie dostrzegłem dwóch tajniaków. Przeciętny człowiek mawiał by ich nie rozpoznać, ale ja z racji wykonywanej profesji jestem na takie rzeczy szczególnie wyczulony... Przechadzali się po rampie startowej. Węszyli. Doglądali. Czegoś lub kogoś szukali. I oto słyszę wewnątrz pojazdu - tuż za plecami - charakterystyczny bulgot ładowanej broni plazmowej. Więc mnie mają. Któryś z nich był razem ze mną w odrzutowcu, a tamci widocznie robili za przynętę. Ciarki przebiegły mi po plecach, a adrenalina zjeżyła nieco włosy na głowie. Lecz oto słyszę damski głos: „Proszę, pomóż mi”. Dziwny był ton głosu - taki jakiś opiekuńczy - jak u przedszkolanki... Odwróciłem się. Na tylnym siedzeniu, do połowy ukryta za stertą moich rzeczy klęczała ona. Spoglądała na mnie swymi błękitnymi oczyma. A te oczy były jakieś takie mangowe, no wiesz na pół twarzy, ogromne, szkliste, ciepłe. Dostrzegam, że jej włosy są białe. Dosłownie. Jak u anioła, cherubina, albo albinosa. Ten typ urody to dla mnie afrodyzjak. Czuję krew napływającą do mózgu. Czuję reakcję łańcuchową uruchomioną przez hormony. Jej nieświadomie wprowadzie, ale wystrzelone w moim kierunku feromony już nękały moją przysadkę. Zakochałem się w niej już w tym momencie. Cała była dla mnie piękna. Kręciło mi się od jej obecności w głowie. Pachniała wyjątkowo: kumaryna, mech dębowy, ambra. Sytuacja była idiotyczna. Ja sparaliżowany, ona nieco onieśmielona wrażeniem jakie na mnie wywarła (kobiety wyczuwają takie rzeczy), a z głośników w tempie 140 bpm wydobywało się idiotyczne: „umca, umca, umcaca”... Wreszcie oprzytomniałem:

- To ciebie szukają?

Odpowiedziała wyjątkowo nieśpiesznie (zważywszy na okoliczności):

- Decydować znaczy rozstrzygać, postanawiać, wyrokować. Ale dlaczego ty czynisz wszystko tak jednoznacznym, tak czarno-białym? Dlaczego chcesz wiedzieć kim jestem i jakie problemy ze sobą przynoszę? Dlaczego chcesz mnie objąć logiką, skoro im ważniejsza życiowa decyzja, tym bardziej jesteśmy skłonni zamiast na logikę zdawać się na intuicję? Masz dwa wyjścia: wystartować tym zabytkiem albo zamrużyć światłami sygnalizacyjnymi i zwrócić ICH uwagę. Ja też mam dwie możliwości: pogodzić się z twoją decyzją, albo użyć broni i nie tracić czasu. It's time to decide Mary Lou...

Cóż miałem robić? Była zjawiskowa. Piękna i zabójczo inteligentna. Oszukiwałem siebie, wmawiając sobie, że decyzję podjąłem dopiero PO jej wypowiedzi. Uśmiechnąłem się lekko, odwróciłem, a włączynywszy silniki odpowiedziałem:

- Buckle your seatbelt Dorothy, cuz Kansas is going bye-bye...

Starałem się wystartować normalnie, to znaczy ani nie za wolno, ani zbyt gwałtownie, gdyż inne zachowanie pojazdu mogło zwrócić uwagę agentów. Niestety ta cholerna bateria jonowa znów wywołała spięcie w obwodach inicjujących odrzutowca. Coś charknęło, tudzież chrząknęło - i choć był to tylko moment - nierówna, poraniona ubytkiem magnetycznym parabola lotu pojazdu zdołała zwrócić uwagę tajniaków.

- Dwanaście milionów odrzutowców w tym mieście, a ja musiałam trafić na taką krype!

- Trzy i pół miliona uciekinierów, banitów, pariasów w tej metropolii, a ja musiałem trafić na taką zrzedziarę...

Tak - chciałem zrobić na niej wrażenie - tak naprawdę to sam z niepokojem obserwowałem jednego z tajniaków, gdy zbliżył rękaw do ust na kilka sekund w celu złożenia meldunku... Wiedzieli o nas i nie odpuszczają. Oni nigdy nie odpuszczają...

- Obok tego wieżowca z reklamą skruc w lewo.

- Niby dlaczego miałbym to zrobić?

- Posłuchaj, mój ty libidalny pilocie. Zapomnij na chwilę o swoim testosteronie, nie myśl teraz o zapylaniu, gonadach czy zalotach - przetrwaniem gatunku możesz zająć się kiedy indziej... Skup się: musimy omijać czynniki biochipów, bo szybko nas zlokalizują. Mogę nas przeprowadzić, bo znam plan miasta na pamięć. Więc skręcaj w lewo.

- Widzę, że twarda z ciebie sztuka. W porządku. Zapominasz tylko, że jesteś tutaj moim gościem. Ale nie martw się - wyprowadzę nas stąd nawet tą „krypą”, a potem zabiorę cię na „śniadanie do Tiffany’ego”...

- Bardzo zabawne, wiesz. Tutaj znów w lewo, a za MedLabem prosto. Aha, jeszcze jedno - na pewno spawdzili już logi na platformie parkingowej i wiedzą kim jesteś. A skoro tak, to mają już DWOJE wrogów publicznych numer jeden... Przykro mi, że cię wciągnęłam w to gówno...

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale skoro tak, to tym bardziej chciałbym wiedzieć - za co cię ścigają?

- Później. Wiesz, facet to dziwne stworzenie - prawie nie posiada podzielności uwagi. To taki genetycznie wyhodowany pretendent do nagrody Darwina... Więc proszę cię - zamiast bezmyślnie gapić się na mnie, zajmij się obsługą tej krypy. Teraz w lewo w kierunku peryferii. I jakbyś mógł wyświadczyć przysługę beczelnej, słabo zresocjalizowanej blondynce, to postaraj się zgubić ten ogon...

Wskazała na dwa czarne krążowniki oddalone o jakieś 250 metrów, po czym dodała:

- I wyłącz to pieprzone radio...

Starła się robić dobrą minę do złej gry. Wiedziałem, że ucieczka graniczyła z cudem. Krążowniki zbliżały się, klucząc zgodnie ze schematem manewru oskrzydlenia. Niczym czarne pantery usiłowały odciąć drogę ucieczki zabłąkanemu serwalowi. Udało mi się zyskać trochę przewagi w wąskich miejskich przesmykach (odrzutowiec był bardziej sterowny niż ociężałe krążowniki), ale było to rozwiązanie na krótką metę. Serwal męczył się szybciej od wytrzymałych panter... Tymczasem znaleźliśmy się w bardziej wąskich, handlowych galeriach... Pantery ustawiły się jedna po lewej, druga po prawej stronie serwala. Jeszcze chwila, a jednym skokiem dopadną zdobyczy. Jak oszukać prawa natury? Musiałem coś zrobić. I to szybko! Kątem oka przyjrzałem się pięknej towarzysze podróży. Siedziała tam skulona, zagubiona, poraniona lękiem. Oczywistym stało się dla mnie, że cała ta jej gruboskorność to tylko poza. W głębi duszy jest zagubionym dzieckiem... Sam nie wiem jak to się stało - może to świadomość, że serwal niesie w pysku młode tak na mnie podzielała? - miałem plan! Ostro zahamowałem, a następnie skierowałem się prosto na olbrzymi transportowiec, zasłaniający prawie cały powietrzny przesmyk. Szybkim zwrotem zyskałem trochę czasu, a ponadto wyraźnie rozeźliłem pilotów krążowników, którzy zaczęli do nas strzelać z działek Gatlinga...

- Daj mi broń!

- Co? Po co?

- Dawaj!

Ująłem jeszcze ciepłą rękojeść plazmowego pistoletu. Broń była przesiąknięta jej zapachem. Uchyliłem boczną, wzmacnianą szybę i poczułem pęd powietrza na twarzy. Nagły dostęp tlenu nieco mnie przytkał. Wolne rodniki rozsadały moje płuca. I jeszcze ta adrenalina, ryzyko, podniecenie... Heh - nie wiem dlaczego, ale pomyślałem wówczas (nie bez dozy rozbawienia) o tych dupkach z MedLabu czekających teraz na swój zamówiony program... Niemniej jednak była to tylko chwila dekoncentracji - może rezultat upojenia tlenem, a może słuszność teorii pewnej blondynki o niepodzielności uwagi

facetów... Stanałem w obronie rodzaju męskiego - złapałem mocniej rękojeść i gdy już praktycznie metry dzieliły mnie od olbrzymiego transportowca, wystrzeliłem prosto w mechanizm spustowy olbrzyma. Nie patrząc na rezultat, od razu wykonałem zwrot o dziewiędziesiąt stopni. Krążownikom ze względu na masę taki manewr nie mógł się udać - musiały zawrócić o 180 stopni by się nie rozbić! Tymczasem uszkodzony mechanizm spustowy olbrzyma uruchomił wąż wyładunkowy. Z transportowca zaczęły wypadać fabrycznie nowe odrzutowce, które olbrzym przewoził! Ledwo zmieściłem się pod swobodnie spadającym, niebieskim Hybrid-Saabem i przycisnąłem „gaz do dechy”. Dwie zawracające pantery nie zaryzykowały starcia ze słońiem, a dalszy lot był uniemożliwiony przez wypadające, nowiutkie cudeńka motoryzacji, skutecznie blokujące wąski powietrzny przesmyk w centrum galerii... Byliśmy wolni!

- Cóż... Nieźle pilocie. Na następnym koniecznie w prawo, bo tutaj jest czynniki...

- Dobra, dobra. A może zawrócimy i jeszcze załapiemy się na tamtą promocję nowiuśkich „kryp”?

- Przerośnięte ego, typowy problem samca. Lepiej szybko dostań nas poza metropolię - musimy udać się gdzieś zamelinować, a nie latać bez sensu nad miastem...

- Gruboskorność, typowy problem dziewczynki zgrywającej się na tetryczkę. O to się nie martw - znam jedno miejsce, gdzie nikt nas nie znajdzie. Tam pomyślimy co dalej... Panie i panowie, wkrótce lądujemy - prosimy udać się na miejsca i zapiąć pasy. Mamy nadzieję, że lot upłynął w przyjemnej atmosferze, a w przyszłości wybiorą państwo ponownie naszą linię...

- Słowo daję - ty masz coś nie tak z głową...

Nie umiała powstrzymać śmiechu. Kierowałem się do „meliny”, którą skrycie wykupiłem dość dawno temu jako wyjście awaryjne w razie hakerskiej wpadki... Musiałem jeszcze wymyślić sposób na pozbycie się, lub przynajmniej ukrycie odrzutowca. Tajne mieszkanie znajdowało się na peryferiach, toteż mieliśmy przed sobą co najmniej dziesięć minut lotu. Nagle zapytała:

- Słuchaj, wygląda na to, że spędzimy ze sobą trochę czasu, więc może darujemy sobie pretensjonalne podchody i przejdziemy do konkretów?

- Masz na myśli pytania natury osobistej?

- Tak - i zanim opowiem ci moją historię (w którą i tak pewnie nie uwierzysz), chcę dowiedzieć się czegoś o tobie. Póki co wiem, że lubisz zabytkowe odrzutowce... Poza tym (sądząc po stercie śmieci) jesteś strasznym bałaganiarzem, więc pewnie nie masz kobiety?

- Faktycznie jesteś bezpretensjonalna. Ale mów dalej pani Freud, słucham.

- Widzę tutaj sprzęt komputerowy, a nie wyglądasz mi na nudnego przemysłowca, choć na typ macho też się nie łapiesz, sorry. Może i faktycznie dłubiesz w uchu kluczami od mieszkania, masz przerośnięte ego i pewnie wiecznie pustą lodówkę, ale ty nie jesteś macho. Tak naprawdę to ty jesteś introwertyk... To tylko moja obecność pobudza cię do zgrywania się na twardziela. Tobie marzy się przygoda a la Bonnie i Clyde - może wydaje ci się, że to pieprzona gra komputerowa? I nie zaprzeczaj, że chciałbyś mnie przelecieć.

- Słuchaj...

- W porządku. Mnie to nie przeszkadza. Zresztą przepraszam cię. Zbyt wiele ostatnio przeszłam, za wiele pieprzonych metamorfoz mam za sobą. Sama już nie wiem, która z moich osobowości to ja. Może po prostu nie chcę budować relacji na zasadzie: „daję ci siebie, resztę pieprzę”. Zbyt wiele razy to bolało, wiesz. Powiedz: czy jedyną rzeczą, jaka mi pozostała, jest moja paranoja? Takie prywatne, socjologiczne zboczenie - rak, gould, pasożyt w cielsku idealnego społeczeństwa...

Mam dosyć własnych agonii w które wpadam. Zdałam sobie sprawę, że stałam się pojemnikiem dla samej siebie. Pojemnikiem, który w przeblaskach egzystencji rzyga osobowością - jestem wtedy wzdęta zakalciem niespełnionych pragnień... No wiesz - jakby ciężarna przekazem, którego nie mam komu urodzić... Otoczona przez ślepych szpiegów, pełna osobowości, dla której nie mam żadnej ludzkiej kloaki...

Zatkało mnie. Jej inteligencja i wrażliwość tak dziwnie kontrastowały ze sobą. Zagubiona, wiecznie rozdarta, potrzebująca wsparcia, ale niezależna. Milczeliśmy dłuższą chwilę. Wreszcie powiedziałam:

- Już niedaleko. Widzisz - ta moja „melina” to takie wyjście awaryjne, na wypadek wypadki podczas hakowania...

- Więc jesteś hakerem?

Chciałem dorównać jej na poziomie poetyckim i wyrecytowałem swoje:

- Tak. Jestem informatyczną prostytutką, zero-jedynkową kurtyzaną, która za pieniądze robi to i tamto. „Daj mi nazwę pliku i wskaż serwer. O nic więcej nie pytaj”. Nikt mnie jeszcze nie zabił chyba tylko dlatego, że bywam „przydatny”...

Gdy podchodziłem do lądowania, z uśmiechem na ustach powiedziała:

- Może ściągam wariatów?

Kazałem jej wysiąść i jak najszybciej wejść do mieszkania, sam zaś zająłem się poszukiwaniem prywatnej, pozostającej poza oficjalnym systemem logowania platformy parkingowej. Po piętnastu minutach siedzieliśmy już oboje w mojej „melinie”. Rozejrzała się i powiedziała:

- Strasznie tu obskórnie, ale nie szkodzi. Widać, że tu nie mieszkasz - taki tu porządek...

- Hehe. Wiem, że to nie szczyt marzeń - ale do wszystkiego można się przyzwyczaić...

- Nie...

- Co „nie”?

- Nigdy nie ulegaj przyzwyczajeniu. Jeśli nie jesteś do niczego przyzwyczajony, wtedy naprawdę czujesz, że żyjesz... Nienawidzę przyzwyczajęń!

Zjedliśmy syntetyczne półprodukty o długim czasie przydatności do spożycia, gdyż tylko to miałem w lodówce w tym awaryjnym mieszkaniu... Chciałem wyskoczyć po coś ciepłego do zjedzenia, ale ona powstrzymała mnie ruchem ręki, a jednocześnie bezpretensjonalnie (znowu!) oświadczyła:

- Czas na moją spowiedź...

- Słuchaj - najpierw chciałbym się dowiedzieć, jak masz na imię?

- Jestem Wika. A ty?

- Curtis. Curtis Keagen.

- Więc posłuchaj, Curtis. To, co teraz powiem może wydać ci się nieprawdopodobne. Ale przysięgam, że to prawda... Zaczne może od tego, że nie znałam swoich rodziców... Że nie miałam dzieciństwa... Że emocjonalnie jestem produktem, a nie człowiekiem. Może inaczej. Słyszałeś kiedyś o Job Corporation?

- Job Corporation? Załatwiają ludziom pracę, czy jak?

- Nie nie, nic z tych rzeczy. Nie słyszałeś o tej korporacji, bo jest popularna tylko w kręgach medycznych... Słowo „Job” nie

oznacza „praca” - to jest biblijne imię. No wiesz - Job, czyli inaczej Hiob - według Biblii człowiek wielokrotnie doświadczany przez Boga najróżniejszymi nieszczęściami - zwłaszcza chorobami, w tym trądem... Dla założycieli Job Corporation (wybitnych genetyków, nanotechnologów, biologów) historia Hioba stała się inspiracją... Stwierdzili oni, że Bóg wykazał się pychą i niczym nieuzasadnionym okrucieństwem wobec Joba, czyli człowieka. Korporacja powstała w celu stworzenia idealnego genetycznie człowieka - wprawdzie śmiertelnego, ale mogącego w niezagrażonym chorobami stanie przeżyć najlepsze lata swego życia...

- Taki nadczłowiek z filozofii Nietzsche’go?

- Coś w tym rodzaju. Zaczęto pobierać DNA (komórki jajowe lub nasienie zależnie od płci) od najwybitniejszych umysłów ówczesnego świata, wielkich sportowców, ludzi kultury... Oczywiście robiono to potajemnie, a za wszystkim stały olbrzymie pieniądze... Chciano za pomocą kilkunastu pokoleń ludzi wyhodowanych metodą tzw. chowu wsobnego stworzyć idealny genom nadczłowieka... Czas mijał. Dzieci z próbowki „wychowywano” w tajnym kompleksie badawczym w Nevada. Rezultaty były obiecujące. Dzieciaki, dzięki nieustannej presji ze strony nieugiętych „nauczycieli” tworzyły wspaniałe kolektywy naukowe - np. opanowywały rachunek różniczkowy i całkowy w wieku 11 lat... Jednak co około 25 lat najlepszych potomków z danego miotu ponownie „krzyżowano” ze sobą w celu wzmocnienia pożądanych gatunkowo cech. Po kopulacji poprzednie pokolenie było usuwane lub przeznaczane do pracy nad nowymi technologiami. Oczywiście w zamknięciu. Wypuszczenie ich na wolność było niemożliwością - zbyt wiele wiedzieli - ktoś mógłby odkryć tajny ośrodek i przez „ograniczającą rozum moralność” wszystko by przepadło... I tak cała zabawa, cała ta sztafeta genami zaczynała się znów od nowa - od robiących w pieluchy rozkosznych bobasków... Pierwotni założyciele Job Corporation zmarli w czasie wychowywania drugiego pokolenia „potomnych”. Po wielu latach zmienił się zarząd... „Spadkobiercy spadkobierców” kierowali korporacją inaczej niż ich przodkowie. O ile kiedyś celem był idealny genom, to dla nowych właścicieli ważniejsze były pieniądze... Okazało się bowiem, że cudowne dzieciaki wymyślają wynalazki, opracowują nowe technologie, szczepionki, bronie. Po „zmianie pokoleń” więziono ich do momentu kiedy nie byli już w stanie pracować, lub dopóki nie zwariowali w zamknięciu... Potem ich uśmiercano. Patenty sprzedawano innym korporacjom, tak by to one zbierały laury za wynalazki, a Job Corporation pozostawało w cieniu i tylko zgarniało kredyty... Curtis - oni mają armię naukowych niewolników, a ja jestem jedną z ich zabawek... Udało mi się przechytryć ochronę ośrodka i zwać. Chciałam ukryć się w tej metropolii, wtopić w tłum aby wreszcie mieć życie. Takie zwyczajne, no wiesz... własne.

- Więc ci agenci na platformie... Te czarne krążowniki... To ludzie z Job Corporation, a nie rządowi tajniacy Rady Dziewięciu?

- Przecież gdyby ściągał nas rząd, to Policja ustawiłaby blokady w całym mieście, a teraz oglądałbyś swoją twarz w wiadomościach... A zresztą jaka to różnica? Zawsze będzie mnie ktoś ściągał...

- Chcesz powiedzieć, że masz zamiar się do tego PRYZYWCZAIC? A może po prostu zgłosił zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa Radzie Dziewięciu?

- To nic nie da. To są potężni ludzie. Kto by mi uwierzył. Zresztą ludzie z korporacji wymyślą na poczekaniu bajeczkę na mój temat - na przykład, że jestem szpiegiem przemysłowym. Wiesz jaka kara grozi za szpiegostwo przemysłowe?

- Mam pojęcie Wiko, nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak wielkie mam pojęcie...

Przeanalizowałem historię Wiki. Wezbrała we mnie wściekłość na myśl, że w XXIII wieku nadal mamy obozy pracy... Ale tak to już jest na tym skomercjalizowanym świecie, że korporacje mają większe prawa niż państwa. A rządy nie chcą, ba! nie mogą ingerować w ich wewnętrzne sprawy.



Rada Dziewięciu jest tylko rządem koordynującym - czymś w rodzaju katalizatora i cenzora wolnego rynku. Spojrzałem w jej oczy.

- Wika... Ucieknij ze mną na koniec świata... Możemy być szczęśliwi, będziesz moja...

- Właśnie o to chodzi, że nie chce już być CZYJAŚ... Chcę należeć do samej siebie. Ale lubię cię - może nawet zakochałam się w tobie, sama nie wiem już co czuję. Dziwisz się? Wiem jednak, że nie będę szczęśliwa dopóki nie pomogę pozostałym. Ty nie wiesz jak tam jest, nie masz pojęcia...

- A jak chcesz im pomóc?

- Nie wiem - może trzeba się włamać do tego obozu w Nevada z rejestratorem cyfrowym, nagrać ten koszmar i umieścić film w internecie?

- Zwariowałaś?! Chcesz tam wrócić?!

I nagle w głowie zaświtała mi odważna myśl:

- Zrobimy inaczej. Włamię się do ich serwera, wykradnę kompromitujące ich dane i opublikujemy je w internecie. W końcu jestem hakerem do kurwy nędzy...

Dlaczego przekląłem? Bo zdawałem sobie sprawę, jak trudne czeka mnie zadanie. Jednak Wika rozpromieniła się:

- Naprawdę zrobiłbyś to dla mnie?! Ale jak, kiedy?!

- Choćby dziś w nocy - będę musiał włamać się do stacji przekątnikowej no i załatwić najpierw sprzęt od starego znajomego, którego wszyscy nazywają Spike...

- Będziemy...

- Co?

- BĘDZIEMY musieli włamać się do stacji przekątnikowej. Idę z tobą!

- Co?! Nie ma mowy, zapomnij - nie możesz ryzykować!

- Daj spokój - idę z Tobą - choćbym miała cię śledzić...

- Skoro tak stawiasz sprawę, trudno. Póki co zostań tu i nigdzie nie wychodź - ja idę do Spike'a załatwić sprzęt...

Usiadła skulona w kącie pokoju, uśmiechnęła się i puściła w mym kierunku całusa.

Spike miał wszystko, czego potrzebowałem. Szybkie, kryształowe przekątniki, nanoukłady do transmisji danych, „głupiego jasia” do zmylenia trace-programu atakowanego serwera... Wszystko nowe, dziewicze, nieużywane. Gotowe do hackowania. Na szczęście Spike wisił mi nieco kredytów, więc prawie o nic nie pytał. Zresztą on nigdy nie pyta. To właśnie na tym polegała jego „przydatność”... Wróciłem po około godzinie. Wszedłem do mieszkania, uprzednio upewniwszy się, że nikt mnie nie śledzi. Szczerze mówiąc obładowany całym tym stuffem wyglądałem raczej na jakiegoś pieprzonego turystę, a nie na hakera idącego na spotkanie z superinteligentnym „szpiegiem przemysłowym” o prawie idealnym genomie... Ostrożnie rozłożyłem sprzęt w przedśionku, ponownie analizując w głowie schemat włamania do największego z serwerów Job Corporation... Wreszcie wszedłem do właściwego pomieszczenia mieszkalnego. O dziwo Wika siedziała dokładnie w tym samym miejscu, w którym przebywała, kiedy ją zostawiłem samą w mieszkaniu... Skulona w kącie pokoju, przestraszona, nieobecna. Doświadczyłem substytucji całego świata nią. Wreszcie dostrzegła mnie, albo wyczuła przez skórę moją obecność... Podniosła głowę i cicho powiedziała:

- Jesteś...

Wstała, powoli podeszła do mnie, zbliżyła własną twarz do mojej i niczym pielęgniarzka czule pogłaskała mnie po głowie. Ocierając się policzkami, chłoneśmy własny zapach. Lekko pchnęła mnie na piankowe, idealnie zastane łóżko. Zdjąłem jej niebieską, nieco przepoconą koszulkę i zrobiliśmy to. Raz była czuła i niewinna, a raz wykrzykiwała coś o mięśniach Kegla... Jakby nawet w łóżku szukała swej tożsamości... Ułożyliśmy na prześcieradle falochron z naszych ciał, który miał nas ochronić przed nadchodzącym sztormem... Czy naprawdę coś do mnie czuła, czy to tylko chorobliwy odruch po przeżytych urazach? A może to pokłady spiętrzonego dzieciństwa, tej zalegającej, niespożytkowanej miłości po prostu zamieniły się w libido? Zasnęła niemal natychmiast po...

Spała niespokojnie. Obudziła się tuż przed północą, a gdy tylko wstała pocałowała mnie w czoło. Chyba wyczuwała mój niepokój. Wiedziałem, że teraz muszę skupić się już TYLKO na robocie... Szorstko wycedziłem:

- Zbieraj się Wika... Musimy dostać się do przekaźnika najdalej w ciągu godziny...

W milczeniu szliśmy do mojego czerwonego odrzutowca. Stacja przekaźnikowa była całkiem niedaleko, ale ja przed robotą lubię sobie polatać bez celu, żeby uzyskać odpowiedni poziom koncentracji. Poprosiłem Wikę o milczenie. Zrozumiała i w pełni akceptowała ten mój dziwaczny rytuał. Wreszcie posadziłem odrzutowiec. Kilkaś metrów skradania się i już byliśmy przy szybie wentylacyjnym stacji. Nieco demolki i już czołgaliśmy się szybem do samego serca przekaźnika. Monitor głównego komputera osadzonego w małej, klimatyzowanej klitce wyświetlał przekierowania, które przekaźnik aktualnie realizował. Wybaczcie mieszkańcy chwilowy brak dostępu do sieci, ale musimy wypożyczyć ten przekaźnik żeby nieco przekierować własny sygnał... Wika pomogła mi rozstawić sprzęt, zainstalowałem się z wszystkimi zabawkami od Spike'a i cóż... najwyższa pora zacząć. Chwila niepokoju i już wiem - jestem w systemie. Sygnał puściłem przez 415 kanałów sieci ogólnej, co daje około pół miliona komputerów, które musiał pokonać trace-program atakowanego serwera aby mnie zlokalizować... Zacząłem pracować nad zabezpieczeniami głównego mainframe'a Job Corporation. Tylko dzięki własnoręcznie napisanym aplikacjom zламаłem firewalla. Jestem. Setki plików, mnóstwo propagandy, wyników jakiś pobocznych badań, list sponzorów - ale ani śladu przetrzymywanych dzieci. Szukałem słów: genom, perfect, DNA - nic... Lecz nagle Wika wypaliła:

- Pamiętam, że ten projekt nazywał się „Elihu”. No wiesz - to imię jednej z postaci w księdze Hioba, której przemowy w tekście zostały dopisane później, po zredagowaniu pierwszego przekładu księgi...

Sprawdziłem. Bingo. 250 GB danych. Kopiowanie rozpoczęte. Dzięki Bogu miałem nanoukłady do transmisji danych od Spike'a. Czas kopiowania: 4 minuty 23 sekundy. Przypuszczalny czas zlokalizowania nas przez serwer Job Corporation: 4 minuty 34 sekundy. Nerwy i niepewność. Wika patrzy na moją beczynność i zdziwiona pyta:

- Co robisz? Coś nie tak?

- Wszystko w porządku - ale przygotuj się do ucieczki za... cztery minuty. Zabierzemy dysk i spieprzymy stąd. Opublikujemy to gównu jak tylko będziemy bezpieczni...

- Przecież mogę już teraz pobiec do odrzutowca i podlecieć bliżej!

- Dobry pomysł - biegnij!

Puściła się pędem i wręcz wskoczyła do kanału wentylacyjnego... A ja od niechcenia zajrzałem do jednego z już przekopiowanych plików. O dziwo znalazłem tam spis modyfikacji ludzkiego DNA obcym, najpewniej pozaziemskim materiałem genetycznym! Coś tu śmieszna, ale nie miałem czasu by nad tym myśleć - zresztą tak się zaczytałem, że kopiowanie dobiegało końca. Jeszcze sekunda, może dwie.

Wreszcie jest - koniec kopiowania. Powinienem spieprzać stamtąd, ale włączyłem jeszcze jeden program... Gdy skończył pracę, odłączyłem dysk i ruszyłem pędem przed siebie. Wypadłem przed przekątnik jak oparzony. Wika właśnie lądowała odrzutowcem. Wskoczyłem, a ona ostro odbiła w górę. Udało się. Nie mogłem jeszcze złapać tchu. Wika zapytała:

- Masz te pliki?

Dałem jej dysk. Położyła go sobie na kolanach. Odrzutowiec zasuwał pełną parą, aż czuć było smród przegrzewającej się baterii jonowej... Leżąc na podłodze mojej „krypy” bełkotałem szczęśliwy:

- Wika... Będziemy razem, rozumiesz? Ra-a-a-zem...

Jakby nie usłyszała. A ponoć kobiety mają lepszą podzielność uwagi! Nagle czuję, że odrzutowiec obniża lot, a Wika chyba chce wylądować... Podniosłem się z podłogi, lecz ujrzałem odmienioną, szorstką twarz Wiki - jak gdyby nigdy nic celowała do mnie ze swojej broni plazmowej... Zgłupiałem, nie wiedziałem co jest grane. Wika posadziła maszynę.

- Wyłaż! No już, bo cię rozwalę!

Prawie nieprzytomny wyczołgałem się z odrzutowca... Kątem oka dostrzegłem posadzone dwa znajome, czarne krążowniki. Trzech tajniaków w czarnych marynarkach przypatrywało się nam w milczeniu.

- Wika?! Co jest do kurwy nędzy?!

Jeden z tajniaków wyszczerzył białe zęby, po czym podszedł do mnie i powiedział:

- Dziękujemy za owocną współpracę z rządem, panie Keagen.

Po chwili nachylił się nade mną i wyszeptał:

- Niezła jest, co Curtis?

Jeszcze raz wyszczerzył zębiska, po czym podszedł do Wiki, wziął od niej dysk i bezceremonialnie uszczypnął ją w tyłek tak mocno, że ta aż zarechotała. Uśmiech zniknął mu z twarzy, pojawił się na niej dziwny, apodyktyczny grymas, po czym wycedził (wkładając inny rewolwer w wolną rękę Wiki):

- Dokończ zaczęta robotę złotko, tylko pamiętaj - co najwyżej jeden strzał... Pan Curtis Keagen bywa wyjątkowo... przydatny.

Wycelowała. Wstałem, aby móc spojrzeć jej w oczy... Nacisnęła spust. Poczułem ukłucie w klatce piersiowej i dostrzegłem wbity we mnie strzałkę aplikującą jakieś medykamenty... Czuję się dziwnie. Narkotyk rozszerza moje tętnice do granic możliwości. Nogi stają się zbyt miękkie, aby dłużej sprzeciwiać się nieubłaganej, apodyktycznej grawitacji. Moja percepcja uwolniona przez narkotyczny katalizator poddaje się niczym nieskrępowanemu wirowaniu. Upadam bezwładnie - niczym poroniony płód - na kazirodczy, przeraźliwie zimny miejski beton, bo dłuższe przebywanie w tak nienaturalnej, wymuszonej przez ewolucję pozycji stojącej okazuje się być niemożliwe. Cały pulsuję. Słyszalne odgłosy startujących rządowych odrzutowców powoli ustępują miejsca refleksji serwowanej mi przez resztki mojej świadomości... A więc Wika była rządową agentką Rady Dziewięciu, a cała ta bajeczka o jej dzieciństwie to tylko manipulacja... Teraz rozumiem. Rada Dziewięciu potrzebowała informacji na temat Job Corporation, a ja po prostu byłem po ręką. Samotny i zdolny do pokonania zabezpieczeń serwera haker. Najpewniej chodziło im o wykradzenie informacji o rezultatach badań na DNA Obcych... Wybrali właśnie mnie - człowieka z zewnątrz - także dlatego, że gdyby próba włamania się nie powiodła, to nikt nie skojarzyłby mnie z rządowym zleceniem. A w tym świecie rząd nie ma prawa wtrącać się w poczynania korporacji. Zresztą byłem łatwy do zmanipulowania. Wystarczyła kobieta, dwa krążowniki i fikcyjna strzelanina, żebym wykonał czarną robotę za nich... Byłem głupi, ale na szczęście tuż przed ucieczką ze stacji transmisyjnej

uruchomiłem na wykradzionych danych algorytm szyfrujący mojego autorstwa... Nie złamię tego szyfru nawet za dwieście lat, więc pewnie jeszcze spotkam Wikę... Czuję się jak pies porzucony przez swoją panią, ale nie mam do niej pretensji. W końcu taką miała robotę - po prostu starała się być przydatną. A na tym chorym świecie to właśnie „przydatność” definiuje twoje człowieczeństwo...

**aNomaLy**

# W Domu nad Otchłanią

## Koriat

I

Jest ciemno i bardzo cicho.

Szepty, matowe, ledwo słyszalne, grzęzną w ciężkim, dusznym powietrzu przedświt, z trudem wciskają się w wąskie szczeliny złobiające przestrzeń pokoju. Brakuje powietrza, ale w tej chwili to nie przeszkadza.

-Co się stało?

-Ja... obudziłam się... Nie wiem...

-Sen? Jednak?

-Nie, to coś innego... Wiesz... Patrzyłam wczoraj w Otchłań.

-Co takiego? Przecież wiesz, jakie to niebezpieczne. Przecież...

-Tak, wiem. Ale... ale w niej jest coś takiego... nie wiem jak to nazwać. Ona przyciąga, jakoś tak dziwnie, jakby wszystko falowało, jakby tylko tam była nadzieja...

-Wiem. Ale to nieprawda, to jest część umowy, nie pamiętasz? Tam właśnie nie ma nic, nawet dna. To jest kuszenie. Zatrzymaliśmy się na krawędzi, więc musimy to wytrzymać. Taka jest cena.

-Pamiętam. Ale już nie mogłam wytrzymać, nie mogłam, czuję, że tam coś jest, coś innego, to nas wzywa...

-Ciii, nie myśl o tym. Śpij, to odejdziesz. Śpij.

II

Pamiętam.

Behemot przesłaniał czwartą część nieba, rozpląszczał się w cienki, brunatny owal, upodabniał do chmury przynoszącej nawałnicę. Zaiste, przynosił ją, najstraszniejszą burzę wszystkich światów.

Powłoka poruszała się nieustannie, zapadała w siebie i wybrzuśzała; trwała rekonfiguracja części.

W dole, po ziemi przesuwali się jego cień, przysłaniając lasy, góry i miasta, straszny, nieogarniony.

W dole patrzyli, patrzyli na niego, wskazywali palcami, otwierali ze zdumienia i przestachu usta, wreszcie zaczęli krzyczeć. Powłoka poruszała się nieustannie, zapadała w siebie. Ciągłe nowe kształty i układy, od nieskończoności do nieskończoności, od ciemności do ciemności. Tylko cień się nie zmieniał, trwał. Książę Ciemności stał na swojej platformie na dziobie, zimny wiatr rozwiewał jego czarne włosy, falujące poły płaszcza upodobiły się do skrzydeł.

Książę Ciemności przemierzał swą domenę, patrzył na nią uważnie. W jego oczach jaśniało niewyobrażalne.

Niżej, na ziemi, a to przecież tak blisko, jego śladem podążały koszmary.

III

Otchłań nie ma dna. Upadek w nią oznacza wieczność.

Nasz Dom stoi nad krawędzią Otchłani. Głównie na tym polega nasza milcząca umowa z Księciem- my (ja, ja, to tak naprawdę moja wina) nie wchodzimy mu w drogę, a on daje nam spokój, pozwala tu być.

Oczywiście, ma to swoją cenę.

Bo prawda jest taka, że Książę, gdyby tylko zechciał, mógłby zniszczyć Dom, zakryć Otchłań (zakryć- nawet on nie zdołałby jej zamknąć), zakończyć tę niby- równowagę. Bo i co to za równowaga, co możemy mu zrobić? Ale to nie byłoby w jego stylu, może czekać, aż się złamiemy, aż przyjdziemy do niego sami.

Dlatego mieszkamy nad Otchłanią.

Otchłań żyje. Na swój dziwny, pradawny sposób, żyje.

Mówi. Woła nas, co dnia, w każdej chwili. Tutaj czas jest czymś trochę innym niż na Ziemi, ale i tak czuję, jak to narasta, głos jest coraz silniejszy, zaś my- coraz słabsi.

Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymamy.

IV

Powoli, bardzo powoli zapominam.

Oczywiście, ciągle pamiętam główny zarys zdarzeń, ale szczegóły zacierają się i blakną, obrazy do niedawna naturalistyczne ulegają rozmyciu w mgliste impresje. Może tak jest lepiej.

Zaczęło się tamtej nocy- ale tylko dla nas. Przyczyna musiała leżeć gdzieś głęboko, poza światem- chyba dlatego nie potrafiliśmy jej pojąć.

Tak więc widzieliśmy skutek- a był to koniec świata. Przynaj-

mniej takiego świata, jaki znaliśmy.

V

Przybyli z Północy.

Nie wiem, czy ma to jakieś znaczenie. Pewien człowiek, którego wówczas znałem, twierdził, że już tam byli, uśpieni, zatopieni w masach lodu. Głęboko, zapomniani i niewidoczni, czekali na swój czas, od wieków, może od początku świata.

To możliwe, przecież nie mają ciał, które mogłyby zamarznąć, choć niewątpliwie żyją. W tym dużo bliżsi są nam niż Księciu. Zbudzić musiało ich ocieplenie klimatu, topnienie lodu. Poczuli życie, poczuli zmiany. Powstawali, najpierw niewielu, pojedynczo. Potem okazało się, że były ich tysiące, może miliony.

Nie mieliśmy szans. Jak bronić się przed czymś, co nawet nie ma własnej postaci, co formuje się z zagarniętej materii, nieustannie przetwarzając ją i modyfikując w formy zupełnie obce, niepojęte? Jak bronić się, kiedy cały znany dotychczas świat przestaje istnieć?

Wtedy zostaje tylko ucieczka. Ale nie było dokąd uciekać.

Bez trudu wykonali swoje zadanie. Przygotowali świat.

A wtedy nadszedł Książę.

Behemot, największy z nich, przysłonił niebo.

VI

Mieszkamy w Domu, gdyż nie ma dokąd pójść.

Z jednej strony przestrzeń naszego życia zamyka Otchłań. Za nią, skrywany falującą, rozedrganą zasłoną cienia rozpościera się właściwy świat Księcia.

Z pozostałych trzech stron otacza nas pustynia. To gorsze niż pustka, bo ona byłaby przynajmniej czymś w rodzaju końca, zwieńczenia. Pustynia to wieczne niespełnienie, oczekiwanie na to, co nigdy nie istniało. Tutaj jest woda- strumyk wijący się przez kilkanaście metrów dzielących go od Otchłani, a także kilka drzew owocowych. Pory roku już nie istnieją, czas jest jednolity i doskonałe równy, więc owoce pojawiają się co tydzień.

Uznaliśmy, że ten dzień to niedziela. Czas musi mieć rytm.

Nie możemy stąd odejść i nie możemy umrzeć, nie starzejemy się. To nasza kara, i nasza szansa. Jedyna alternatywa wobec trwania to usłuchać wezwania Otchłani, ale wtedy nie byłoby już nic innego.

VII

Tej nocy śnię.

To chyba pierwszy raz, odkąd tu jesteśmy. Sny są domeną żyjących, a my znaleźliśmy się bardzo daleko od granic życia. W moim śnie stoję na krawędzi Otchłani i patrzę na drugi brzeg. Zakrywająca go ściana cienia faluje mocniej niż zwykłe, wydyma się w fałdy sięgające połowy szerokości Otchłani. Wiem, że coś się stanie, ale nie wiem, czy będzie to dobre czy złe. Ale na pewno wszystko się zmieni. Może dlatego w sercu kielkuje zatrute ziarno nadziei- będzie dobrze, oto nadchodzi wyzwolenie, władza Księcia nie może trwać wiecznie. Wtedy zasłona skrywająca jego krainę unosi się, a sen pęka i rozsypuje się na setki lśniących, kryształowych okruszków.

VIII

Pieśniarz umierał.

Jego ciałem targał nieustający ból, porażający ból ostatniej chwili. Nie przeradzał się jednak w ulgę, tak jak powinien. Nie było światła, oszłamiającego wrażenia wyzwolenia z materii, nie było śmierci. Tylko konanie. Ból. Trwał nieprzerwanie, a mgła w oczach Pieśniarza nie podnosiła się.

To była jego kara.

Książę Ciemności przykuł go do skały i skazał na wieczne konanie. Pieśniarz rzucił mu wyzwanie, wierzył, że jeszcze może się udać, że świat ma jakieś szanse. Wtedy, gdy wszystko dopiero się zaczynało, było wielu takich jak on. Także później, kiedy już zrozumieliśmy, wola przetrwania była ciągle bardzo silna.

Pieśniarz rzucił Księciu wyzwanie. Więc Książę złamał go, tak jak łamie się trzcinę.

Było to już po właściwym końcu świata, kiedy nie zostało prawie nic. Przemierzaliśmy nieskończoną równinę, jaką zajęła jego miejsce, szukając miejsca, gdzie moglibyśmy żyć. Jakimś cudem udało nam się przetrwać koniec, nie chcieliśmy tego zmarnować.

Ale gdy zobaczyliśmy Pieśniarza, nie mogliśmy tak po prostu



przejść obok.

Wystarczyło spojrzeć w jego twarz, twarz, która nie była już twarzą.

Wspiąłem się na skalną ścianę, do której był przytwierdzony i przeciąłem mu gardło.

Oczywiście, wtedy Książę ukarał nas.

Sprawił, że znaleźliśmy nasz Dom.

IX

Nie ma jej.

Nie było już wtedy, gdy się obudziłem, gdy rozprysł się sen o krainie cienia.

Szukałem, szukałem wszędzie. Oszalały przetrząsałem dom, miotalem się po otaczającej go przestrzeni. Ale tak naprawdę już wiedziałem, że to bez sensu. Głos Otchłani się zmienił.

Mówiła mi o tym. Mówiła, gdzie powinienem szukać.

Patrzę w Otchłań.

Nie ma dna. Upadek w nią oznacza wieczność.

Wieczność nie ma końca ani początku. Nie ma formy ani właściwości. Istnieje, ale nie da się jej pomyśleć.

Upadek w nią oznacza wieczność.

Wieczność i wieczną samotność. A ona odeszła i już nie wróci, są miejsca, z których nie ma powrotu.

Stoję więc między samotnością i samotnością, między wiecznością i wiecznością, między nicością i nicością.

Ja też jestem nicością. A zasłona skrywająca świat Księcia Ciemności drga i faluje, tak, jakby za moment miała się unieść.

Stoję na krawędzi.

I nagle myślę, że jeśli teraz skoczę, to Otchłań jednak będzie miała dno.

## KOMENTARZE

### Wocemir:

*Bardzo dobre opowiadanie. Świetny klimat, niezachwiana praktycznie narracja (coś tam może by się znalazło). I pomysł, taki prawdziwy, którym niewiele opowiadań może się poszczycić. Powiedzmy, że wychodzi od fantasy, ale dla mnie to coś więcej.*

### Alaerion Kalanto:

*Podziwiam poetyckość tego tekstu, jest jak zamglony, tajemniczy sen. Oryginalne podejście do pisanía fantasy. Zawarte w nim rozważania o pustce, ciemności, świetle i sensie mają ogromną wartość, nie są sztuczne, jak przemyślenia większości schematycznych bohaterów opowiadań. Dzieło świetne w kunszcie pisarskim, bez zgrzytów, przyjemnie się czyta.*

### Calendula Officinalis:

*Zdefiniuj wieczność. Nie? A nicość? Strach? Kuszenie? Samotność? Otchłań kusi, nawołuję, a upadek w nią oznacza spadanie w wieczność i nicość, samotność bez końca. Jednak... Jeśli nie Otchłań, to pustynia bez końca, ciśnie niespełnienie. Pomiędzy wiecznościś a wiekuistościś stoi on. A ty? Co byś wybrał?*

czerwiec 2007

**Koriat**

*„Gdy spotkają się dwie mydlane bańki to zginą, wtedy zakwita lotos.” (przyp. jap.)*

Szare chmury, szary deszcz, szarzy ludzie pochowani w domach, poczekalniach, przejściach. Kilka dni temu świat okrył się szalem szarego, mokrego smutku i tak trwa. Ludzie przyklejani twarzami do szyb, obserwują szare krople deszczu spływające, po szarych szybach. Maja szare myśli. Wypatrują nadziei na przyszłość w postaci słonecznych promieni lub bez reszty zatracają się w miękkim zdradliwie otulającym smutku. Krople deszczu spływając po szybie dążyły przed siebie, przypadkowo, na drodze do nikąd. Zostawiały za sobą ślad szybko ginący pod spadającymi następnymi kroplami. Spotykały na swej drodze inne krople, posuwały się obok siebie, mijaly się, jedne poruszały się szybko inne wolniej. Łączyły się by później rozpuścić się w swoje strony. Zdarzały się również krople, które płynęły prosto do celu zabierając ze sobą kilka innych.

Zupełnie jak ludzie.

W tej układance świata jeden element nie pasował. Dwoje młodych ludzi stojących na peronie. Mokry peron, mokre tory, kwietniki pełne wody i oni stojący w kałuży. Krople spadające na ich głowy powoli spływały po pozlepianych włosach w dół na twarze smutne i nieobecne, i dalej za kołnierze. Z załomów kurtek kapła woda. Stali tu już na tyle długo, że byli zupełnie mokrzy.

On stał wyprostowany z twarzą skierowaną przed siebie, oczy miał zamknięte. Chłonał jej obecność. Ona wtuliła głowę pomiędzy jego ramie i szyję, cieszyła się ostatnimi chwilami bliskości. Wszystko zostało już powiedziane, teraz się zegnali. Ona wyjeżdżała - on zostawał. Znajomy zorganizował jej kontrakt w odległym kraju, zawsze o tym marzyła, ale teraz był On. Spotkali się jakiś czas temu, zaprzyjaźnili się potem ona zamieszkała u niego. Nie mogła znaleźć pracy i czuła się nieprzyjemnie, że ja utrzymuje, ale rozumieli się, uzupełniali, kochali. Było im z sobą bardzo dobrze. Był indywidualistą, ale potrafił zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa i ciepła, jakiego nie zaznała jeszcze od żadnego mężczyzny.

Pisk hamującego pociągu wyrwał ich z zadumy. Spojrzeli na siebie, na mokre włosy, na krople spływające po twarzach; ich spojrzenia spotkały się. Ich usta zetknęły się. Pocałowali się długo, powoli, namiętnie. Po raz ostatni. Ostatni uścisk dłoni potem otworzył jej drzwi. Ona wsiadła, spojrzeli jeszcze na siebie i on odwrócił się i poszedł. Wbił ręce w kieszenie, głowę zwiesił, ramiona mu opadły. Patrzyła za nim. Takiego go jeszcze nie widziała.

Pociąg ruszył.

Szedł powoli; krok za krokiem, myśli miał czarne. Była którąś z kolei a teraz była tą jedyną. Z czasem miłość między nimi rozkwitła. Pozwoliła mu być sobą, nie musiał zmieniać tożsamości a później poświęcił dla niej wszystko. Stali się jednością a teraz odeszła pozostawiając wielką, czarną dziurę. Szedł do domu, do ich domu gdzie ona zawsze na niego czekała. Gdzie rozmawiali przy kominku, gdzie jedli, spali, kochali się. Każdy element tego domu był nią nasycony. Cierpiał. Nie chciał tam iść. Nie miał, dokąd pójść...

Wydawało mu się, że go wola; zatrzymał się.

Wołanie powtórzyło się.

Powoli odwrócił się.

Nie wierzył.

Stała tam mokra i kochająca.

THE END

(Myśli nieuczesane 1999.09.30)

## KOMENTARZE

### Alaerion Kalanto:

*Bez wątpienia jedno z najlepszych, jeśli nie najlepsze, ze smutnych opowiadań ostatnich miesięcy. Tym lepsze, że z happy endem, bo nie dołuje czytelnika. Świetny kunszt pisarski. Początek, porównanie ludzi do kropeł deszczu, buduje nastrój i zachęca do refleksji.*

### Koriat:

*Krótki melodramatyczny obrazek- i tylko tyle. Ale zrealizowany na dość wysokim poziomie, a przy tym autentycznie angażujący emocjonalnie czytelnika, co przy skromnych rozmiarach i cokolwiek oklepanych środkach jest niemałym osiągnięciem. Błaha opowiadanka z happyendem- ale czasem potrzeba właśnie czegoś takiego.*

### Shiro:

*Wyciskacz łez z happy endem :)*

*Początkowy monolog mnie trochę zniechęcił, ale to krótkie opowiadanie więc dałem radę przebrnąć. ;)*

*Prostymi środkami udało się autorowi przekazać trochę emocji.*

*Czego chcieć więcej?*

Moim starym to nie można nic powiedzieć. Biorą wszystko na poważnie i z igły robią - widły.

Trzy lata temu matka położyła mi w pokoju dywan - „prawie nowy”.

Mój stary podobno już się do niczego nie nadawał. Ja nie mogłem się z tym zgodzić. Według mnie, do chodzenia, nadawał się doskonale. Nowy natomiast, już przy pierwszym rzucie węł okiem, wydał mi się nieprzyjemny, nieprzyjazny, negatywnie nastawiony do otoczenia. I nie chodziło mi już nawet o to, że staroświecki i nie pod kolor, lecz martwiłem się o te ZYGZA-KI. Już wtedy czułem, że będę z tym dywanem kłopoty. I nie myliłem się.

Wieczorem zostaliśmy sam, na sam - ja i dywan - i wtedy pierwszy raz pokazał na co go stać. Pierwszy jego ruch mógłbym jeszcze uznać za halucynację, bo tylko nieznacznie poruszyły się te „wzorki”, lecz to, co chwilę później zaczęły wyprawiać, to już tylko ślepiec mógłby uznać za normę. Węże wiły się, ślizgały po sobie, na sobie, pod sobą, między sobą... jakby miały jakieś tarło! No, dosłownie, jakby były u siebie!

Przecierałem oczy, szczypałem się w tyłek, próbowałem różne warianty oświetlenia - na nic. Kiedy wyłączyłem światło i zapadła zupełna ciemność, było jeszcze gorzej! Słyszałem wtedy szelesty, paskudne mlaśnięcia, syczenie...

W końcu udało mi się jednak zasnąć.

Rano dywan udawał niewinnego. Nie dałem się jednak nabrać i pierwsze co zrobiłem, gdy wstałem, to zwinąłem go. Następnie szedłem na dół, do pokoju matki.

- Nie chcę tego dywanu. - oznajmiłem jeszcze leżącej w łóżku.

- Co? Czemu nie? - Wyciągnęła ręce do rozciągnięcia.

- Bo nie.

- Eee, ale taki ładny przecież jest. To co, ja mam go wyrzucić, głupku jeden?

- Nie wiem. Oddaj go tej czarownicy, albo coś.

- No wiesz! Jak ty mówisz o swojej cioci!? - zbulwersowała się mama.

Nastąpiła minuta ciszy, po której matka rozpoczęła swój, tak do-  
brze mi znany, że niemal przewidywałem każde jej następne  
słowo, mający poruszyć moje sumienie, monolog:

- Wiesz co? Tobie to się już nic nie podoba, co ja ci przyniosę.

Spodnie - „wieśniackie”, buty - „bo po kimś”, golf - „gryzie”!

Skaranie boskie!

- Bo gryzi!

- Tak, gryzi! Ale chyba tylko ciebie! Posłuchaj, chłopcze: do-  
póki sobie nie zarobisz na lepszy dywan, to ten będzie leżał i  
koniec.

- Nie! Jak on będzie leżał, to ja się wyprowadzam! - Oczywiście  
był to blef, bo niby dokąd, ale powiedziałem to w taki sposób, z  
efektem łamanego głosu, że aż sam się wzruszyłem i w oczach  
stanęły mi łzy.

Matkę zamurowało, zamilkła i zaczęła znów, dopiero po dłuż-  
szej chwili:

- Co tobie się w tym dywanie nie podoba!

Postanowiłem być szczery - pierwszy raz od niepamiętnych lat.

- Te żmije.

- Te wzorki?

- To nie są wzorki! To są żmije, węęęże. - Oznajmiłem, de-  
monstrując przy tym, obiema rękami, ich zygzakowate ruchy.

- Uuu, węęęze.

O piętnastej wrócił z pracy ojciec. Zasiadliśmy przy stole w  
kuchni, do obiadu. Już po minucie wiedziałem, że coś jest nie  
tak. Staruszek gapił się na mnie, to z lewej, to z prawej, a  
nawet nieznosnie - prosto w oczy!

- Dobra zupa? - zapytał.

No nie! Tego już było za dużo! Nigdy nie zadawał takich głupich  
pytań! Wiedziałem, że matka musiała mu już wypaplać.

- Normalna!

Wróciłem do wiosłowania w talerzach.

- No, powiedz teraz tacie o tych „węzach” - wtrąciła się mama.

- Tobie się węże ruszają na dywanie? - dodał tata.

Postanowiłem być twardy i mówić prawdę, niezależnie od  
konsekwencji. Inaczej nigdy bym się nie pozbył tych gadów z  
pokoju.

- A ruszają się! Wiją się, pierdolone żmije! - I znów rękami  
pokazałem jak to robią. - Uuu, węęężee.

Rodzice spojrzeli się na siebie i nic już nie mówili.

Mijały dni i noce. Węże, w zwiniętym dywanie, wiły się rzadko,  
czasem, a może nawet i stale, bez przerwy, ale to nie było już  
ważne. Nie oglądałem ich, więc było ok. Czego nie widzę, to  
mam w dupie.

**Valdens77**

## KOMENTARZE

### Koriat:

*Że dywan może mieć niecodzienne właściwości, to już wiemy-  
od Barkera, Pilipiuka, ba, z baśni „Tysiaca i jendej nocy”. Ale  
zazwyczaj było to na poważnie- a tu mamy humoreskę. A na-  
wet śmieszna humoreskę. Autor udowadnia, że pióro ma lekkie  
i wyćwiczone jak mało kto na portalu. A wulgaryzmy mi nie  
przeszkadzają- faktycznie, narrator był zdenerwowany, mogło  
mu się wymknąć. Tekst jako przerywnik między utworami  
poważniejszymi i mroczniejszymi wprost idealny.*

### Calendula Officinalis:

*Krótką, przezabawną historyjką, w deliryczno-psychodelicznym  
klimacie. Humorystycznie przypomina skrzyżowanie Terrego  
Prachett’a z Monthy Pythonem. Rozbraja absurdalnymi sytu-  
acjami, które jednak mają w sobie ziarenko prawdy. Napisana  
poprawie, językiem, który czyta się bezboleśnie. No i kto z nas  
nie miał dziwnego mebla?*



I to już wszystko, jeśli Wam się spodobało i miło spędziliście czas na czytaniu historii napisanych przez naszych autorów to piszcie i komentujcie.

Zapraszamy również do podzielenia się swoimi wrażeniami na forum portalu <http://www.storytellers.pl> !

**Do przeczytania!**